

AMOS OZ

NIE MÓW NOC

Przełożyła z hebrajskiego
Agnieszka Jawor
Tytuł oryginału hebrajskiego
Al tagidi laila

O siódmej wieczorem siedzi na balkonie swojego mieszkania na trzecim piętrze, patrzy, jak gąśnie dzień, i czeka: co obiecują ostatnie promienie światła, a co zdołają przynieść?

Przed sobą ma puste podwórze, a na nim skrawek trawnika, oleandry, ławkę i zanedbaną altanę z bugenwilli. Podwórze kończy się kamienną ścianą, w której widoczny jest zarys zamurowanego wejścia. Kamienie w wypełnieniu są nowsze, jaśniejsze, wydają mu się teraz nieco lżejsze niż pierwotny budulec. Zza muru wyrastają dwa cyprysy. W wieczornym świetle nie są zielone, lecz czarne. Dalej rozpościerają się nagie wzgórza: tam jest pustynia. Tam wzbija się czasem szary tuman, chwilę drży, przegina się, rwie i słabnie. By wrócić w innym miejscu.

Niebo szarzeje. Chmury płyną spokojnie. Jedna z nich odbija słabo blask zachodzącego słońca. Z balkonu nie widać zachodu. Ptaszek na murku jest tak poruszony, jakby nie mógł pomieścić w sobie tego, co właśnie usłyszał. A ty?

Spływa noc. W miasteczku zapalają się lampy uliczne i światła w oknach, porozdzielane ciemnością. Wiatr nasila się i przynosi zapach ognisk i kurzu. W księżycowej poświacie wzgórza przyoblekają maskę śmierci, przestają być sobą, są tylko cichymi tonami. To miejsce to koniec świata. Nie jest mu tutaj źle: już zrobił, co mógł, teraz czeka.

Z tą myślą opuszcza balkon, wchodzi do środka, siada i kładzie bose stopy na stoliku w salonie. Ciężkie dłonie po bokach fotela ciężą ku chłodnej podłodze. Nie włącza telewizji i nie zapala światła. Biegając w dół ulicą przemknął ze szmerem opon samochód. Psy za nim szczekają. Ktoś gra na fujarce. Nie jest to pełna melodia, a tylko proste gamy, powtarzane pozornie bez zmian. Podobają mu się te dźwięki. W głębi domu przez jego piętro przejeżdża winda. Bez zatrzymania. Spikerka w radiu sąsiadów mówi chyba w obcym języku, ale teraz i to nie jest pewne. Męski głos na schodach oświadcza: Nie ma mowy. Odpowiada mu inny mężczyzna: Nie, to nie, ale nie odchodź, to przyjdzie samo.

Kiedy na moment cichnie szmer lodówki, słychać świerszcze w wadi. Jakby zszywały ciszę. Lekki podmuch rozwiewa zasłony, szeleści gazetą na półce, ożywia pokój, wprawia w drżenie kwiatek w doniczce, uchodzi drugim oknem i wraca na pustynię. Na moment krzyżuje ramiona. Sprawia mu to przyjemność, przypomina smak letnich wieczorów w prawdziwym mieście, może w Kopenhadze, gdzie spędził kiedyś dwa dni. Tam noc nie spadała gwałtownie, lecz łagodnie gładziła miasto, okryte woalem zmierzchu przez trzy czy cztery godziny. Zdawać się mogło, że wieczór chce dosięgnąć i musnąć brzask. Ochryple dźwięki jednego z wielu rozbrzmiewających dzwonów przypominały kaszel. Łagodny deszczyk spinał wieczorne niebo z wodami cieśniny i kanałów. W deszczu przejechał tramwaj. Był oświetlony i pusty. Chyba dostrzegł młodą dziewczynę, konduktorkę, pochyloną nad motorniczym, jej palce spoczywały na grzbiecie jego dłoni. Tramwaj zniknął, i znów ten deszczyk, tak jakby wieczorne światło nie pochodziło spoza niego, tylko z niego. Kropelki deszczu łączyły się z wodną mgiełką nad fontanną na bocznym placu, której spokojną wodę podświetlano przez całą noc. Na obrzeżu fontanny drzemał pijany, niechlujny mężczyzna. Był niemłody, siwiejąca głowa opadała mu nisko na pierś. Nogi w butach, ale bez skarpetek, zanurzył w wodzie. Nie poruszał się.

Która może być godzina?

Nachyla się w ciemności, by spojrzeć na zegarek, widzi fosforyzujące wskazówki i nie wie już, co chciał sprawdzić. Może tak się zaczyna powolne staczanie się z bólu w smutek. Psy znów zaczynają ujadać, tym razem wściekle, zawzięcie. Szczekają na podwórzach i pustych placach, proszę, nawet od strony wadi i dalej, z dalekiej ciemności, ze wzgórz słychać psy pasterskie Beduinów, i te bezpieczeństwa, może zwierzyły lisa, szczekanie przechodzi w wycie, następne mu odpowiada, przenikliwie, pełne rozpacz: wszystko stracone. Taka jest właśnie pustynia w letnią noc: Odwieczna.

Obojętna. Szklista. Nie martwa i nie żywa. Obecna.

Spogląda na wzgórze ze środka, zza szklanych drzwi balkonu i zza kamiennego muru, kończącego podwórze. Czuje wdzięczność, nie do końca wie za co. Czy dziękuje tym wzgórzom? Ma sześćdziesiąt lat i szeroką, nieco prostacką twarz galijskiego chłopca, na której stale gości podejrzliwy grymas niedowierzania, z odcieniem skrywanej chytryści. Zdobią ją szpakowate włosy, strzyżone tuż przy skórze, i siwiejący, szacowny wąs. Jest postawny i w każdym wnętrzu robi wrażenie, jakby wypełniał sobą większą przestrzeń, niż w rzeczywistości zajmuje jego ciało. Prawie zawsze mruży lewe oko, nie porozumiewawczo, tylko jakby w skupieniu wpatrywał się w owada lub drobny przedmiot. Siedzi w fotelu rzeński i odprężony, jak po długim śnie. Uznaje ciche związki pustyni i ciemności. Innych wieczorem zaprzatają rozrywki, krzątania, skrucha. On za to chętnie przyjmuje tę chwilę, wcale nie jest dla niego pusta. W tej chwili pustynia jest słuszna, a światło księżycy na miejscu. W oknie naprzeciw ostro świecą pojedyncze gwiazdy nad wzgórzami. Cicho mówi: Jest czym oddychać.

Dopiero wieczorem, kiedy upał zelżeje, mogę odetchnąć. Kolejny zwariowany dzień minął. Wciąż tylko gonię czas. Od ósmej rano do za kwadrans druga w szkole — dwie godziny w klasie humanistycznej, kolejne dwie — powtórzenia do matury, i jeszcze godzina z dziećmi imigrantów z Rosji, myślących o wszystkim, tylko nie o wygnaniu Szechiny. Na lekcji o Bialiku śliczna Ina czy Nina rzuciła: Słowa u niego biblijne, sentyment po Lermontowie, anachroniczna poezja, I wygłosiła dwa wersy po rosyjsku, chciała chyba dać mi pojęcie o poezji, w której gustuje. Przerwałam jej, chociaż i mnie trochę już obrzydł Bialik. Z trudem się powstrzymałam, żeby jej nie powiedzieć, że jak dla mnie, ta cała Szechina może już sobie zostać na tym wygnaniu.

Na mojej wolnej godzinie, od jedenastej piętnaście, usiadłam sobie w czytelnicy przy klimatyzatorze i chciałam się przygotować do następnej lekcji, ale wezwali mnie do pokoiku zastępcy dyrektorki, żebym porozmawiała z jedną z młodych nauczycielek, obrażoną przez starszą stażem koleżankę. Przyznałam po trosze rację każdej z nich, proponując, żeby sobie wybaczyły i zamknęły ten rozdział. Zdumiewające, jak te banały, a zwłaszcza wypowiedziane w odpowiednim momencie i z sympatią dla obu stron słowo „wybaczać”, rozrzewniają i prowadzą do zgody. Takie bzdurne gadanie leczy urazę, może dlatego, że właśnie bzdurne gadanie ją wywołało.

Zjadłam w biegu falafel zamiast obiadu, żeby zdążyć na drugą piętnaście na spotkanie w Radzie Robotniczej. Szliśmy tam, żeby ich pozyskać dla koncepcji ośrodka. Plac koło świateł był pusty i płonął od upału. Na środku zaszuszonego klombu rozmarynu tkwił bez ruchu, wsparty na motyce, starszawy, tęgi imigrant w okularach i czarnym, wełnianym berecie. Jakby zemdłał stojąc. Także słońce nad jego głową omdlewało w ognistej mgławicy. O czwartej, godzinę po czasie, przyjechał z Tel Awiwu adwokat Awrahama Orvieto, Roń Arbel, młody chłopak, słodki rozpieszczony dzieciak, którego matka zmusiła do odgrywania roli biznesmena. Siedzieliśmy z nim w kawiarni California, słuchając zawitych wywodów o stronie finansowej projektu. Za kwadrans piąta wzięłam go do urzędu miasta, żeby poznał naszego skarbnika — lepiłam się już od potu, spod pach czułam kwaśnawy, obcy zapach — a stamtąd do biura pośrednictwa Mukiego, który miał przygotować opis projektu, ale nie przygotował, za to mówił przez pół godziny o sobie i o tym, czego nie kojarzy nasz rząd. Był w koszulce z krzykliwym nadrukiem nowej grupy rockowej Łzy Szatana. Potem centrum pedagogiczne, apteka koło świateł, i jeszcze niecały kwadrans przed zamknięciem zdążyłam do sklepu, odebrałam żelazko z naprawy i pobrałam pieniądze. Wróciłam do domu po zmroku, padając ze zmęczenia i z gorąca. Zastałam go w salonie, siedział w fotelu w ciemności i w ciszy. Znów strajk protestacyjny, żebym czasem nie zapomniała, że płaci samotnością za moje załatanie. Ten obrzęd przebiega według mniej więcej stałych reguł: zasadniczo ja jestem winna temu, że jest między nami piętnaście lat różnicy. On zasadniczo wybacza, bo nie jest egoistą.

Kolację zrobił sam: Jesteś zmęczona, Noa, usiądź, obejrzyj dziennik. Usmażył jajecznicę z cebulą, skomponował geometryczną sałatkę, na-kroił czarnego chleba i podał na drewnianej tacy z serami i plasterkami rzodkiewek, specjalnie naciętych w ten sposób, żeby przypominały pączki róż. I czekał na uznanie, jakby był hrabią Tołstojem, który i tym razem zdołał własnymi rękoma rozpalić piec w chłopskiej chacie.

Po dzienniku zagotował wodę, nalał nam herbaty ziołowej, wsunął mi poduszki pod głowę i pod nogi i nastawił płytę. Schuberta. Śmierć i dziewczyna. Ale kiedy przysunęłam sobie telefon i zadzwoniłam do Mukiego, żeby spytać, czy opis projektu gotowy, i do Ludmira, a potem do Lindy

sprawdzić coś w związku z rejestracją, jego szlachetność prysła. Podniósł się, sprzątnął i zmył naczyń, w milczeniu poszedł do siebie i zamknął drzwi, tak jakbym go miała ścigać. Gdyby nie ta manifestacja, może wzięłabym prysznic i poszłabym mu opowiedzieć, co się zdarzyło, poradzić się, zresztą nie wiem. Nie lubię, kiedy mówi tak, jakby wiedział najlepiej, gdzie tkwi błąd w naszym projekcie, czego i komu w żadnym razie nie powinnam była powiedzieć, a jeszcze bardziej nie lubię, kiedy milczy, słucha i stara się nie stracić wątku, jak cierpliwy wujaszek, poświęcający cenny czas na opowieść małej dziewczynki o tym, co wystraszyło jej lalkę.

Piętnaście po dziesiątej, po zimnym i gorącym prysznicu, padłam jak kłoda na łóżko i próbowałam się skupić na książce o objawach uzależnienia. Z jego pokoju sączyła się audycja BBC. Wydarzenia ze świata. W ostatnim czasie co noc nastawia Londyn, jak Menachem Begin w latach, kiedy zamknął się w domu. Czy czeka na jakąś wiadomość, którą tu się przed nami ukrywa? Szuka innej interpretacji? Czy za ich pośrednictwem rozmawia z samym sobą? Może tylko próbuje zasnąć. Jego bezsenność przenika do mnie, gdy śpię, i płoszy te trochę snów, które mogłabym mieć.

Byłam nieprzytomnie zmęczona. Okulary, światło i książka gdzieś odpłynęły. Jeszcze dotarł do mnie jak spod wody odgłos jego kroków w przedpokoju — szedł boso, pewnie na palcach, żeby mi nie przeszkadzać — otwarcie lodówki, kran, gaszenie kolejnych świateł, zamknięcie drzwi wejściowych, ciche bezsenne wędrówki, które od lat wywołują we mnie lęk, że w domu jest ktoś obcy. Po północy zdawało mi się, że uchyla drzwi, i przy całym swoim zmęczeniu poczułam, że ulegam w obliczu jego smutku. Już prawie powiedziałam „tak”, ale on się oddalił na palcach, może wyszedł na balkon, nie zapalające światła. W letnie noce balkon dobrze mu robi. A może tego wszystkiego wcale nie było — kroki, drzwi, jego żal przenikający przez ściany nikną we mgle — może już spałam. Miałam dziś ciężki dzień, a jutro po szkole następna narada u Mukiego Pelega, i może pojedę do Beer Szewy, załatwię w końcu tę rejestrację. Muszę spać, rano powinnam być bardziej wypoczęta niż dziś. Jutro znów ciężki dzień. I ten upał. I czas, który mija.

Tym razem nie przemknęła za ścianą w drodze na ostatnie piętro, lecz stanęła, otworzyła się z lekkim zgrzytem i zaraz się zatrzasnęła, i pojechała dalej. Zimny i cichy jak gekon, kamiennym wzrokiem wodzący w ciemności za pstryim owadem, brzęczącym w kręgu światła — tak ją przyjmuję. Szelest jej spódnicy, przepływ energii woli poprzedzający ruch, jej ruchy, stukot obcasów między progiem windy a drzwiami i już obrót zamka: bez chwili wahania klucz w jej dłoni trafia prosto do dziurki.

Obeszła kolejne pokoje, mówiąc do mnie tym swoim dźwięcznym, dziewczęcym głosem, nie kończąc zaczętych zdań. Przeszła całe mieszkanie, pozapalała światła w przedpokoju, kuchni, łazience i w salonie nad moją głową, rozsunęła delikatny tren perfum z kapryfolium, wytyczyła przed sobą aleję świateł, jakby włączała lampy na pasie startowym lotniska, żeby móc wylądować. Cały dom mrugał osłepiony.

Kiedy dotarła do mnie, rzuciła na stół w salonie kosz z zakupami, teczkę, z którą chodzi do szkoły, i dwie wypchane siatki i spytała: Czemu siedzisz po ciemku, Teo? I sama sobie odpowiedziała: Znowu zasnąłeś, przepraszam, że cię obudziłam. Chociaż właściwie powinienes mi podziękować, inaczej nie zasnąłbyś w nocy.

Nachyliła się, musnęła wargami moje włosy w przelotnym, kumplowskim pocałunku i zaraz zdjęła ze stolika moje nogi i zamierzała usiąść, ale nie, zrzuciła buty, okręciła się, a wraz z nią cienka spódnica w błękitne romby, zajrzała do kuchni i przyniosła wodę sodową w wysokich szklankach. Powiedziała: Umieram z pragnienia, wypija, otarła usta grzbietem dłoni, jak mała dziewczynka, i spytała: Co tam nowego? Znów się zerwała, włączyła telewizor i dopiero wtedy na moment spoczęła na poręczy fotela, już miała się do mnie przytulić, a jednak się nie przytuliła, tylko jakby unosząc kurtynę, odrzuciła na bok jasne włosy, żeby nie zasłaniały jej oczu, i powiedziała: Posłuchaj, jaki miałam zwariowany dzień.

Przerwała. Nagle puknęła się dwoma palcami w czoło i odskoczyła na drugi fotel. Moment, Teo, muszę wykonać dwa krótkie telefony, może masz chęć zrobić sałatkę? Od rana prawie nic nie jadłam, tylko falafel, po prostu umieram z głodu, poczekaj chwilę, zaraz będę wolna i pogadamy. Wzięła aparat na kolana, gdzie rozkloszowana spódnica układała się w krągłą dolinę, i przyłgnęła do niego na godzinę. Wciąż rozmawiając, bezwiednie pochłonęła całą kolację, którą jej przygotowałam i podałam. Nadawała przez telefon na przemian rady, wrażenia i pochopne sądy, pogryzając tylko w tych krótkich chwilach, gdy dawała swoim rozmówcom czas na obronę. Zauważyłem, że

parę razy powiedziała: Daj sobie spokój, no co ty, a także: Skąd, idź, nie rozśmieszaj mnie, i: Świetnie, super, trzeba się tego trzymać obiema rękami. Jej ręce są dużo starsze od niej samej, a spracowane palce lekko już pokurczone. Skóra się marszczy, a grzbiety dłoni, które przywodzą na myśl grudki ziemi, pokrywa mozaika plamek pigmentu i niebieskawych żyłek. Tak jakby jej faktyczny wiek został na razie wyparty z ciała do dłoni, gdzie gromadzą się cierpliwe siły wędnięcia, czyhając na moment słabości.

Potem za drzwiami łazienki przez jakieś dwadzieścia minut słyszałem szum wody i jej młody głos, śpiewający piosenkę sprzed lat o czerwonej i białej róży, później suszarkę do włosów i otwieranie szufladki w szafce koło prysznica. Po dwudziestu minutach, wymyta i pachnąca, wyszła w jasnoniebieskim, bawełnianym szlafrocuku i powiedziała: Padam z nóg, jestem wykończona, porozmawiamy jutro rano. Nie wydawała mi się zmęczona, tylko lekka, dobrze się czuła w swoim ciele, jej biodra żyły, oddychały i ożywiały cienki szlafroczek. Powiedziała: Dobranoc, Teo, nie gniewaj się, ty też nie kładź się późno. I znowu: Ależ to był zwariowany dzień. Zamknęła za sobą drzwi. Jeszcze przez kilka chwil szeleściła kartkami książki i widocznie trafiła na jakiś zabawny fragment, bo roześmiała się cicho. Kwadrans później zgasła światło.

Jak zwykle zapomniała dokręcić kran pod prysznicem, z przedpokoju słyszałem cienki strumyczek. Poszedłem tam i dokręciłem kurek trochę za mocno, zakręciłem też pastę do zębów, zgasiłem światło w łazience i przeszedłem przez całe mieszkanie, gasząc po niej wszystkie światła.

W jednej chwili potrafi zasnąć, jak kochana przez wszystkich dziewczynka, która odrobiła lekcje, sprzątnęła swój kącik, pamiętała o zdjęciu spinek do włosów i ma pewność, że wszystko jest w porządku, że wszystkim dogodziła, że jutro znowu będzie nowy dzień. Jest w zgodzie ze sobą, z ciemnością, z pustynią na końcu podwórza, za dwoma cyprysami, ze zmiętym prześcieradłem, wciśniętym między uda, i z haftowanym Jaśkiem, który w głębokim uśpieniu mocno przyciska do piersi. Jej sen sprawia, że budzi się we mnie poczucie krzywdy, a może tylko zwykła zazdrość. Złoszczę się, dobrze wiedząc, że nie ma powodu do gniewu, tyle że ta świadomość nie zmniejsza rozgoryczenia, tylko mnie irytuje jeszcze bardziej.

Usiadłem przy swoim biurku w podkoszulku 1 nastawiłem Radio Londyn. Między wiadomościami nadali program o życiu i miłościach Almy Mahler. Spikerka powiedziała, że świat mężczyzn nie był w stanie jej zrozumieć i widział w niej kogoś innego, niż była naprawdę, a potem opisała, jaka naprawdę była Alma Mahler. Zamknąłem jej usta w pół zdania na potwierdzenie, że świat mężczyzn nie zmienił się na lepsze, i bosko poszedłem do kuchni pobuszować w lodówce. Właściwie chodziło mi tylko o łyk zimnej wody, ale łagodne światło sączące się z wnętrza lodówki wchłonęło mnie. Żeby go nie utracić i nie siedzieć w ciemności, nalałem sobie chłodnego wina i odkroiłem trójkącik sera. Tymczasem złapałem się na tym, że robię porządki na półkach. Dwukrotnie powąchałem otwarty kartonik mleka. Nie dowierzałem mleku ani swojemu węchowi. Wyrzuciłem do śmieci parówki, których kolor wydał mi się podejrzany. Jogurty uszeregowałem z tyłu według dat przydatności i poprzekładałem jajka, likwidując odstępy w pojemniku. Zawahałem się chwilę nad słoiczkiem z tuńczykiem, aż wybrałem kompromis: przykryłem go cienką folią. Z bocznej szafki wyjąłem butelki z sokiem i wodą sodową i ustawiłem je w drzwiach lodówki, dopełniając równy szereg. Systematycznie przejrzałem szufladę z warzywami, a później kosz z owocami. Z wielkim trudem zwalczyłem w sobie chęć ataku na zamrażalnik. Ruszyłem na palcach przez przedpokój, aż pod jej drzwi: jeśli mnie wzywa, to jestem, a jeśli nie, spróbuję chociaż pochwycić tchnienie jej snu, może udzieli mi się jakaś częśćka z tej obfitości.

Stamtąd na balkon, na splewiałe krzesło, trochę przypominające babciny fotel.

Noc jest niemal bezchmurna. Srebrzysta poświata, subtelna i zimna, spowija całą ziemię. Która nie oddycha. Dwa cyprysy jak ciosane z bazaltu. Wzgórza o księżycowych kształtach otula księżycowy wosk. Gdzeniegdzie mgła wyłania księżycowe istoty, a w cienistych dolinach kładzie się cień. Cykał świerszcz, dotarło to do mnie dopiero, kiedy przestał. Co błędnie sądzili mężczyźni o Almie Mahler i jaka była naprawdę? Jeśli w ogóle istnieje odpowiedź na to pytanie, uszła mojej uwagi. Prawdopodobnie pytanie nie ma sensu, jest czysto formalne, w zasadzie nie da się na nie udzielić odpowiedzi. Obecność nagich wzgórz w mroku pozbawia znaczenia słowa takie jak „prawdopodobnie” czy „w zasadzie” i wyczerpuje pytanie, co w tobie zobaczyłem, Noa, i co ty widzisz we mnie. Dam sobie spokój. Załóżmy, że widzisz we mnie to, co ja widzę czasem, gdy patrzę na pustynię. A ja w tobie? Powiedzmy: kobietę piętnaście lat młodszą ode mnie, w której pulsuje jądro życia, pulsuje rytmicznie, protoplazmicznie od czasów, gdy nie było na świecie słów ani wątpliwo-

ści. Poza tym zdarza się czasem, że całkiem niezamierzenie chwytasz nagle za serce. Chwytasz za serce jak kocię. Jak pisklę.

Dawno temu orientowałem się trochę w mapie gwiazd. Nauczyłem się tego w wojsku, a nawet wcześniej, w ruchu młodzieżowym. W bezchmurne noce wciąż potrafię rozpoznać oba Wozy i Gwiazdę Polarną. Co do planet, nadal umiem je znaleźć, ale już nie pamiętam, która z nich to Jowisz, która Wenus, a która Mars. W tej idealnej ciszy wszystko stanęło w miejscu i nawet planety, zmęczone, przerwały swoją wędrówkę. Zdaje się, że noc będzie zawsze. Że gwiazdy to otworki w stropie, nad którym jest wyższe piętro, świetliste sople jasności tamtych płonących sklepień. Kurtyna się uniesie, Ziemia skąpie się w blasku i wszystko stanie się jasne. Albo spłonie.

W domu jest dobra lornetka, na drugiej półce od lewej, za pościelą. Mógłbym się podnieść, pójść po nią i wrócić na balkon, żeby zobaczyć coś więcej. Z tej lornetki, którą zostawił jej Nechemia, mógł kiedyś korzystać jej kuzyn Joszko. Albo Gorowej Podglądacz. Parę takich przedmiotów jeszcze się wała po domu. Reszty już nie ma. Trafiła na śmietnik. Jesteś bardziej rozpieszczony niż on, powiedziała mi kiedyś w gniewie, jeszcze gorszy neandertalczyk. I przerwała. Nigdy tego nie powtórzyła. Nawet kiedy się kłócimy, świetnie panuje nad sobą, nade mną też, pilnuje się, nie zdejmuje nogi z hamulca. Ja też uważam i wiem, gdzie przebiega granica: trącąc się kruchymi kieliszkami, cofamy je zawczasu.

Ze wschodu, od strony gór, nadciągnął przenikliwy, pustynny wiatr. Tnie jak ostra, zimna kosa. Pustkowie sekretnie oddycha. Pył i kamień tworzą w ciemności gładką taflę spokojnej wody. Robi się chłodno. Jest prawie druga. Nie jestem śpiący, ale nie zapalając światła, pójdę do siebie, rozbiore się i położę do łóżka. Radio Londyn doniesie mi o tym, czego tu jeszcze nie wiemy. Jak się ma świat tej nocy? Konflikty plemienne w Namibii. Powódzie w Bangladeszu. Znaczny wzrost liczby samobójstw w Japonii. Co będzie dalej? Poczekam i zobaczę. Będzie muzyka punkowa. Brutalna, przenikliwa, szorstka i żądna krwi, z Londynu, we środę, o drugiej piętnaście nad ranem.

Obudziłam się przed szóstą rano, więc zdążyłam przygotować opis projektu. Muki Peleg go przejrzy, a Lin da zaofiarowała pomoc przy przepisywaniu. W południe wyślę go Awrahamowi Orvieto, z kopią dla prezydenta miasta i dla skarbnika. Komu jeszcze powinnam to wysłać? Muszę znaleźć kogoś, kto się na tym zna. Może zdobędę jakiś statut na wzór, posiedzę nad nim i wszystkiego się dowiem. A może mimo wszystko poradzić się Teo? On tylko na to czeka, jak myśliwy. Przecież z góry przewidział, że jestem zbyt słaba, żeby udźwignąć to zadanie. Z góry wiedział, że po tylu a tylu potknięciach i niepowodzeniach przyjdę prosto do niego. Jest dość taktowny, aby na razie milczeć i starać się nie wtrącać. Mądry pedagog. Zachowuje się jak dorosły, który pozwala dziecku wspinać się, gdzie tylko zechce, a sam czuwa za jego plecami, trzymając obie dłonie na wysokości bioder malucha, tak żeby móc go złapać, zanim upadnie.

Opis projektu zaczęłam od krótkiej informacji o narodzinach pomysłu. Mimo że określenie „narodziny pomysłu” wydało mi się nietrafne, lepszego nie znalazłam. Nasz siedemnastoletni uczeń zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku po zażyciu narkotyków. Wśród nauczycieli krążyły sprzeczne wersje okoliczności tragedii. Zainteresowałam się tym chłopcem, chociaż właściwie tak się złożyło, że zamieniłam z nim tylko kilka słów. Immanuel Orvieto był spokojnym uczniem. Jednym z trzech chłopców na trzydzieści dziewcząt w klasie humanistycznej. W ostatnich latach zniknęła nieśmiała młodzież. Wszyscy nasi uczniowie są hałaśliwi na przerwach, za to na lekcjach dukają z wielkim trudem. Znużeni i nieobecni, patrzą na mnie i na Flauberta z rozbawieniem i lekceważeniem, jakbyśmy się starali sprzedać im za wszelką cenę bajeczki o bocianie. Immanuel miał w sobie coś, co zawsze mi nasuwało myśl o zimie. Pewnego razu nie oddał na czas pracy o Agnonie. Na przerwie zatrzymałam go i spytałam dlaczego. Spuścił wzrok, jakbym pytała, czy jest w kimś zakochany, i odpowiedział nieśmiało, że to opowiadanie nie było mu zbyt bliskie. Przerwałam mu ostro, kto mówi o bliskości, chodzi o wypełnienie obowiązku. Nie znalazł odpowiedzi, chociaż bez litości trzymałam go jeszcze dobrą chwilę, zanim powiedziałam chłodno: W porządku. Przynieś w ciągu tygodnia.

Po dziesięciu dniach oddał mi pracę. Było to krótkie wypracowanie, sformułowane ostrożnie, jakby szeptem. Pod zakończeniem napisał w nawiasie uwagę od siebie: Chociaż to obowiązek, w końcu znalazłem w tym tekście coś, co było mi bliskie.

Kiedyś go zapytałam, dlaczego nigdy nie zgłasza się na lekcji, przecież ma coś do powiedzenia, chciałabym go czasem usłyszeć — i znów musiał się chwilę namyślać, zanim wyduślił z lękiem i

wahaniem, że jego zdaniem mówienie to pułapka. Na krótko przed świętem Pesach przedstawiłam w klasie opinię, że Jehuda Amichai chciał wyrazić swój sprzeciw wobec wojen w ogóle. Nagle stłumionym głosem, jakby mówił przez sen, ni to stwierdził, ni to zapytał: To, czego chciał albo nie, chyba przesłania wiersz?

Postanowiłam, że muszę znaleźć trochę czasu i spróbować go skłonić do mówienia.

Ale nie znalazłam. Zapomniałam. Odkładałam to. Mam trzy klasy, prowadzę dwa koła literackie, w tym specjalne koło dla imigrantów. Wszędzie jest po czterdziestu uczniów i niemal wszyscy nie tylko siedzą tępo i cierpią. Po tylu latach ja też właściwie mam trochę dosyć. Już od dawna nie staram się nawet zapamiętać ich imion. Uczę prawie same dziewczyny, prawie wszystkie przez całe lato chodzą w jasnych, obszarpanych szortach, obciętych przy samym kroczu, i prawie wszystkie mają na imię Tali. Zresztą w każdej klasie mam jedną taką, która stale i wciąż poprawia mnie niezadowolony z Tali na Tal, albo odwrotnie, z Tal na Tali.

Prawda jest taka, że aż do tamtej tragedii nie wiedziałam o Immanuelu Orvieto nawet tyle, ile wiedziały konsultantka i wychowawczynie: że miał dziesięć lat, kiedy zamieszkał tu, w Tel Kedar, z ciotką, starą panną, urzędniczką w banku. Że jego matka zginęła kilka lat temu w uprowadzonym samolocie linii Olympic. Że ojciec mieszka w Nigerii i jest doradcą wojskowym. W pokoju nauczycielskim krążyła mglista opowieść o tym, że był zakochany, czy też wplątał się w jakąś historię ze starszą od siebie dziewczyną z Ejlatu, chyba uzależnioną, może nawet rozprowadzającą narkotyki. Przed tragedią słuchałam tego jednym uchem, bo pokój nauczycielski pełen jest wszelkich plotek. Jak zresztą całe miasteczko.

Znaleziono go niedaleko opuszczonej kopalni miedzi, w pobliżu Ejlatu. Wcześniej zniknął z domu ciotki i nie było go dziesięć dni. Spadł ze skały. A może skoczył. Złamał kręgosłup, prawdopodobnie konał samotnie przez cały dzień i pół nocy u podnóża skały, zanim uszło z niego życie. Miejmy nadzieję, że podczas tych wielogodzinnych męczarni był nieprzytomny, ale nie mamy co do tego pewności. Mówiono, że przedtem ktoś podał mu narkotyki, a może sam je zażył albo został do tego skłoniony. Próbowałam nie słuchać tych rozmów, którym zawsze tu towarzyszy przejęty ton, grymasy oburzonej cnoty i cień skrywanej radości, patrzcie, co znaczy cicha woda, patrzcie, o nas też mówią w wiadomościach, w końcu nawet nas poniosły wiry życia, od rana pod szkołą kręci się znana dziennikarka i fotograf, ale dyrekcja zdecydowała, że nikt z nas nie udzieli wywiadu i wszyscy mamy odpowiadać: bez komentarza.

Pogrzeb przekładano dwukrotnie, bo ojciec się spóźnił. Tymczasem po dwóch dniach zmarła także ciotka, urzędniczka. W pokoju nauczycielskim mówiło się o wylewie i o poczuciu winy, a także o przeznaczeniu. Takie tam gęganie, starałam się tego nie słuchać. Prawdę powiedziawszy, ojciec Immanuela od początku budził we mnie niechęć: ojciec, nie ojciec, handlarz bronią, z Nigerii, na pewno ma mnóstwo pretensji, na pewno wini wyłącznie nas. Nietrudno wyrokować z daleka, łatwo skojarzyć parę przesłanek i na tej podstawie wyciągnąć ogólny wniosek. Wyobrażałam sobie, że wygląda jak były bojownik Palmachu, zamożny, stanowczy, pełen wszelkich cnót. Postanowiłam nie iść z delegacją nauczycieli, którzy przed pogrzebem chcieli go odwiedzić w hotelu Kedar. Raczył tu w końcu przyjechać z dżungli afrykańskiej tylko po to, żeby nas obwiniać o nieszczęście, które spotkało jego syna. Dlaczego nie widzieliśmy, nie zareagowaliśmy, to nie do pomyślenia, że nikt z grona pedagogicznego... Ostatecznie mimo wszystko poszłam, może dlatego, że pamiętałam, jak ten wylęczniony dzieciak stał przede mną w milczeniu, zresztą dość krępującym, jakby schodził pod wpływem wstydu na własne dno, po czym się znowu wynurzył i powiedział mi niemal szeptem, że jego zdaniem mówienie to pułapka. Zawarł w tych słowach niemy krzyk, a ja go nie dosłyszałam, a może dosłyszałam, ale zlekceważyłam. Broniałem się przed przekonaniem, że gdybym z nim porozmawiała, gdybym tylko spróbowała się zbliżyć... Przyznawałam to w duchu i zaraz sobie przeczyłam, wruszając ramionami: też coś, zwariowałaś, daj spokój. W końcu na kilka godzin przed pogrzebem Immanuela i jego ciotki jednak poszłam razem z innymi na spotkanie z Awrahamem Orvieto. Tam, w hotelowym pokoju, to się zaczęło i od tamtej pory pochłania mnie bez reszty.

Była jeszcze historia z psem. Immanuel Orvieto miał ponurego psa, który zawsze trzymał się na odległość. Od rana leżał w rzadkim, tamaryszkowym lasku, nie tyle rosnącym, co raczej wyrodniałym naprzeciw bramy liceum, i czekał, aż chłopak skończy lekcje. Jeśli ktoś rzucił w niego kamieniem, wstawał ociężale, włókł się kilka metrów dalej i znów kładł się i czekał. Po tragedii pies zaczął co rano wchodzić do środka, do klasy, nie zwracając uwagi na tumult na korytarzach. Miał

wyleniała sierść i oklapnięte uszy, a opuszczonym nisko pyskiem niemal dotyka! zakurzonej podłogi. Nikt nie śmiał go wyganiać ani dokuczać mu w czasie trwania żałoby. Ani po jej zakończeniu. Przez całe przedpołudnie leżał bez ruchu, złożony smutny, trójkątny łeb na przednich łapach. Znalazł sobie stałe miejsce w kącie, obok kosza na śmieci. Jeśli na przerwie ktoś rzucił mu pół bułki, a nawet plasterki kiełbasy, nawet się nie fatygował, żeby powąchać jedzenie. Nie reagował, gdy się do niego zwracano.

Spojrzenie jego brązowych, zacnych oczu budziło litość. Zmuszało, żeby odwrócić wzrok. Pod koniec dnia nauki, podkulając żałośnie ogon, wymykał się na zewnątrz i znikał do następnego ranka, do pierwszego dzwonka o ósmej. Był to stary pies beduiński w kolorze tutejszego pyłu: płowo-szary. Zakurzony. Teraz, po wszystkim, wydaje mi się, że był do tego niemy, bo nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zaszczekał czy chociażby zaskomlał.

Kiedyś ogarnęła mnie chęć, żeby go wziąć do domu, umyć, nakarmić, rozbawić. Serce mi się ściśnęło na myśl o jego niezmiennym przywiązaniu do chłopca, który nie wróci. Jeśli dam mu na tydzień mleka, sprowadzę weterynarza i wyścielę dla niego skrzynkę w korytarzu, może z czasem się przyzwyczai i da się pogłaskać. Teo ma wstręt do psów, ale na pewno ustąpi, bo jest przecież ustępliwy. Gdybym tylko wiedziała, co zrobić, żeby zrozumiał, jak mi ciąży to jego przemożne liczenie się ze mną. Już widzę, jak znowu mruży lewe oko, jak pod srebrzystym wąsem emerytowanego majora brytyjskiego leciutko drżą mu wargi: Słuchaj, Noa, jeśli to dla ciebie ważne, i tak dalej. Więc zrezygnowałam z psa, który był zresztą stworzeniem dosyć odpychającym i prawdę mówiąc, nijak nie okazywał potrzeby nowej przyjaźni.

Pewnego ranka został potrącony przez samochód, a mimo to wszedł do klasy równo z pierwszym dzwonkiem. Miał potrzaskane tylne łapy. Wyglądały jak połamane patyki. Zawlókł się na stałe miejsce i leżał tam jak zwykle. Nawet nie zaskomlał. Postanowiłam wezwać służby weterynaryjne, żeby go usunęli, ale po lekcjach zniknął, a nazajutrz nie wrócił. Sądziłam, że doczołgał się do jakiejś kryjówki i tam skonał. Kiedy dwa miesiące później wyszliśmy o pierwszej w nocy z zabawy szkolnej, po powitaniu, skeczach, poczęstunku i przemówieniu dyrektorki, znowu się pojawił ten pies, a raczej szkielet psa, kościsty i koślawy. Podskakując na przednich łapach i wlokąc sparaliżowaną tylną połowę ciała, przeszedł w świetle latarni koło zaśmieconego lasku naprzeciw bramy, wypełznął z mroku i w mroku zniknął. Chyba że to nie był on. Mógł to być tylko cień.

Awraham Oryieto przywitał nas na stojąco, wsparty plecami o drzwi balkonu, z którego widać było drżące w rozpalonym powietrzu szczyty gór na wschodzie. Na podwójnym hotelowym łóżku leżała niewielka walizka. Była zamknięta. Na stole dwie cytryny. Letnia marynarka z cienkiej jasnej tkaniny na oparciu krzesła. Był to niski, drobny mężczyzna, wąski w ramionach, o ogorzalej, usianej zmarszczkami twarzy i przeredzonych, siwiejących włosach. Wyglądał jak spracowany hutnik na emeryturze. Nie tak wyobrażałam sobie doradcę wojskowego czy też międzynarodowego handlarza bronią. Zdziwiłam się zwłaszcza, kiedy nie czekając na zwyczajowe kondolencje, zaczął mówić o konieczności chronienia innych uczniów przed narkomanią. Mówił bezbarwnym głosem, niepewnie, jakby bał się, że nas rozgniewa. Chciał wiedzieć, czy Immanuel był jedynym naszym uczniem, który wpadł w nałóg, i prosił, żeby mu opowiedzieć, jak się o tym dowiedzieliśmy.

Zapadła krępująca cisza, bo tak naprawdę, jeśli pominąć plotki w pokoju nauczycielskim, nic nie wiedzieliśmy aż do tragedii. Wicedyrektor, jękając się z ugrzecznienia, wyraził przypuszczenie, że Immanuel sięgnął po narkotyki dopiero w Ejlacie, pod koniec, kiedy zniknął, czyli mniej więcej w ostatnich dniach. Ciotka też nie zauważyła przecież żadnej niepokojącej zmiany, chociaż właściwie nie wiadomo. Ojciec odpowiedział na to, że prawdopodobnie na zawsze pozostaniemy w niewiedzy. Znowu zapadło milczenie. Tym razem przeciągało się. Awraham Orvieto przyłożył do policzków żylaste, zbrązowiałe, chłopskie dłonie o stwardniałych palcach, po czym z powrotem złożył je na kolanach. Wicedyrektor zaczął coś mówić i dokładnie w tym samym momencie odezwał się Orvieto. Zapytał, kto z nas znał Immanuela bliżej, to znaczy kto go znał najlepiej. Wicedyrektor wymruczał coś niewyraźnie i zapadła cisza. Kelner, młody Beduin w białej muszce, śniady i smukły jak piękna dziewczyna, wtoczył do pokoju nakryty białym obrusem wózek z owocami, serami i napojami. Oryieto podpisał rachunek i dołożył zwinięty banknot. Dwukrotnie powiedział: Proszę, ale nikt nie tknął poczęstunku. Nagle zwrócił się do mnie cicho: Pani jest Noa, on lubił pani lekcje, interesował się literaturą.

Byłam tak zaskoczona, że nie zaprzeczyłam. Wymruczałam parę banałów, wrażliwy chłopiec, skrzyty, taki dosyć zamknięty. Ojciec uśmiechnął się do mnie tak, jak to robią ludzie do tego nie-na-

wykli: jakby uchylał zasłonę, ukazując piękne wnętrza, a w nim bibliotekę, lichtarz i ogień w kominku, lecz zaraz ją opuścił, jakby tego wszystkiego nie było.

Pewnego ranka, w sześć tygodni później, Awraham Orvieto zjawił się podczas dużej przerwy w pokoju nauczycielskim, żeby poprosić o pomoc w realizacji pewnego pomysłu. Zamierzał przeznaczyć jakąś sumę na założenie tu, w Tel Kedar, niewielkiego ośrodka odwykowego dla uzależnionej młodzieży z całego Izraela. Chciał w ten sposób uczcić pamięć swojego syna. Tel Kedar to spokojne miasteczko, pustynia może pomóc, widok bezkresnych przestrzeni skłania do zadumy, może da się uratować chociaż kilkoro. Liczy się ze sprzeciwem mieszkańców i dobrze go rozumie, czemu by jednak nie spróbować, przedstawimy nasze założenia i rozwiejemy obawy.

Zdziwiłam się, kiedy zwrócił się właśnie do mnie, chociaż nie byłam wychowawczynią Immanuela, czybym się nie podjęła stworzenia nieformalnego zespołu, którego zadaniem będzie przeprowadzenie wstępnego rozeznania i sporządzenie listy problemów mogących wywołać konflikt z mieszkańcami. On sam bywa w Izraelu rzadko, raz na kilka miesięcy, ale jego adwokat, Roń Arbel, będzie stale do mojej dyspozycji. Jeśli odmówię, przyjmie to ze zrozumieniem i poszuka kogoś innego.

Dlaczego akurat ja?

Widzi pani, powiedział i znów uśmiechnął się do mnie, jakby uchylał zasłonę z kominkiem i lichtarzem, przecież on tylko panią lubił z całej szkoły. Kiedyś opisał mi w liście, jak dała mu pani ołówek. Napisał ten list ołówkiem, który mu pani dała.

Nie przypominałam sobie żadnego ołówka.

A jednak się tego podjęłam. Chyba pod wpływem jakiegoś niejasnego impulsu, aby podtrzymać więź z Immauelem i jego ojcem. Jaką więź? I dlaczego podtrzymać? Co podtrzymać? Kiedy Awraham Orvieto mówił o nie istniejącym ołówku, dostrzegłam w nim cień podobieństwa, nie do syna, lecz do osoby spotkanej wiele lat temu. Jego twarz, przygarbione ramiona, a zwłaszcza ciepły głos, zwłaszcza sposób, w jaki dobierał i łączył słowa, zwrot „skłania do zadumy”, wszystko to przypominało mi poetę Ezrę Zussmana. Poznałam go w sanatorium Kasy Chorych na górze Kanaan. Pod wieczór, kiedy niebo zmieniało barwy, siadywaliśmy z ojcem, ciotką Chumą, Zussmanem i jego żoną na trawiastym zboczu, a niewidzialny wiatr owiewał góry. Ojciec na wózku inwalidzkim, sparaliżowany od pasa w dół, wyglądał jak pięściarz albo zapaśnik, który zestarzał się i nabral ciał. Miał szeroką, nieprzystępną twarz, swoim ciężarem miażdżył naprężone do granic siedzenie wózka, w ogromnej dłoni ścisnął, jak granat gotowy do rzutu, czarny tranzystor. Pozbawione czucia kolana okrywał ciemny, wełniany koc, a ze ściągniętych ramion emanowała agresja, jakby skamieniał, zadając cios niewidzialnemu wrogowi. Otaczaliśmy go na leżakach, wystawiając twarze do światła na pograniczu nieba i gór Galilei, aż ustąpiło zmięchowi. Ezra Zussman pokazał nam swoje wiersze w rękopisie. Były dalekie od naszej poezji głównego nurtu i poruszały mnie jak dźwięki harfy. Któregoś wieczoru powiedział: Wiersz to iskra uwięziona w okrucieństwie szkła, bo słowa to okrucieństwo szkła. Zaraz uśmiechnął się smutno i przeprosił za to porównanie. Potem skończył się urlop, Zussmanowie pożegnali się z nami po cichu, jakby usprawiedliwiali się bez słów, że nas opuszczają, i pojechali w swoją stronę. Następnego dnia ojciec w niepojętym ataku gniewu roztrząsał przenośne radio i odwiozłyśmy go z ciotką Chumą taksówką do domu. Kilka tygodni później znalazłam w gazecie niewielką notkę o śmierci poety Ezry Zussmana i posłam do księgarni w Netani po jego tomik. Nie znałam tytułu, a sprzedawca o nim nie słyszał. Ciotka Chuma kupiła ojcu nowe radio. Wytrzymało ze dwa tygodnie.

Postawiłam Awrahamowi Orvieto warunek, że nie przyjmę żadnej zapłaty za swoją pracę. Wysłuchał mnie w milczeniu. Minęły trzy tygodnie i dostałam przekaz pocztowy. Odtąd co miesiąc przysyła przez mecenasa Arbela trzysta dolarów i pozostawia mi decyzję, ile z tej kwoty przeznaczyć na biuro i pokrycie kosztów przejazdów, a ile na wynagrodzenie za mój czas, poświęcony tej sprawie. Czterokrotnie bez skutku prosiłam Rona Arbela, żeby wstrzymał te przekazy.

Teo mnie ostrzegał: Dziecko, pakujesz się w tarapaty, taki układ pieniężny oznacza nieprzyjemności, może nawet problemy. Trudno uwierzyć, że człowiek myślący praktycznie, handlowiec byłaby w świecie, postępuje w ten sposób wyłącznie z roztargnienia. Jeśli rzeczywiście chodzi mu tylko o uczczenie pamięci syna, dlaczego nie zarejestruje fundacji? Ze skarbnikiem i z księgowością? Jeśli natomiast zamierza zainwestować i stworzyć prywatny ośrodek, zamkniętą klinikę dla dzieci z bogatych domów, coś w rodzaju ciepłego gniazdka dla elitarnych kukulek, wówczas trzysta dolarów miesięcznie to grosze w stosunku do tego, ile będziesz dla niego warta, jeśli zmię-

czysz mieszkańców. Wykorzystują cię, Noa, a ty nie chcesz tego zrozumieć. A w ogóle, to od kiedy zakładasz jakieś ośrodki? Przytułki dla nieprzystosowanych? Przecież ludzie się na to nie zgodzą, nie ma szans, kto chciałby mieć palarnię haszyszu pod samym domem?

Odpowiedziałam: Teo. Jestem już duża.

Zmrużył oko i zamilkł.

Wyszedł do przedpokoju i zaczął prasować koszule.

Oczywiście miał rację. Całe miasto jest przeciw. Ktoś napisał w lokalnej gazecie, nie podając nazwiska, że nie pozwolimy z siebie zrobić wysypiska śmieci dla całego kraju. Tylu rzeczy muszą się uczyć od podstaw. Terminów, których słuchałam jednym uchem w radiu albo je omijałam w gazecie, operacje, koszty, kapitał założycielski, stowarzyszenie, rada nadzorcza, budżetowanie. Jest to dosyć zawiłe, ale już mi się zaczyna podobać. Czterdziestopięciolatka znajduje nowy sens życia — mam tytuł na artykuł w kolorowym dodatku piątkowym. Miałam już propozycję wywiadu w popołudniówce, ale odmówiłam. Nie wiedziałam, czy taki wywiad pomoże, czy zaszkodzi sprawie. Tylu rzeczy będę się musiała nauczyć. I nauczę się.

Czasem sobie powtarzam w trzeciej osobie: Bo Noa potrafi. Bo to dobry uczynek. Poza mną w naszym zespole są jeszcze trzy osoby: Malachi Peleg, znany w całym miasteczku jako Muki, Ludmir i Linda Danino. Linda, astmatyczna rozwódka i wielbicielka sztuki, zgłosiła się na ochotnika, żeby być blisko Mukiego. Pisze na komputerze, na tym polega jej wkład. Muki Peleg przyłączył się do nas przez wzgląd na mnie. Zrobiłby to, nawet gdybym zakładała szkołę dla wron. Co do Ludmira, eks-pracownika firmy energetycznej, to jest on hałaśliwym, egzaltowanym członkiem różnych wrogich elitom władzy gremiów na rzecz równości, przeciwnikiem kamieniołomów i dyskotek. Zapamiętałe piętnuje wadliwe oznakowanie ulic i z pasją redaguje cotygodniową rubrykę „Głos wołający na puszczy” w naszej gazecie. Przez całe lato przechadza się po mieście w szerokich szortach koloru khaki i w zużytych klapkach na starczych, żylastych i opalonych nogach. Ilekroć mnie widzi, rzuca, jak ustalone hasło, zdanie: Cicha Noa brzegi rwie, chichocze i mówi: Nie złość się, moja śliczna, ja tylko żartowałem.

Cała odpowiedzialność właściwie spoczywa na mnie. To trwa już od kilku tygodni; biegam po delegaturach Ministerstw: Spraw Socjalnych, Zdrowia i Edukacji, szarpię za rękaw Ligę do Walki z Narkomanią, oblegam Fundację na Rzecz Młodzieży Zagrożonej, nakłaniam kuratorium i komitet rodzicielski, błagam Agencję Rozwoju, zamieszczam odpowiedzi w prasie lokalnej i ścigam naszą panią prezydent miasta, Bat Szewę, która jak dotąd nie zgadza się nawet na umieszczenie tego projektu w porządku obrad. Cztery razy jeździłam do Jerozolimy, dwukrotnie do Tel Awiwu. Co tydzień pielgrzymuję do urzędów w Beer Szewie. Tu, w Tel Kedar, znajomi i przyjaciele zaczęli już na mnie patrzeć z ironią i troską. W pokoju nauczycielskim mówią: Noa, na co ci to, co cię opętało, nic z tego i tak nie wyjdzie. A ja odpowiadam: Zobaczymy.

Nie mam pretensji do znajomych i przyjaciół. Gdyby inna nauczycielka wpadła nagle na pomysł stworzenia u nas, powiedzmy, kliniki chorób zakaźnych, byłabym pewnie zdumiona albo zła. Tymczasem nasza prezydent miasta wzrusza tylko ramionami, Rada Robotnicza mnie zbywa, rodzice są nieprzychylni, Muki Peleg wykorzystuje każdą chwilę, próbując zawrócić mi w głowie opowieściami o tym, co dostaje od kobiet i co tylko on jeden potrafi dać im w zamian, a Ludmir mnie werbuje do komitetu na rzecz likwidacji kamieniołomów. W miejskiej bibliotece jest już mała półeczka, na której bibliotekarka zbiera dla mnie literaturę na temat metod odwyku. Na półeczce ktoś przykleił kartkę: rezerwacja dla ćpunka Noi.

Teo milczy, bo o to prosiłam.

A ja robię swoje: uczę się.

Miasteczko powstało niedawno. Jest niewielkie, liczy osiem, może dziewięć tysięcy mieszkańców. Najpierw było tu ogrodzone osiedle dla rodzin żołnierzy z baz wojskowych. W latach siedemdziesiątych prowadzono w okolicy wiercenia, a że wyniki były obiecujące, zrodził się plan stworzenia miasta. Dalsze wiercenia przyniosły rozczarowanie, nadzieje poszły w niepamięć i przerwano budowę miasteczka. Główną ulicę, aleję Herzla, wytyczono z rozmachem: sześć pasm ruchu ciągnie się wzdłuż wyraźnie zarysowanej na skalistej równinie linii gór. W pasie oddzielającym jezdnię, zasypanym czerwonym, naniesionym z daleka kurzem, zasadzono palmy. Znęcają się nad nimi silne wiatry. Po obu stronach alei, w żelaznych klatkach owiniętych płótnem dla ochrony przed burzami piaskowymi, sadzonki wianowłostki wciąż wątpią w sens swego istnienia na łasce zraszaczy.

Od głównej alei odchodzi na wschód i zachód kilkanaście bliźniaczych ulic, które nazwano na cześć premierów i prezydentów. Na każdej z nich stoją rzędem zielone latarnie i zamocowane w równych odstępach ławki, też zielone. Są jeszcze skrzynki pocztowe, przystanki autobusowe i oznakowane przejścia dla pieszych. Chociaż ruch jest niewielki.

Zieleńce są przygnębione, bo z pustyni wdziera się wiatr i smaga je biczami kurzu. Mimo to mizerne trawniczki przed domami, a także nieliczne krzewy oleandrów i róż jakoś sobie dają radę. Wichry i upał trawią równe szeregi cztero- i sześciopiętrowych bloków. Każdy blok ma od frontu balkony zaopatrzone w żaluzje lub okna przesuwne w aluminiowych ramach. Chociaż budynki pierwotnie tynkowano na biało, teraz są brudnoszare: z biegiem lat przybrały barwy pustyni, tak jakby próbowały się w nią wtopić i w ten sposób ułagodzić nieco gniewne światło i kurz. Na dachach połyskują lusterka term słonecznych, jakby miasteczko zwracało się po swojemu do palącego słońca, żeby je udobruchać.

Pomiędzy osiedlami zostały duże odstępy. Może przed laty grasował tutaj dotknięty udarem słonecznym architekt, który w malignie zaprojektował dzielnicę tonącą w zieleni, uwzględnił wolne przestrzenie na parki i na sady, kwitnące między blokami? Tymczasem te puste place nadal zajmuje pustynia, upstrzona stosami rupieci i krzakami, które przekroczyły granicę dzielącą świat roślin od przyrody nieożywionej. Rosną tu pojedyncze tamaryszki i eukaliptusy, ofiary słonego wiatru i spiekoty, pochylone ku wschodowi i przez to przypominające obarczonych tobołkami uchodźców, skamieniałych podczas ucieczki.

Północno-zachodnią część miasta zajmuje dzielnica willowa, złożona z około stu domków. Większość wykorzystuje naturalny spadek terenu. Nie znajdzie się tu płaskich, pokrytych papą dachów. Królują czerwone dachówki, poszarzałe po kolejnym lecie. Kilka drewnianych domów zbudowano na wzór chat górskich. Są też inne, z czerwonego kamienia z Galilei, w stylu włoskim albo hiszpańskim, z występami, gzymsami, łukami, owalnymi oknami, a nawet tęskniącymi do lasów i łąk kogutkami na zwieńczeniu dachu. Mieszkają tu zamożni biznesmeni, oficerowie, dyrektorzy, inżynierowie i eksperci.

Po przeciwległej stronie, w części południowo-wschodniej, wąskim wąwozem biegnie wyboista szosa, uszkodzona przez ruchome piaski. Położone są przy niej zakłady ceramiczne i metalowe, nieduża fabryka pralek, a dalej szopy, magazyny, blaszaki i wiaty z azbestu, budynki bez fundamentów z gołych płyt betonowych i desek. To skupisko wszelkich warsztatów. Są tu ślusarnie, stolarnie, elektryka i blacharstwo samochodowe, anteny, naprawa telewizorów, hydraulika i termy słoneczne. Poszczególne zabudowania oddzielają poprzewracane, pordzewiałe i przysypane piachem płoty z siatki. Kurz wokół wiat stężał od ropy i gęstych smarów. Przez całe lato unosi się tu fetor moczu i odór palonej gumy. Słońce płonie jaskrawo, szkliszcie. Dalej, na spadku, mieści się cmentarzysko samochodów, a za nim cmentarz miejski. Tu szosa kończy się rzędem skał zwieńczonych podwójnym ogrodzeniem. Mówi się, że kryją one niedostępną dolinę, pełną tajnych urzędzeń. Za doliną jest jeszcze jeden łańcuch ciemnych skał. Tam, w grotach i jaskiniach, znajdują schronienie kozice, które czasem się pokazują na horyzoncie, po czym kryją się za zasłoną zmierzchu. Są tam nory lisów, jamki skorpionów i żmij. A jeszcze dalej ciągną się skały wapienne, stoki z łupków poznaczony wąwozami i ciemne rumowiska skalne, sięgające aż do granicy spieczonych gór. Czasem otula je drżący opar, a czasem niebieszcą się z dala, łudząco przypominając nie tyle góry, co chmury, które wzniosły się z niewidocznego morza i szybko do niego wróca.

Sześć razy dziennie przyjeżdża autobus z Beer Szewy i staje na przystanku przy centrum handlowym, na placu nazywanym przez wszystkich „koło światła”, chociaż jego właściwa nazwa to plac Irvinga Koszicy. Przyjeżdżający z Beer Szewy wysiadają, kierowca wchodzi na cappuccino i papiersa do Californii, a przez te dwadzieścia minut na przystanku zbierają się chętni na wyjazd do miasta. Koło placu rozciąga się nieutwardzony parking, a wiecznie unoszący się nad nim mialki, szary kurz powleka cienkim woalem sklepy, biura i restauracje. Plac wyznaczają cztery wielopiętrowe budynki w stylu nadmorskim, dwa banki i odnowione kino Paris, kilka kawiarni, będących jednocześnie restauracjami, i zaniedbany klub bilardowy, gdzie mieści się także Lotto. Wszystko to wokół kwadratu, wyłożonego na przemian czerwoną i szarą kostką. Na samym środku placu wznosi się słup z gołego betonu. Jest to pomnik ku czci poległych. Po jego czterech stronach zasadzono cztery cyprysy. Jeden usechł. Literami z czarnego metalu wypisano na słupie: „Chłuba twoja, o

Izraelu, na twoich wzgórzach polega"* . W ostatnim słowie brak przedostatniej litery. Poniżej zamocowano marmurową tablicę, przypominającą tablice przykazań. Jest na niej dwadzieścia jeden nazwisk, od Aflalo Josefa do Szumina Giory Georga. Tablica pękła w poprzek, w szczelinie rośnie powój. Koło pomnika stoi zbiornik z wodą zdatną do picia. Na postumencie z cementu wyryto po hebrajsku i angielsku werset: „Nuże, wszyscy, którzy macie pragnienie, pójźcie do wód — pamięci Donii i Adalberta Cesnik, 5743. Trzy kraniki pochylają się nad odpływem. Dwa z nich płaczą.

W zbiorowisku blaszanych szyldów na dachu banku wyróżnia się ogromne hasło: „Wypełniłem dziś kupon LOTTO". Na ostatnim piętrze budynku na lewo od urzędu miasta, naprzeciw Kasy Chorych, mieści się firma Teo. Nazywa się „Urbanistyka". Na tym samym piętrze jest też gabinet dentystryczny doktorów: Dresnera i Nira, a za nim kancelaria Dubiego Weizmana, biegłego rewidenta i notariusza, gdzie można zrobić ksero i uzyskać pełną obsługę związaną z dokumentami. W wolnych chwilach Dubi maluje gwaszem pejzaże pustynne. Pięć jego prac pokazano kiedyś na wystawie zbiorowej w prywatnej galerii w Herzlii.

Na ścianie biura, w ramce zdobionej muszelkami, wisi powiększenie wzmianki z gazety „Ha'aretz", gdzie wymienia się jego nazwisko. Doktor Nir wspina się po skałach, a żona doktora Dresnera jest daleką krewną piosenkarki, która występowała u nas dwa lata temu, zimą, i rozdawała fanom swoje foty z autografem.

Na schodach Rady Robotniczej usiadło obok siebie dwóch niemłodych Beduinów. Obaj są w dzinsach. Jeden nosi koszulkę Beitaru, a drugi ma na sobie coś w rodzaju wyświechtanej bluzy z wełny koloru khaki, jakie nosiło się w wojsku w pierwszych latach po powstaniu państwa. Niższy mężczyzna złożył rękę na kolanie, wnętrzem dłoni do góry. Na czterech pobrużdżonych palcach spoczywa zgaszony papieros, a kciuk przesuwają się po nim tam i z powrotem. Powoli. Drugi trzyma na kolanach paczkę owiniętą w starą gazetę. Wzrok utkwiał w niebie, a może w antenie błyskającej na dachu posterunku policji. Czekają. Mija ich, powłócząc nogami, stary aszkenazyjski handlarz. Na sznurku wokół szyi ma zawieszoną tacę, a na niej skaczące żabki, bączki, mydła, grzebienie, krem do golenia i tubki szamponu sprowadzanego z Tajwanu. Przygarbiony, w czarnej kipie na głowie, zza okularów posyła w zamyśleniu uśmiech dwóm Beduinom, a ci, niepewni jego intencji, kiwają przejmie głowami.

„Foto Hollywood — wywoływanie zdjęć i wszelkie akcesoria" zamknięte na cztery spusty. Od wewnątrz, pod „podarunkiem gazety «Ma'ariv» dla czytelników", czyli zdjęciem Menachema Begina, przyklejono do zakurzonej szyby kartkę: „Z okazji wspólnego i jednoczesnego wyjazdu na ćwiczenia rezerwy ze strony właścicieli Jehudy i Dżakiego firmę zamyka się od dziś do pierwszego. Klientelę uprasza się uzbroić się w cierpliwość". Przy domu pogrzebowym na metalowych stołkach siedzą trzej religijni młodzieńcy, zatopieni w dyskusji. Jeden z nich jest albinosem. Stary handlarz staje koło nich, chcąc uczestniczyć w rozmowie, kaszle, wzdycha i stwierdza smutno: Czyż Żyd i goj nie są jak oliwa i woda? Dokładnie tak samo ma się rzecz z dwoma Żydami. Z każdym. Choćby to byli dwaj bracia. Jeden z młodzieńców wchodzi do środka i przynosi mu szklankę wody. Starzec dziękuje, pije, stęka, podnosi i zawiesza na szyi tacę z żabkami i mydłem, i drepcze w stronę światła. W swojej ciasnej klitce siedzi introligator Kuszner, ale zamiast oprawiać, pograżył się w lekturze rozsypującej się książki. Okulary w pozłacanej oprawce opadły mu na nos. Lekki uśmiech wskazuje, że książka mu się podoba, a może budzi wspomnienia. Na klombie przy końcu placu posadzono trzy derysy. Mają rzadkie korony i prawie nie dają cienia.

W aptece Szacberga wisi tabliczka z napisem: „Nie sprzedajemy lekarstw na kredyt". Wysoki, potężny mężczyzna mruczy z rumuńskim akcentem: Co znaczy lekarstwo na kredyt? A kędzierzawy chłopak w zakurzonych sandałach, z przewieszonym przez ramię automatem na sznurku zamiast rzemienia, chętnie wyjaśnia: Kredyt to taka zniżka. ,

W „Pałacu Informatyki" burzą ścianę i poszerzają sklep. Niedługo powstanie tu salon najnowszej techniki sieciowej. Jak na razie, cały towar zakryto plastikowymi płachtami, żeby się nie zapylił. Na wyburzanej ścianie wisi plakat z wyniosłą pięknoscią w okularach, wpatrzoną w monitor i pochłoniętą bez reszty programowaniem. Założywszy nogę na nogę, bezwiednie pozwala przechodniom zajrzeć sobie głęboko pod spódnicę. Jasnowłosa dzieciak w skupieniu gra w piłkę ze ścianą kina Paris: łapie, odbija, rzuca, łapie, odbija. Przez długą godzinę nie zmienia zabawy. Na jego skupionej twarzy maluje się poczucie ogromnej odpowiedzialności, jakby każde chybienie oznaczało

* Wszystkie przekłady cytatów biblijnych pochodzą z Biblii w wyd. Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, Warszawa 1975 (przyp. dum.).

tragedię. Starszy mężczyzna w mundurze obrony cywilnej każe mu przestać, zanim zbije szybę. Dzieciak natychmiast posłusznie chowa piłkę do kieszeni i nie rusza się z miejsca. Czekają. Powietrze jest gorące i pełne kurzu, a światło niemal białe. W górze, z linii wysokiego napięcia, już od kilku miesięcy zwisa jak zwłoki wisielca ciemny latawiec, zaplątany w druty. A w Entebe, budce z falaflem, od dziś sprzedaje się także szalermę w picie: Awram był w Beer Szewie i kupił potrzebny sprzęt. Chciałby już wiedzieć, jak pójdzie. No, ale nie ma rady, to musi trochę potrwać. Co będzie, to będzie. Odpukać. Zobaczymy.

O siódmej piętnaście rano piliśmy kawę w kuchni. Powiedziałam: Po szkole znów jadę do Beer Szewy. Mam spotkanie z Benizrim z kuratorium. Jeśli i oni nie zechcą pomóc, już sama nie wiem, co dalej. Nie mów, co o tym sądzisz. Nie teraz. Może poproszę cię o to wieczorem, po powrocie. Zobaczymy.

Uniósł wzrok znad gazety, był jeszcze w podkoszulku. Te jego opalone ramiona, sześćdziesiąt lat, a ciało ma wciąż kształtne i zwarte. Spojrzał na mnie ciepło, nieufnie, jak patrzy się czasem na dziecko, które twierdzi, że boli je brzusek i nie chce iść do przedszkola. Uwierzyć? Czy użyć władzy rodzicielskiej? Żołnierski, wypielęgnowany wąs drgnął w grymasie niedowierzania czy też ironii. Nagle położył szeroką dłoń na mojej i powiedział: Jesteś już duża. Na pewno znajdziesz właściwy sposób.

Teo, powiedziałam, nie jestem idiotką. Chcesz, żebym sobie dała spokój z tym projektem, to powiedz: Noa, skończ z tym. Spróbuj! I zobacz, co się stanie.

Mówiłaś, że mam się nie wtrącać. Trzymam się tego. Kropka. Dolać ci kawy?

Nic nie odpowiedziałam. Obawiałam się kłótni.

Coś w jego szpakowatych włosach, w uprzejmej twarzy, w srebrzystych, przystrzyżonych z zawziętą starannością wąsach, w zmrużonym lewym oku przywodzi na myśl zamożnego chłopca, podejrzliwego ziemianina, człowieka nauczonego przez życie, jak zwracać się do wroga, kobiety czy sąsiada: życzliwie i stanowczo zarazem.

Toczył w palcach kulkę z okruszków, jakby sprawiało mu to przyjemność. Wreszcie zawyrokował: Dziś wieczór pójdziemy do kina. Grają komedię erotyczną. Dawno już nigdzie nie chodziliśmy wieczorem. Jedź do Beer Szewy ostrożnie, w porządku, przeżyję jakoś dzień bez samochodu, tylko uważaj na dziury w jezdni i na te wielkie ciężarówki. Nie wyprzedzaj ich, Noa. Jak najmniej wyprzedzaj. I pamiętaj nabrać benzyny. Czekaj chwilę: ten Benizri. Przecież to wychowanek moich uczniów. Mam do niego zadzwonić? Powiedzieć słowo, zanim się z tobą zobaczy?

Poprosiłam, żeby tego nie robił.

Powrócił do lektury „Ha'aretz”. Wymruczał coś o „tych Japończykach”. Złapałam torebkę, bo tylko biegiem mogłam jeszcze zdążyć na pierwszą lekcję. Od drzwi zawróciłam na moment, wymieniliśmy rodzinne pocałunki: w głowę, we włosy. Do zobaczenia. Dziękuję za samochód. Rano też nie zdążyłam zapytać, co nowego u niego w pracy, gdzie zresztą właściwie nigdy nie dzieje się nic nowego, bo Teo już dawno stracił wszelkie zainteresowanie nowościami. Wieczorem, po powrocie, pójdę z nim do restauracji, obejrzę film erotyczny w kinie Paris. Mam wrażenie, jakby stale mnie śledził. Wiem, że robi to tylko z życzliwości i troski o mnie. Gdyby się o mnie nie troszczył, z pewnością czułabym się dotknięta. To ja jestem wobec niego niesprawiedliwa i może właśnie dlatego ostatnio złości mnie niemal każde jego słowo, wypowiedziane czy przemilczane. W dodatku to natarczywe liczenie się ze mną.

O dziesiątej, na dużej przerwie, zadzwonię do niego do biura. Zapytam, co nowego. Podziękuję, że na cały dzień wyrzekł się dla mnie chevroleta, przeproszę i zapewnię, że będę pamiętać o benzynie i że wieczorem pójdziemy do kina, tak jak chciał.

Przepraszać? Ale za co?

Poza tym w czasie przerw w pokoju nauczycielskim zawsze ustawia się długa kolejka do telefonu. Tylko nastawiają uszu, potem będą mówiły, że słyszały, jak Noa przeprosza Teo, Bóg wie za co. Jak to w małym miasteczku. A przecież to przeze mnie tu jesteśmy. Ja wybrałam to miejsce, a Teo uległ i zgodził się. Gdyby tak wreszcie przestał ulegać i wpisywać swoje ustępstwa w kolumnie „winien” na rachunku.

Jaki znowu rachunek. Nie ma żadnego rachunku. Znów jestem niesprawiedliwa.

Muki Peleg czekał na mnie przy wejściu do liceum. Co się stało? Nic się nie stało, jak rzekła dziewczyna do cieśli, kiedy chciał wiedzieć, jakim cudem tak jej brzuch urósł. Przyszedł mi tylko ob-

wieścić, że od dziś szuka architekta, który nam nieodpłatnie zaprojektuje budynek. Teo byłby to zrobił, gdybym go poprosiła lub przynajmniej nie była temu przeciwna. Ja byłam przeciwna? Kto mówił o budynku? Kiedy to dałam Immanuelowi w prezencie ołówek i zapomniałam o tym? Nie dawałam i nie zapomniałam. To wszystko sen. Dziwny, samotny chłopiec, dla którego mówienie jest pułapką, spuszcza wzrok, zawstydzony, jakby schodził na własne dno, a na zewnątrz, na chodniku przed szkołą, każdego ranka czeka na niego widmowy pies. Na pewno wymyślił sobie ten ołówek. Tylko po co? Czy to możliwe, że zaczynam zapominać, jak to było? Dałam bezwiednie?

W sześć tygodni po pogrzebie, kiedy to Awraham Orvieto powierzył mi stworzenie nieformalnego zespołu, którego zadaniem będzie sprawdzenie możliwości założenia w Tel Kedar eksperymentalnego ośrodka odwykowego, siedzieliśmy razem pod wieczór w kawiarni California. Zamówiliśmy kawę mrożoną w wysokich szklankach, a on łagodnym głosem przedstawiał mi swoją wizję. Miasteczko i pustynia mogłyby ułatwić nieco proces wychodzenia z nałogu: to przyjemne miejsce, gdzie nie ma dzielnic ubóstwa, odludzie działa kojąco, widok pustych przestrzeni skłania do zadumy. Kiedy mówił, jego szorstkie dłonie zdawały się formować jakiś niewidzialny, nie dający się zakręcić przedmiot. Przykuwały mój wzrok. Na przykład moja siostra, ciotka Immanuela, żyła tu chyba z dziesięć lat. Ona też odnalazła ukojenie w tym wyjątkowym połączeniu morza światła i ciszy. Również Immanuel, który zamierzał pisać, a może rzeczywiście miał talent literacki, wie pani na ten temat zapewne więcej niż ja... Tylko dlaczego znowu zacząłem o nim mówić? Jest wciąż obecny. Staje mi przed oczyma blady, skrzyżowanymi rękoma obejmuje ramiona, miał taki zwyczaj, nagle krzyżował ręce, jakby mu było chłodno. Tak jakbym go nie utracił, a wręcz przeciwnie, właśnie teraz przychodzi do mnie z oddali, by być ze mną i dzielić mój ból. Wraca nie pamięć czy myśli o nim, ale właśnie on sam w starym zielonym swetrze. Stoi przede mną blady, bez uśmiechu, milczący, z rękoma na ramionach, plecami dotyka ściany, całym ciężarem ciała wsparty na jednej nodze, drugą trzyma swobodnie. Rozumie pani: jest obecny.

Awraham Orvieto przyjeżdżał tu parokrotnie w ciągu tych lat. Wędrował pośród wzgórz ze swym małym mównym synem. Pod wieczór spacerowali razem godzinę lub dwie ulicami miasteczka, w milczeniu obserwując, jak się rozrasta: nowy ogród, jeszcze jedna utwardzona ścieżka, ławka. Czasem spacerowali nocą. Pomiędzy jego wizytami przybywało światła na wzgórzach, aleje wydłużały się, nowa dzielnica sięgała coraz dalej na wschód. Należał do pokolenia, które wciąż czuje wzruszenie, widząc, jak budownictwo wrasta w pustkowia, lecz Immanuel zdawał się trzymać raczej stronę pustkowi. W każdym razie te nocne wędrowki po pustych ulicach, niemal bez słowa, dobrze robiły im obu. Byli już równego wzrostu. Gdyby nie obowiązki, byłby tu został dłużej: pustynia to miejsce dla niego. Może zostałyby na zawsze. Nie twierdzi, że zrobiłby to naprawdę, bo kto wie, co jest prawdą, a co jedynie naszym życzeniem. Tak czy inaczej, jaki teraz miałoby to sens? Zadając to pytanie, uniósł wzrok znad serwety i posłał mi swój jasny uśmiech, który wznosił się z błękitnych oczu, ożywił ogorzałą twarz i natychmiast przygasł i zniknął, gdy ponownie pochylił głowę. Bezwiednie musnęłam palcami jego dłoń, szorstką w dotyku jak proch, lecz zaraz się opamiętałam. Cofnęłam rękę, z trudem powstrzymując się od przeprosin za ten dotyk bez pozwolenia.

Powiedział: Proszę posłuchać, to jest tak — i zaraz się wycofał: Nieważne. W zmieszaniu zapytałam: Mało jest pustyni w Afryce, tam gdzie pan mieszka? Natychmiast pożałowałam tego pytania. Wydało mi się głupie i obcesowe. Zawierało poniekąd ocenę, a przecież nie miałam żadnego prawa go oceniać. Awraham Ondeto zamówił dla nas wodę sodową do popicia lodów z kawy, które faktycznie pozostawiły w ustach słodkawy posmak, i powiedział: Pustynie w Afryce. Prawdę mówiąc, w miejscach, gdzie bywam, nie ma właściwie pustyni. Przeciwnie, są gęste lasy. Jeśli ma pani jeszcze parę minut, coś pani opowiem, a przynajmniej spróbuję. W pierwszych latach pobytu w Nigerii wynajęliśmy dom w stylu kolonialnym. Dom ten należał niegdyś do angielskiego lekarza. Nie, nie w Lagos, tylko w miasteczku na skraju lasu. Było niewiele większe niż Tel Kedar i bardzo biedne: sypiący się budynek poczty brytyjskiej, generator, posterunek policji, kościół, dwadzieścia lichych sklepów i kilkaset chat z gliny i gałęzi. Immanuel miał dopiero trzy latka, był marzycielskim dzieckiem. Na głowie nosił coś, co przypominało szkocki beret w kratkę, i mrugał, ilekroć ktoś się do niego zwrócił. Erella, jego matka, a moja żona, była pediatrą. Całe dni pracowała w punkcie szczepień, czymś w rodzaju kliniki założonej przez misję w jednym z sąsiednich miasteczek. Od młodości marzyła, żeby być lekarzem w tropikach, Albert Schweitzer zawładnął jej wyobraźnią. Ja natomiast większość czasu spędzałem w podróży. Dom prowadziły służące, wśród nich pewna Włoszka, i młody miejscowy ogrodnik. Na podwórzu mieliśmy kozy, psy, kury, cały zwierzynek,

nawet zwariowaną papugę, o której pani opowiem innym razem. Zresztą nie ma o czym opowiadać. Przygarnęliśmy też szympansiątko. Znaleźliśmy je pewnej soboty w lesie. Musiało się zgubić albo straciło rodziców. Immanuel dostrzegł je na poboczu drogi. Siedziało w porzuconej dziurawej oponie, wpatrując się w nas rozbijając, i już było po nas, od razu podbiło nasze serca. Jak to się mówi, klamka zapadła. Małpka stała się dla nas członkiem rodziny. Pokochaliśmy ją tak bardzo, że rywalizowaliśmy o to, z kim będzie spała. Początkowo Immanuel karmił ją mlekiem pasteryzowanym z butelki ze smoczkiem. Kiedy Erella śpiewała Immanuelowi kołysankę, małpiątko otulało się swoją kołderką. Z czasem nasz szympanś nauczył się nakrywać do stołu, rozwieszać pranie na sznurze i zdejmować je, kiedy wyschło, a nawet głaskać kota tak, żeby zaczął mruczeć. Zwłaszcza zaś umiał się przytulać. Pocałunki, głaskanie, uściski, był bezgranicznie spragniony dowodów miłości, a i obdarza! nas nimi znacznie hojniej, niż my jego. Może czuł, że musi wzmacniać i podtrzymywać kontakt fizyczny między nami, nie wiem zresztą. Był wrażliwy, potrafił rozróżnić i wyczuć, kiedy ktoś z nas był smutny, samotny lub urażony, i wychodził z siebie, aby go rozbawić. Przedstawiał miniparodie: Erella poprawia urodę przed lustrem, Immanuel mruga w zmieszaniu, ja walczę z telefonem, ogrodnik przeszkadza kucharce. Zaśmiewaliśmy się do łez. Immanuel niemal się z nim nie rozstawał. Jedli z jednego talerza i dzielili się zabawkami. Kiedyś ocalił Immanuela przed ukąszeniem jadowitego węża, ale to już inna historia. Raz przyniósł Erelli w prezencie piękną kolorową apaszkę, którą gdzieś dla niej ukradł, i nie wiedzieliśmy, komu ją zwrócić. Kiedy jechaliśmy odwiedzić znajomych i trzeba było zostawić go w domu, biegł za dżipem i szlochał rozdzierająco, jak małe dziecko, które pominięto i skrzywdzono. Ilekroć dostał burę, obrażał się i zniknął, wspinał się na drzewo albo na dach, jak gdyby nas powiadamiał o swojej ostatecznej rezygnacji, ale później przychodził się pogodzić i wyraźnie starał się zaprzyjaźnić na nowo, wynagrodzić nam przykrość przeróżnymi miłymi zabiegami. Czyścił okulary Erelli i wkładał kotu na głowę, a wtedy nie sposób było mu nie wybaczyć i nie pogłaskać go. Z drugiej strony potrafił też zastrajkować, jeśli czuł, że postąpiliśmy wobec niego niesłusznie, na przykład kiedy go zbiłem, bo ze spiżarni zniknęły owoce. W takich wypadkach, skarcony, zasiadał w kącie pokoju i patrzył na nas boleśnie, obwiniająco: Jak mogliście tak nisko upaść, świat ujrzy i osądzi. Wręcz wymuszał na nas poczucie, że zgrzeszyliśmy przeciwko niemu. Jedynym sposobem, żeby odpokutować winy, jak nam to dawał wyraźnie do zrozumienia, było otwarcie szczelnej puszki, gdzie przechowywaliśmy cukier w kostkach. Kiedy Immanuel zachorował na żółtaczkę, szympanś nauczył się nalewać i przynosić napoje z lodówki, a nawet podawać termometr. Sobie też nieustannie mierzył gorączkę, jakby w obawie, czy się nie zaraził. I oto po kilku latach wszedł w wiek dojrzenia. Na pysku i na piersi wyrosły mu bujne białe włosy, co nadawało mu wygląd siwobrodego świętego, i natychmiast zakochał się w Erelli. Przyłgnął do niej. Nie odstępował ani na chwilę. Tu muszę pani wyjaśnić, że jego zaloty bywały subtelne i wzruszające: cesał ją, dmuchał w jej kawę, żeby szybciej ostygła, i podawał pończochy, ale kiedy indziej zdarzało się, że przybierały formę coraz bardziej nieznośnych zachowań seksualnych. Obmacywał ją przez spódnicę, drapał, przyciskał się do jej pleców, gdy się pochylała, i temu podobne. Nie wchodźmy w dalsze szczegóły. Wieczorem, gdy zamykaliśmy się w sypialni, wpadał we wściekłą zazdrość, stawał w oknie i zawodził przez całą noc, wydając ostre jęki, jakby był ranny. Z początku to było zabawne, a nawet wzbudzało sympatię, śmialiśmy się, że niedługo zaśpiewa jej serenadę, ale szybko zrozumieliśmy, że mamy poważny problem. Zaczął na przykład gryźć mnie i Immanuela, jeśli tylko przy nim dotknęliśmy Erelli lub też ona dotknęła nas. Immanuel cofał się i szybko trzepotał rzęsami. Noa, żeby zrozumieć dalszy ciąg tej historii, musi pani wiedzieć, że szympanś to bardzo szybkie i silne zwierzę, a kiedy jest zły lub podniecony, może być niebezpieczny. Dwukrotnie schwycił Erellę tak, że nie mogła się oswobodzić i musiałem ją uwalniać siłą. Przykładem byłem wtedy w domu, ale co by się stało, gdybym był w podróży? Weterynarz wstrzyknął mu parę razy estrogen, co nie ostudziło jego zapalów. Nie wiedziałem, co robić: nie mieliśmy serca go oddać, nie chcieliśmy go okaleczyć, bo był dla nas jak członek rodziny. Chyba pani rozumie: wychowaliśmy go od maleńkości. Kiedy raz połknął kawałek szkła, wysłaliśmy go samolotem na operację do Lagos. Przez cztery doby pełniliśmy przy nim dyżur, pilnując, żeby nie zerwał opatrunku. Gdy po zajściach z Erellą weterynarz doradził kastrację, byłem w kompletnej rozterce, jakby to o mnie chodziło. Wreszcie postanowiłem, że mniejszym złem będzie dla niego powrót do natury. W sobotę przed Wigilią wywiozłem go dżipem w głąb lasu. Uwielbiał wyruszać ze mną w długie podróże. Na wszelki wypadek odjechałem daleko od domu, ponad sto kilometrów. Nie powiedziałem o tym Erelli ani Immanuelowi: wołałem, żeby myśleli, że zaginął, że usłyszał odwieczny zew i

wrócił do korzeni. To się chyba zdarza, chociaż nie znam się na tym i głowy bym za to nie dał. Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze na stacji benzynowej i on, swoim zwyczajem, włożył za mnie wąż do baku i sam włączył pompę. Zjedliśmy coś w przydrożnej jadalni, a on po jedzeniu pobiegł do dzipa po papierowe serwetki. Najwyraźniej wyczuwał mój smutek, a może zwietrzył zdradę. Nie potrafię opisać, jak subtelnie wyrażał swoje oddanie podczas tej ostatniej podróży. Spoglądałem na niego co chwila i na myśl przychodził mi biblijny werset: „jak oniemiała owca przed tymi, co ją strzygą”. Wyczuł to i wtulił się w fotel koło mnie, kładąc mi łapę na ramieniu, ot, dwaj przyjaciele z dzieciństwa wybierający się gdzieś razem dla rozrywki. Jechaliśmy tak niemal trzy godziny. Z początku paplał bez ustanku z jakąś dziecinną gorączkowością, jakby zgadywał, co go czeka, i błagał o uchylenie okrutnego wyroku, lecz gdy zagłębiliśmy się w las, ucichł. Skulił się na siedzeniu, zaczął drżeć i utkwiał we mnie zdziwiony wzrok, jak w dniu, kiedy go znaleźliśmy, gdy jako opuszczone niemowlę spoglądał na nas naiwnie i ufnie z opony na poboczu. Jedną ręką prowadziłem dzipa, drugą głaskałem go po głowie. Czuję się jak zabójca, który ma zadać cios w plecy, z zaskoczenia, osobie bliskiej i niewinnej. Czy miałem inne wyjście? W niespełna rok później Erella zginęła w uprowadzonym samolocie linii Olym-pic, ale czy wtedy, podczas pożegnalnej podróży, mogłem wiedzieć, że po jednej tragedii przyjdzie następna? I tak, w końcu dotarłem na małą polankę. Silnik umilkł. Zapanowała cisza jak ze snu. On wspiął mi się na kolana i usiadł, wtulając policzek w moje ramię. Poleciłem mu wysiąść i nazbierać trochę patyków. Zrozumiał słowo patyki, a mimo to wahał się. Wciąż dygotał i nie ruszał się z miejsca. Może nie do końca mi ufał. Utkwił we mnie nieme spojrzenie, na które do dziś nie znajduję określenia. Musiałem go ofuknąć, aby usłuchał i wysiadł. Strofując go, miałem nadzieję, że mi nie uwierzy, że się uprze, że jeszcze raz odmówi. Kiedy odszedł dwadzieścia metrów, włączyłem silnik, szybko zawróciłem, wcisnąłem gaz i uciekłem. Tak więc ostatnią rzeczą, jaką ode mnie usłyszał, było ostre napomnienie, zamiast łagodnych słów sympatii. W tej chwili pojął, że tym razem to nie zabawa w chowanego, że został oszukany, że to koniec. Kilkaset metrów biegł za mną z całych sił, klusem małpy, w niskich podskokach garbusa, zawodząc przenikliwie. Jak żyję, nie słyszałem tak rozdzierającego płaczu, choć przecież podczas wojen na własnych plecach dźwigałem rannych. Nawet gdy w bocznym lusterku nie mogłem już widzieć jego rozpaczliwego biegu, nadal słyszałem za sobą oddalający się płacz. Dźwięczał mi w uszach całymi tygodniami. Immanuel, który został w domu, twierdził, że i on go słyszy, chociaż to wykluczone przy takiej odległości. Tymczasem problem z mruganiem, któremu nie potrafili zaradzić lekarze z kliniki Erelli, wkrótce zniknął i nie powrócił, nawet gdy dziecko straciło matkę. Jeszcze przez długi czas, wstydząc się jedno przed drugim, skradaliśmy się do furtki o różnych porach w nadziei, a może obawie, że jednak odnalazł drogę. A jeśli się nagle pojawi, jak go udobruchamy, czy będzie potrafił wybaczyć? Przez wiele dni nie otwieraliśmy puszek z cukrem. Potem, po śmierci Erelli, proponowałem Immanuelowi, by przygarnął nową małpkę. Nie chciał nawet o tym słyszeć. Powiedział mi tylko: Daj spokój. Ale właściwie dlaczego ja o tym opowiadam? Co to ma do rzeczy? Może pani pamięta, jak w ogóle pojawił się ten temat? O czym wcześniej mówiliśmy?

Odpowiedziałam, że nie pamiętam, że rozmawialiśmy o czym innym, i znów bezwiednie dotknęłam palcem jego dłoni, i zaraz go cofnęłam, mówiąc: Przepraszam, Awraham.

Awraham Orvieto powiedział, że ma do mnie małą prośbę. Żałuje, że o tym mówił. Noa, jeśli się zgodzisz, uznajmy, że nie słyszałaś tej historii. Potem zapytał, czy chcę jeszcze jedną kawę, a skoro nie, to czy może mnie odprowadzić tam, dokąd idę, to znaczy — jeśli nie chcę teraz zostać sama. Uśmiechnął się pospiesznie, jakby z góry znał moją odpowiedź, i równie szybko spowaźniał. Prawie się nie odzywając i nadkładając drogi, szliśmy zmieszani pustą aleją. Z rosnących po bokach tipuan powoli opadał na chodnik lekki i delikatny deszcz żółtawego pyłku. Ściemniło się i chyba mimowolnie zwolniliśmy, mijając w milczeniu kolejne latarnie, i po jakichś dwudziestu minutach zostaliśmy się na szkolnych schodach, bo pamiętałam, że miałam być tego wieczoru na radzie pedagogicznej. Rada skończyła się wcześniej, więc wybiegłam za Awrahamem, czując nagle ze zdumieniem, że i ja czasem trochę mrugam, a co więcej, trudno mi przestać, ale oczywiście nie było go już na schodach. Pewnie poszedł do hotelu Kedar, a może jeszcze gdzie indziej.

Za tydzień kończy się rok szkolny. W pierwszych latach pobytu tutaj już w połowie kwietnia

coś ją wyganiało z domu, przed czasem zapisywała się na letnie zajęcia: na seminarium w Jerozolimie, festiwal w Galilei, wycieczkę miłośników przyrody na pasmo Karmelu, kursy doskonalące dla nauczycieli w Beer Szewie. Ale w tym roku pochłania ją ta nowa święta misja i nie myśli się zapisywać na żaden letni wypad. W sobotę zapytałam ją, niby mimochodem, co właściwie sobie planuje na wakacje. A kiedy powiedziała: Zobaczmy, dałem spokój.

Ludzie spędzają większość czasu na ustaleniach, przygotowaniach, przyjemnościach. Mnie wystarczy pustynia i dom. Nawet praca stopniowo staje się zbędna. Niedługo przestanę pracować. Emerytura, oszczędności i dochód z domu w Herzlii wystarczą mi już do końca. Co będę robił cały dzień? Będę na przykład badał pustynię, chodził na długie spacery nad ranem, zanim się cała rozpała. Najgorętsze godziny prześpię. Wieczorem wyjdę na balkon albo do Californii, pogram w szachy z Dubim Weizmanem. Nocami będę słuchał Londynu. Wzgórza, wlot wadi, przepływanie pierzastych obłoków, dwa cyprysy na końcu podwórza i oleandry, i pusta ławka koło altany z bugenwilli. Nocą widać gwiazdy. Kilka z nich po północy zmienia swe położenie w zależności od pory roku. Nie w zależności, tylko wraz ze zmianą pór roku. Płaski teren tuż za ogrodzeniem zajmuje pożółkłe ściernisko, gdzie pewien stary Beduin posiał jesienią jęczmień. Wiosną zebrał plony, a teraz przychodzi tu kozy i wygryzają uparcie rżysko. Potem odkryta przestrzeń aż do końca wzgórz i dalej, do ciemnego masywu gór, który czasem wygląda jak mglisty opar. Na zboczach, wśród plam żwiru wypłukanego przez wodę z wyżej położonych stoków, bloki brunatnych krzemieni mieszają się z jasnymi skałami wapiennymi, przez Beduinów nazywanymi chawar. Wszystko jest czarno-białe. Każda rzecz na swoim miejscu. Na zawsze. Tu trwa obecność i cisza. Pokój oznacza zbliżenie się do tego właśnie stanu: ciszy i obecności. Wolności.

W porannych wiadomościach nadali dzisiaj fragment przemówienia ministra spraw zagranicznych na temat nadziei na pokój.

Mylne sformułowanie: albo pokój, albo nadzieja. Wybór należy do ciebie.

Powiedziała, że dzisiaj też jedzie po lekcjach do Beer Szewy. Obiecała nabrać benzyny i nie wracać późno. A przecież nie pytałam, kiedy zamierza wrócić, i nie prosiłem, żeby przyjechała wcześniej. Tak jakby przez pomyłkę wpadła do obcego pokoju i w strachu nie mogła znaleźć okna. Które było i nadal jest otwarte. Miota się od ściany do ściany, bijąc skrzydłami, wpada na lampę, uderza o sufit, o meble, szamocze się. Nie próbuj jej popchnąć do wyjścia: nie możesz pomóc. Każdy twój ruch zwiększy tylko jej przerażenie, a nieostrożność sprawi, że zamiast na zewnątrz, na wolność, wleci do wnętrza domu, gdzie uderzać będzie bez końca skrzydłami o szkło. Jedyna droga, żeby jej pomóc, to nie próbować pomagać. Tylko skurczyć się. Zastygnąć w bezruchu. Wtopić się w ścianę. Ani drgnąć. Czy rzeczywiście okno było i jest otwarte? Czy rzeczywiście chciałbym, żeby wyfrunęła? Czy też, zastygły, wbijam w nią w ciemności kamienny wzrok i czyham, aż wreszcie opadnie na ziemię bez sił.

A wtedy będę mógł się pochylić i zaopiekować nią jak na początku. Od początku.

W Beer Szewie okazało się, że w sprawie spotkania z Benizrim zaszło nieporozumienie. Sekretarka w koleczkach jak dwie kropelki krwi triumfowała: nie znalazła mojego nazwiska w kalendarzu. Twierdziła, że ta, z którą wcześniej ustalałam termin spotkania, to tylko stuknięta maszynistka. Obija się po biurze dwa razy w tygodniu i nie jest upoważniona do obsługi interesantów. Pan Benizri jest na naradzie. Do nocy. Tak, tak, słyszałam, że przyjechała pani specjalnie z Tel Kedar. Przykro mi. Wielka szkoda.

Ponieważ nalegałam, zgodziła się, zdegustowana, sprawdzić jednak telefonicznie, czy nie znalazłby dla mnie kwadransa. Odłożyła słuchawkę dłonią o purpurowych paznokciach i powiedziała: Nie dziś, proszę pani. Proszę spróbować za jakieś dwa, trzy tygodnie, kiedy pan Benizri wróci z konferencji. I niech pani wcześniej zadzwoni do mnie, mam na imię Doris. Jeśli przypadkiem odezwie się ta Tiki — to tak, jakby pani z nikim nie rozmawiała. Biedaczka ma dziecko z jakimś koszykarzem, ten nie chce o niej słyszeć, a na dodatek lekarze właśnie odkryli, że urodziła mongola. Ona jest religijna. Gdybym była religijna, trudno by mi było powstrzymać się od jeżdżenia w szabat. A kim pani jest? Jaką ma pani sprawę do pana Benizriego, może tymczasem ja pani mogę w czymś pomóc?

W tym momencie nie wytrzymałam. Poprosiłam, żeby raz jeszcze mu przeszkodziła i powiedziała, że jest tu Noa od Teo.

Po chwili wypadł ze swojego pokoju rozradowany, trzęsąc tłustymi biodrami i brzuchem. Sama

słodycz. Wejdz, no jak to, pewnie, co tam u naszego drogiego przyjaciela? Jak zdrowie? A praca? Wysłał cię ze sprawozdaniem? Jak to miło. To wybitny człowiek.

I tak dalej.

A co do twojego pomysłu, słuchaj, Noa, mówiąc otwarcie, postawmy sprawę tak: skoro już udało ci się złapać tego sponsora — najlepiej go tu przyślij. Już my go odpowiednio ustawimy. O narkotykach w Tel Kedar dotychczas nie słyszeliśmy. Jedno nic. Więc co, przecież na głowę nie upadliśmy? Mamy tu ściągnąć tych wszystkich, nie powiem kogo, z Wielkiego Tel Awiwu? Niech włoży te pieniądze, powiedzmy, w dom starców, tak będzie dla niego lepiej. Miejsce na jesień życia, jak to mówią. Akurat tego u nas brakuje i interes może pójść. Ale sprowadzić transport ćpunów? Przecież wiesz, że w dzisiejszych czasach na narkotykach się nie kończy: idzie za nimi przestępczość, AIDS, przemoc i, wybaczyć, różne zbrodnie. Dlaczego tak miła osoba jak ty w ogóle pakuje się w taką historię? To może, nie daj Bóg, rzucić cię także na Teo. Wiesz, jak to teraz jest, każda bzdura to zaraz media, pytania, lokalne szmatławce, szambo, niech Bóg broni. Natomiast faktem jest, że nie wolno zmarnować sponsora. Sprowadźcie go do mnie. W naszych czasach sponsorzy nie rosną już na drzewach, przez fatalny wizerunek państwa, przez bałagan, w jaki wciągnęli nas przekłeci Arabowie, niech ich diabli, na terytoriach okupowanych. Co Teo o tym mówi? Pewnie się tym zagryza. Duszę by oddał za to państwo. Jak długo już jesteś z Teo? Co to jest osiem lat? Osem lat to jest pestka. Jedno nic. Lepiej posłuchaj kogoś, kto go zna z poprzedniego wcielenia, kiedy w Izraelu był tylko piach i marzenia. My go cenimy z czasów, gdy wysadzał brytyjskie radary i posterunki policji. To człowiek bez zarzutu. Co tam bez zarzutu: to wzór. Gdyby został w Agencji Rozwoju, nie byłoby tych wszystkich wpadek, jakie potem mieliśmy. Szkoda, że tak się wypalił. Ależ on miał wrogów! Przez zazdrość i przez te jego zasady. Masz w domu skarb narodowy, zawsze o tym pamiętaj, strzeż go jak źrenicy oka. I nie zapomnij pięknie mu się pokłonić od Benizriego. A co do tych ćpunów, daj sobie z nimi spokój, zanim zrobi się śwąd. Najlepiej niech ten sponsor przyjdzie do mnie, już ja go naprowadzę na właściwy tor. Do zobaczenia. Całą drogę do Tel Kedar prowadziłam starego chevroleta jak terrorystka: wyprzedzałam z głośnym trąbieniem, ścinałam zakręty, cała spięta, palona lodowatym gniewem, triumfalnie pulsującym w skroniach. Jakbym już dokonała zemsty.

Zamiast do domu, zajechać prosto do Mukiego Pelega, zasiąść noga na nogę na niskim łóżku, płyta, przyćmione światło, buty, kieliszek wina, bluzka, stanik, bez pożądania i żadnych uczuć, poza tym niszczycielskim pulsem. Wargi, ramiona, piersi, a potem na południe, stopniowo, podręcznikowe, mniej więcej dwadzieścia minut, z jego strony też nie pożądanie, tylko zbieranie zaliczeń w karcie wyczynów, która nigdy się nie zapełni. W końcu będę musiała przyznać mu zdobyte punkty, maleńka, jaki byłem? Byłeś wielki, niesamowity, a sobie pozostawić satysfakcję, że poniżyłam „źrenicę oka”. Potem wezmę u niego prysznic i ubiorę się, a kiedy będę zapinać guziki bluzki, on nie wytrzyma i znowu zapyta, jak było, i tym razem odpowiem ulubionym zwrotem Benizriego: dziękuję, jedno nic. Włączę silnik i ruszę do domu, wylądowawszy gniew terrorystki. Oświadczę Teo, że dziś ja gotuję. Bo tak. Bo taką mam ochotę. Na białym obrusie i z winem. Z jakiej okazji? Z okazji decyzji Noi, żeby się opamiętać i dać za wygraną. Z okazji jej spóźnionego powrotu do normalności. Dziś w nocy nie będzie lisiego skradania się w przedpokoju ani BBC z Londynu. Dziś w nocy uśpię go w moim łóżku, a sama obejmę jego strażnicę na balkonie. Nadeszła moja kolej, żeby posiedzieć trochę twarzą w twarz z ciemnością. Jutro rano, zanim pójde uczyć poezji Bialika, napiszę kilka zdań do Awrahama Orvieto, niech kto inny go wykorzystuje. Wiersze odnalezione po śmierci Ezry Zussmana nosiły tytuł Kroki w piasku tonące; znaleźli mi w końcu ten tomik w bibliotece uniwersyteckiej w Beer Szewie. Na sześćdziesiątej trzeciej stronie znalazłam wiersz, którego pierwsza część mi się spodobała. Zamiast tworzyć ośrodki, zgłoszę się do zbiórki ciepłych ubrań dla imigrantów. Albo paczek dla żołnierzy. Wymyślę inny dobry uczynek, w granicach swoich możliwości, żeby z nudów nie chodzić po ścianach. Może w imieniu szkoły zredaguję pamiątkowy zeszyt o Immanuelu Orvieto, spróbuję zebrać materiały, chociaż pewnie okaże się, że tak naprawdę nikt nie ma nic do napisania, bo niby kto, nawet wychowawczynie i konsultantka go nie znały.

Dobrzy ludzie zazwyczaj biorą się za czynienie dobra pod wpływem emocji. Uważam, że to żałosne. Dobru należy służyć jak pewien zmęczony, starszawy policjant z niewielkim brzuszkiem, o okrągłej, pospolitej twarzy, którego widziałam niegdyś na krzyżówce pod Aszkelonem. Czołgał się na brzuchu, żeby przed przyjazdem karetki pomóc rannym, uwięzionym w przewróconym na dach

samochodzie. Było to kilka lat temu, a wciąż pamiętam każdy szczegół: leżąc w kurzu, przez zmiążdżone drzwi robi! sztuczne oddychanie nieprzytomnej kobiecie. A kiedy przyjechała ekipa ratunkowa i lekarz, albo sanitariusz, podczołgał się i zajął jego miejsce, policjant wstał, odwrócił się, w niczym już nie mógł pomóc rannym, więc szybko zajął się rozładowywaniem korka: Już po wszystkim. Dalej, jazda, proszę pani. Przedstawienie skończone.

Szorstko. Wręcz obcesowo. Głosem ochrypłym od papierosów. Nie zważając na włosy zlepione błotem, zgniecioną czapkę i spływającą z nosa strużkę krwi, zabrudzonej kurzem. Miał plamy kwaśnego potu pod pachami, zmieszany z brudem pot ściekał mu z czoła na szyję. Minęło już kilka lat, a ja nie mogę zapomnieć tej szczególnej mieszanki oschłości i szlachetności. Wciąż mam nadzieję, że będę służyć dobru w sposób, jakiego nauczył mnie ten policjant: bez egzaltacji, za to z najwyższą precyzją. Służbiście, na granicy grubiaństwa. I pewną ręką. Ręką chirurga. „Gdzie zatem świecić mamy, i komu potrzebny nasz blask”, napisał Ezra Zussman w wierszu otwierającym tomik.

Zanim dojechałam do świateł w Tel Kedar, dzięki policjantowi i wierszowi przemogłam urazę i zrezygnowałam z zemsty: Muki Peleg znajdzie sobie inną. Zadowolili się Lindą Danino. Co to da, że jeszcze jedna upokorzona kobieta odda się, między siódmą a siódmą dwadzieścia, w gorący i parny wieczór, w jakimś pustynnym miasteczku, przy dźwiękach Bolera Ravela, na zakurzonej narzucie, chełpliwemu, nieco już sfatygowanemu donżuanowi, zlanemu krzykliwym płynem po gołeniu, żeby ukarać mężczyznę, który nie miał zamiaru jej skrzywdzić i który nigdy nie dowie się, co zrobiła?

Nic. Jedno nic.

Kiedyś, po typowej dla niego fali umizgów i komplementów, wypowiedanych mechanicznie, jak z obowiązku, Muki Peleg powiedział mi, że lubi właściwie nas oboje. I mnie, i Teo. Nie lubi. Ceni. I to nie. Nigdy nie umie powiedzieć tego, co ma naprawdę na myśli. Na tym polega jego problem. Po tylu latach, tak powiedział, Teo i ja upodobniliśmy się do siebie w jakiś trudny do określenia sposób. Nie z charakteru. Nie z wyglądu. Nie jesteśmy też podobni w ruchach, tylko w czymś innym, jeśli rozumiem, co chce przez to powiedzieć. Często można zaobserwować, jak u par nie mogących mieć dzieci wytwarza się powoli takie właśnie podobieństwo. Nieważne. Przepraszam. Znowu mi się wyrwało. No proszę, teraz się zaczerwieniłam, wszystko przez niego, bo gada bez sensu i bez wycucia. Przepraszam. Zawsze wychodzi mu odwrotnie, niż chciał powiedzieć. Może mamy podobne wibracje. Nie. Skądże znowu. To też nie to.

Powoli przejechałam koło biura Mukiego, pośrednictwo i inwestycje, i zawróciłam na światłach w kierunku alei Prezydenta Ben Cwiego. Tam stanęłam na chwilę, próbując przypomnieć sobie, o czym zapomniałam, i podjęłam decyzję, że Noa się nie podda, że dalej będzie kierować zespołem założycielskim ośrodka opiekuńczego imienia Immanuela Orvieto. Przynajmniej dopóki nie znajdzie się odpowiedniejsza osoba, gotowa podjąć się tego zadania, I już. Proszę pani. Jazda, przedstawienie skończone.

Mimo to zaparkowałam wielkiego, poobijanego chevroleta przed supermarketem. Kupiłam mięso, sałatki i wino, awokado, pikantne oliwki, bakłażana i cztery rodzaje serów: grzech odwołano, ale uczta pokutna nadal obowiązuje. Zastałam Teo w salonie. Leżał boso na białym dywanie, w podkoszulku i spodniach od dresu. Nie czytał. Nie włączył telewizora. Może znów, tak jak wczoraj i przedwczoraj, drzemał z otwartymi oczami. Po wzięciu prysznicą włożyłam kwiecistą spódnice, cienką, niebieską bluzkę i apaszkę. Wyłączyłam telefon, chociaż miałam jeszcze załatwić jakąś sprawę, nie pamiętałam jaką. Zabroniłam Teo pomagać mi w przygotowaniu posiłku, a kiedy zapytał, z jakiej to okazji, odpowiedziałam żartem: Na cześć żrenicy oka.

Zasiadł przy stole kuchennym i podczas gdy ja kroiłam, podgrzewałam i nalewałam, cierpliwie składał zielone serwetki, po czym wsunął je starannie, jedną po drugiej, do serwetnika. Mam wrażenie, że przy każdej czynności fizycznej, nawet tak prostej jak otwarcie koperty czy nastawienie adaptera, dostrzegam u niego precyzję i zręczność manualną, odziedziczoną być może po wielu pokoleniach zegarmistrzów, rzeźników, skrzypków i kopistów. Chociaż kiedyś mi opowiadał, że jego dziadek ze strony matki był ostatnim z rodu grabarzy w jakimś ukraińskim miasteczku. Trzydzieści dwa lata pracował jako urbanista, z czego większość jako starszy specjalista, w Agencji Rozwoju. Słyszałam, że zgłaszał pomysły, walczył o różne sprawy, niektórzy uważają, że pozostawił po sobie trwałe ślady. Kiedy poznałam go w Wenezueli, był już zobojeźniały, niemal zimny. Nigdy nie chciał rozmawiać o tym sporze, porażce, starciu z ministrem, o wszystkim, czego się dowiedziałam z mętnych, wrywkowych pogłosek. O usunięciu, może znowu, w wyniku której odstawił go na

boczny tor. Ilekroć próbowałam o to pytać, chronił się za powiedzonkami w stylu „moja epoka mi-nęła” albo „już dałem, co miałem do dania”. I to wszystko. O swojej pracy nie mówił. Nie chciał, żebym poznała jego znajomych z tamtego okresu. Na zamieszkanie w Tel Kedar zgodził się w ciągu dwóch dni od chwili, kiedy po raz pierwszy przedstawiłam ten pomysł. Kiedy znalazłam posadę nauczycielki w tutejszym liceum, otworzył małą firmę Urbanistyka Sp. z o.o. W ciągu paru miesięcy odciął się od dawnych znajomych jak ktoś, kto dobrowolnie postanowił się całkowicie wycofać. Jak mówił, i tak tylko kilka lat zostało mu do emerytury. Czasem pod wieczór wychodzi na godzinę, dwie do kawiarni California, siada w kącie przy oknie wychodzącym na światła i czyta „Ma'ariv” albo gra z Dubim Weizmanem w szachy. Ale najczęściej wraca z biura dziesięć po piątej i nie opuszcza domu do następnego dnia. Jakby odwracał się plecami do życia. Z czasem zapadł w sen zimowy, trwający nieprzerwanie zimą i latem, jeśli można mówić o śnie zimowym w wypadku kogoś, kto cierpi na bezsenność.

Przygotowując ziemniaki w mundurkach, pieczone w srebrnej folii, opowiedziałam mu o Benizrim i mało brakowało, a opowiedziałabym także o tym, czego omal nie zrobiłam w drodze do domu. O dobrym policjancie nie chciałam mówić, chociaż wiedziałam, że Teo mnie nie wyśmiej. Powoli, z namysłem, w skupieniu, jak przy wielkim wysiłku umysłowym, złożył ostatnią serwetkę i wsunął ją do serwetnika. Tak jakby ta serwetka była ważniejsza albo trudniejsza do złożenia niż wszystkie poprzednie. I powiedział spokojnie: Ten Benizri nie jest wielkim mędrce. A potem: Nie jest ci łatwo, Noa. Te słowa sprawiły, że powstrzymałam łzy.

Po lodach i kawie spytałam, co chciałby robić wieczorem. Może zdążymy na drugi seans komedii miłosnej w kinie Paris. Jeśli ma inny pomysł — niech powie. Spełnię każde życzenie. Odwrócił głowę i spojrzał na mnie, lekko mrużąc oko. Szeroka chłopska twarz wyrażała teraz jednocześnie rozbawienie, ironię, sympatię i podejrzliwość, jakby odkrył we mnie jakiś szczegół, który mu wcześniej umknął, i uznał, że akurat ten szczegół przemawia na moją korzyść. Spojrzał na zegarek. Powiedział: Teraz na przykład pewnie wziąłbym cię na zakupy i kupiłbym ci sukienkę. Ale sklepy już są zamknięte.

Zamiast kupować sukienkę, wybiegliśmy do kina na drugi seans, zostawiając naczynia na stole. Latarnie na placu dawały niewiele światła i tylko bladożółty snop ukrytego w krzakach reflektora oświetlał pomnik poległych. Na żelaznej barierce siedział samotny, szczupły żołnierz i pił piwo z puszki. Wpatrywał się w nogi stojącej tyłem do niego dziewczyny w krótkiej, czerwonej spódniczce. Kiedy go mijaliśmy, przeniósł wzrok na mnie. W tym wzroku odbijało się tłumione przez lęk pożądanie, jak po zawodzie miłosnym. Objęłam Teo w pasie. Powiedziałam: Ja jestem tutaj. A ty? Położył dłoń na moich włosach. Twoja kolacja, tak powiedział, to było arcydzieło, nie kolacja. Zapytałam: Jak myślisz, Teo? Muki Peleg powiedział mi kiedyś, że ty i ja jesteśmy w czymś podobni. Rozbawiło mnie to, bo w czym jesteście podobni?

Odpowiedział: Muki Peleg. Kto to jest? Ach, ten pośrednik. Ten błazen z sześcioma palcami u lewej ręki. Halaśliwy typ, prawda? Casanova dla ubogich. To ten, co kręci się w koszulce z nadrukiem „Łzy Szatana”? Może myślę go z kimś innym. Skończ z tymi osądami, powiedziałam, każdego musisz podsumować.

Był to film angielski, ironiczny, trochę przeintelektualizowany. Wykształconą i niezależną redaktorkę znanego wydawnictwa pociąga czarny imigrant z Ghany. Oddaje mu się raz, z ciekawości, po czym ogarnia ją burza zmysłów, aż staje się jego niewolnicą, pod względem fizycznym i finansowym. Następnie staje się także niewolnicą jego dwóch braci, dość brutalnych. Efekt komiczny zasadzał się na stosunkach między członkami rodziny bohaterki, radykalnymi miłośnikami Trzeciego Świata i uciskanych ras, a kochankiem i jego braćmi: spod cienkiej warstwy tolerancji i szerokich horyzontów wciąż przebijały najbardziej rozpowszechnione i prymitywne uprzedzenia. Od strony wizualnej film zawierał ostre przejścia od zadbanych salonów w stylu oświeconej bohemy, do zapuszczonych kuchni w zaułkach nędzy i z powrotem do pokojów pełnych książek i półek z dziełami sztuki afrykańskiej. Mniej więcej w połowie filmu szepnęłam Teo: Zobaczysz, że miłość zwycięży. Objął mnie. Minął może kwadrans, zanim odpowiedział mi szeptem: Tu nie ma żadnej miłości. To jeszcze raz Franz Fanon i bunt uciskanych, biorących odwet seksualny.

Po powrocie do domu zniknął w kuchni i wrócił po dziesięciu minutach ze szklankami i dzbankiem ciepłego ponczu, przyprawionego cynamonem, miodem i goździkami. Piliśmy prawie bez słowa. Pod wpływem jego spojrzenia założyłam nogę na nogę. Teo, powiedziałam, naucz się: do ponczu nie dodaje się miodu. Miód można dodać do herbaty. Do ponczu daje się trochę cytryny. I

dłaczego w tych szklankach? To szklanki do zimnych napojów. Do ponczu są inne szklanki, te mniejsze. Jest ci już wszystko jedno. Nic cię już nie obchodzi. Jedno nic.

W łóżku nie rozmawialiśmy. Włożyłam skromną koszulę, jak religijna pensjonarka, tak to kiedyś określił, a on wszedł do mojego pokoju nagi, ubrany tylko w szorstki, elastyczny ochraniacz na kolano, pamiątkę po dawnym urazie. Wydało mi się nagle, że opuszkami palców wyczuwam, jak jaśnieją włosy na jego ramionach i piersi, i z kruczoczarnych stają się szare, popielate, wreszcie srebrne. Jest skupiony i twardy, ale pragnienie tej nocy buja gdzieś poza nim: tak jakby chciał nade wszystko objąć czy otulić mnie całą, jakby pragnął tylko mnie zawrzeć, pomieścić w swoim wnętrzu, i był tak pochłonięty dotarciem do całej mojej skóry, że prawie nie dbał o to, co, i czy w ogóle, dostanie moje ciało, bylebym tylko zwinęła się i skuliła jak płód, spowita nim, jak pisklę pod skrzydłem matki. Chciałam i jednocześnie nie chciałam mu w tym ulec, posłusznie dać mu dawać mi i dawać, aż wyśliznęłam się z jego objęć, z pieśczoły, którą mnie obdarzał, i sprawiłam, że leżał na plecach, nie pomagając mi w tym, co z nim robiłam, aż nadszedł punkt wyrównania, a za nim, aż do końca, byliśmy tylko my dwoje, jak w grze na cztery ręce, mogliśmy wyglądać przez chwilę jak dwoje oddanych rodziców, schylonych nad kołyską, w skupieniu zabawiających niemowlę, które tak pięknie potrafi odwzajemnić miłość. Potem przykryłam go prześcieradłem i jednym palcem głaskałam mocne, chłopskie czoło i posiwiałe włosy, strzyżone po wojskowemu na jeża, a kiedy zasnął, wstałam i poszłam boso do kuchni, zebrałam, pozmywałam i wytarłam naczynia z kolacji i szklanki po ponczu, które nie były wcale do ponczu, tylko do zimnych napojów. Jak wpadł na ten pomysł z miodem, dziwne, żrenica oka, co miał na myśli, mówiąc: Nie miłość, tylko bunt uciskanych ras. Odłożyłam wszystko na miejsce i zmieniałam obrus na czysty, haftowany. Teo się nie obudził. Jakbym mu przekazała tej nocy wszystkie zapasy snu. Zająłam jego miejsce na balkonie, na wprost pustyni. Myślałam o tym, co mówił Benizri, że na początku był tu tylko piach i marzenia, o maszynistce, Tiki czy Riki, tej, która ma dziecko z koszykarzem, a on nie chce teraz o niej słyszeć, o tym, że u dziecka wykryto mongolizm, że jak określiła to ta czerwona, „jest mongolem”. I jeszcze myślałam o zakochanym szympanse, o puszcze na cukier w kostkach i o chłopcu, który mrugał w dzieciństwie. Nawet latem miałam czasem wrażenie, że zamknęła się nad nim kupa zimy. Może dlatego, że majaczyła mi jego postać w zielonym swetrze i brązowych sztruksowych spodniach w klasie, gdzie wszyscy chodzili w szortach. Chociaż teraz nie byłam całkiem pewna tych sztruksowych spodni. To, co on chciał albo czego nie chciał powiedzieć, chyba trochę przesłania wiersz? Powinnam była koniecznie zainicjować rozmowę. Zaprosić go tutaj, do domu. Skłonić go do mówienia. A tymczasem w pędzie minęłam jego samotność. Innym razem powiedział, że jego zdaniem mówienie to pułapka. Dziś nie pojmuję, jak mogłam nie zauważyć, że to było wołanie o pomoc. „We wszystko wsącza się uśmiech, więdnienie drżące, zbolale”, napisał Ezra Zussman w wierszu o jesiennych wieczorach.

Nad wzgórzami wschodzi zakrzywiony muzułmański półksiężyc, oblewając bledością puste place i bloki osiedla. W żadnym oknie nie ma już światła. Latarnie palą się nadal bez potrzeby, któraś z nich ciągle mruga: jedno nic. Kot przeszedł pod balkonem i zniknął w krzakach. Zza wzgórz dobiegła stłumiona seria strzałów, a po niej drżące echo, i znowu chłodna cisza. Którą czułam na skórze. Myślałam jeszcze o ciotce urzędnicze, zmarłej dwa dni po znalezieniu chłopca. Nieladnej, oschłej kobiecie o równo obciętych włosach koloru miedzi, upiętych gładko pod plastikowym grzebykiem. Miała ten dziwny zwyczaj, że kiedy w banku musiała rozmawiać z kimś, kto siedział naprzeciw niej, zasłaniała piegowatą dłonią usta i nos. Jakby wечно obawiała, się woni czyjegoś oddechu, a może raczej woni własnego. Zwykła była kończyć rozmowę słowami „W porządku, na sto procent”. Zawsze wypowiadała je tym samym, bezbarwnym tonem. Szelest przeszedł po mrocznym ogrodzie, jakby myśli o zmarłych opuściły mnie i spłynęły między oleandry. Jakby pełzały tam na brzuchu koślawe szczątki psa. Przez chwilę miałam wrażenie, że zapomniana ławka w altanie z bugenwilli jest uszkodzona: w świetle księżycy cienia nówek nie sposób było odróżnić od samych nówek, a ławka stała się własnym odbiciem, załamującym się w drżącej wodzie. Co miał na myśli Awraham w pokoju nauczycielskim, gdy mówił, jakby to był fakt oczywisty i znany wszystkim poza mną, że chłopak lubił tylko mnie? Może powinnam była poprosić, żeby pokazał mi listy syna, a zwłaszcza ten, gdzie była mowa o nie istniejącym ołówku.

Rano, za piętnaście siódma, obudził mnie Teo z egzemplarzem „Ha'aretz” pod pachą. Rzeński, ogolony, silny, w starannie wyprasowanej niebieskiej koszuli z pagonami, szeroki w ramionach, posiwiał i krótko ostrzyżony, wyglądał jak emerytowany oficer wojsk kolonialnych. Podał mi

czarną kawę, mocną i bardzo gorącą, którą zmełł, jak co rano, w ręcznym młynku i długo parzył w ekspresie, jakby chciał mi w ten sposób przypomnieć jakąś scenę z komedii angielskiej. Widocznie w środku nocy, zamiast wrócić do łóżka, zasnęłam na białej kanapie w salonie. Wprawdzie tego nie pamiętam, ale jak inaczej mam sobie to wytłumaczyć. Wzięłam od niego kawę i powiedziałam: Słuchaj, wczoraj obiecałam nabrać benzyny do chevroleta w drodze powrotnej z Beer Szewy, ale w końcu zupełnie o tym zapomniałam. Nie gniewaj się. Teo odpowiedział: Nie szkodzi, sam zatankuję w drodze do biura, ale najpierw odwiozę cię do szkoły. Czasu mi nie brakuje, Noa.

Biuro projektów Teo, Urbanistyka Sp. z o.o., mieści się na ostatnim piętrze biurowca koło świateł. Są tu dwa pomieszczenia w amfiladzie, deska kreślarska, biurko, kilka map na ścianie, barwne zdjęcie Dawida Ben Guriona, z kamiennym wyrazem twarzy wpatzonego w pustynny pejzaż doliny Gin, dwie metalowe szafy, kilka półek, a na nich rzędy różnokolorowych folderów. W rogu dalszego pomieszczenia stoją dwa proste fotele i niski stolik do kawy.

Jest piątek. Kwadrans po dziesiątej. W piątki biuro zwykle jest zamknięte, ale dzisiaj Teo przyszedł z rana, żeby poczekać na sprzątaczkę, Natalię, chociaż ma ona własny klucz. Przed jej przyjściem postanowił przejrzeć kilka listów. Włączył już klimatyzację i zapalił silną lampę nad stołem kreślarskim. Potem rozmyślił się i zgasił ją. Woli czekać przy oknie. Przed ladą sklepiku „Gilboa. Książki i materiały piśmienne” zobaczył tłumek: czekają na gazety. Przywożą je o dziewiątej rano, ale dziś jakoś się spóźniają. Podobno policja zablokowała wszystkie wyjazdy z Beer Szewy, bo obrabowano tam oddział któregoś z banków. Koło pomnika nachyla się dwóch ogrodników w słomkowych kapeluszach z szerokim rondem. Sadzą na klombie flance rozmarynu w miejsce poprzednich, uschniętych. Teo namyśla się, czy nie popracować dziś trochę. Przynajmniej do przyjścia Natalii. Zacznie, na przykład, przelewać na papier pomysły na projekt Micpe Ramon: na razie chodzi tylko o zarys, koncepcję opatrzoną kilkoma prostymi szkicami, bez szczegółów, a nawet bez skali. Wciąż nie mają funduszy, nie ma ostatecznej decyzji i jeszcze nie poprosili go, żeby przystąpił do szczegółowego projektu. Rozmyśla nad tym przez chwilę, ale nie znajduje w sobie tej elektryzującej jasności umysłu, bez której pomysł nie zaświta. Co się dziś stało z Natalią? Może powinien spróbować do niej zadzwonić, sprawdzić, czy nie zdarzyło się jakieś nieszczęście, chociaż wydaje mu się, że oni mieszkają w dzielnicy baraków i raczej nie mają telefonu. Poza tym tłumaczyła mu kiedyś łamaną angielszczyzną z domieszką słów hebrajskich, że jej mąż jest szalenie zazdrosny i nawet cień mężczyzny, nawet własny stary ojciec budzi w nim podejrzenia. Myślał o tej zaledwie siedemnastoletniej, a już zamężnej kobiecie-dziecku. O stłumionej i wystraszonej posłusznej dziewczynie. Kiedy się nie uśmiecha, jej buzia wygina się w podkówkę, jak do płaczu. Gdy zada się jej najprostsze pytanie, blednie i wzdryga się cała. Ma dojrzałą talię i biust, a do tego twarz uczennicy. W jednej chwili narosło w nim pożądanie, brutalne jak zaciśnięcie pięści.

Piątek. Noa jest w szkole do wpół do pierwszej.

Umówili się, że potem spotkają się tutaj i razem pójdą wybrać dla niej spódnicę. Rano zrezygnował z prysznicu, żeby zatrzymać jeszcze przez kilka godzin cień zapachu jej miłości, chłonie go teraz nie węchem, ale porami skóry. Jej śmiech, jej kaprysy, jej ciało, plamki światła tańczące w jej oczach, nawet wysuszone dłonie, upstrzone wysepkami brązowego pigmentu, dłonie o wiele starsze od niej, jakby obwarowały się w nich siły wędnięcia i czekały na znak osłabienia, żeby rozlać się po całym ciele, to wszystko wyrasta z samego jądra życia. Jakby przewodząc życiodajną energię, Noa ożywia go. Nawet kiedy myśl o Natalii budzi w nim pożądanie, impuls pochodzi od Noi i do niej wraca. Nie sposób tego wyjaśnić tak, żeby zrozumiała. Zamiast wyjaśniać, kupi jej w prezencie spódnicę, a może sukienkę. Ponieważ Natalia nie przyszła sprzątać i chyba już dzisiaj nie przyjdzie, ma czas, żeby postać w oknie i poobserwować plac koło świateł. Jaką pomyłkę popełnił świat mężczyzn wobec Almy Manier? Jaka była naprawdę? To bezcelowe pytania. Kiedyś na festiwalu muzyki współczesnej w Mexico City zdarzyło mu się usłyszeć dzień po dniu dwa różne wykonania Kindertotenlieder, jedno śpiewane barytonem z towarzyszeniem fortepianu, drugie niskim kobiecym głosem, chyba kontraltom, przesyconym tęsknotą, a mimo to spokojnym i czystym, jak gdyby pogodzone z twardym wyrokiem. Teo pamięta, że drugie wykonanie napełniło go tak przenikliwym smutkiem, że aż wstał i opuścił salę. Druga pieśń w cyklu nosi tytuł

Teraz wiem już, czemu płomienie tak ciemne, a czwarta Często myślę, że wyszły tylko. Te słowa, brzmiące jak samotny, niski dźwięk wiolonczeli, sprawiły, że poczuł ukłucie stłumionego bólu. Ty-

tułów innych pieśni jakoś nie zapamiętał, chociaż bardzo się starał. Wieczorem zapyta o nie Noe.

Pod oknem przechodzi kobieta w chustce na głowie, niosąc w obu dłoniach kury zarżnięte na szabat. Jest niska, a plac pokrywa warstwa pyłu, więc martwe grzebienie rysują linię na zakurzonej bruku. Teo uśmiechnął się na moment pod wąsem i już miał zmrużyć oczy szyderczo, jak skąpy galijski chłop, w którym budzi się podejrzenie, że targuje się z przeciwnikiem stosującym przebiegłą taktykę, wobec czego obmyśla mały fortel, żeby ominąć zastawione na siebie sidła — ale już sobie poszła.

Przed synagogą sefardyjską ustawiono prowizoryczny stół: drewniane drzwi na dwóch beczkach. Na stole rozłożono otwarte książki. Zapewne wyjęto z szaf święte księgi, żeby się przewietrzyły i odetchnęły trochę w słońcu od wilgoci i moli. Jest w pół do jedenastej, Natalii nie ma. Dziś już nie przyjdzie. Może znów mąż ją zamknął na klucz? Czy rzeczywiście bije ją pasem? Musi dziś jeszcze znaleźć ich adres. Pójść tam. Zobaczyć, czy może jej pomóc. Choćby nawet wyważyć drzwi, żeby zapobiec nieszczęściu. Ma jeszcze czas, bo Noa dotrze tutaj dopiero za dwie godziny. Proszę, jest wreszcie taksówka z Beer Szewy z dostawą gazet. Limor Gilboa, piękna córka właściciela sklepu, układa je starannie, wsuwa dodatki, przysłane już wczoraj, między strony, które właśnie dowieźli. Sam Gilboa, krągły i misiwaty, typ pełnego werwy działacza związkowego o siwiejących, rozwianych włosach i z wystającym brzuszkiem, zawsze sprawia wrażenie, jakby właśnie miał zacząć oficjalną przemowę. O, już zaczyna sprzedawać „Jedijot” i „Ma'ariv”, a tłumek napiera na niego, wyciągając ręce. Teo bierze karteczkę, sporządza krótką listę rzeczy potrzebnych do biura i postanawia zejść do Gil-boi, kiedy się ludzie rozejdą, po to, co ma na liście, i może po sobotni „Ma'ariv”, zanim cały wykupią. Co do szkicu zamówionego przez tych z Micpe Ramon, nie pali się, może w przyszłym tygodniu dozna jakiegoś olśnienia. Niech zaczekają. W sobotę z całą pewnością nie będą budować tego zespołu rekreacyjnego, a raczej nie zbudują go nigdy. Gdyby tak można było wymazać wszystko, co tam wcześniej powstało, i stworzyć miasteczko od nowa, bez paskudnych osiedli, za to w stonowanym rytmie architektonicznym, z należytą pokorą nawiązującym do cisy krateru i pasm górskich. Zamyka biuro na klucz i schodzi na dół.

Pini Bozo ozdobił ściany swojego sklepu z butami podobizną Majmonidesa, rabiego Lubawiczera i Świętego Rabiego Bawy Barucha. Nawet jeśli to nie pomoże, na pewno nie zaszkodzi. Chociaż nie przestrzega przykazań, ma w sercu odrobinę bojaźni bożej, a także szacunku dla religii, od tyśiącleci chroniącej nas od wszelkiego zła. Oprócz rabinów, Bozo powiesił także zdjęcie poprzedniego prezydenta, Nawona, którego naród kochał, bo troszczył się o prostych ludzi. Po prawicy i po lewicy Nawona nakleił Szamira i Peresa, bo uważa, że ich obowiązkiem jest pojednać się i znowu wspólnie zwalczać nienawiść między braćmi. Dość mamy wrogów zewnętrznych, chcą nas zniszczyć, powinniśmy się wszyscy zjednoczyć przeciwko nim. Żona i małe dziecko Boza zginęły w wyniku tragedii, jaka rozegrała się tutaj przed czterema laty. Młody żołnierz, pogrążony w depresji po zawodzie miłosnym, zabarykadował się w sklepie z butami i otworzył ogień z karabinu maszynowego. Trafiał dziewięć osób. Sam Bozo ocalał tylko dlatego, że akurat tego ranka poszedł coś wyjaśniać w zakładzie ubezpieczeń. Aby zapewnić duszom żony i synka miejsce w niebie, ufundował świętą arkę ze skandynawskiego drewna, a teraz zamierza jeszcze dodatkowo uczcić ich pamięć, fundując klimatyzację w przebieralni na stadionie piłkarskim, tak żeby zawodnicy mogli ochłodzić trochę po pierwszej połowie. Koło „Butów Bozo” chodnik przechodzi w skwerek miejski z ławkami i plastikową zjeżdżalnią dla dzieci, zakończoną skrzynią z piachem. W stylowych donicach wśród pni derysów próbują rosnąć nieliczne petunie. Na jednej z ławek odpoczywa właśnie ślepy Lupo, zwrócony twarzą do ostrego słońca. Otacza go chmara gołębi, niektóre siadają mu na ramionach. Spiczastą łaskę wbił jak kotwicę w szczelinę między dwiema kostkami bruku. Ponoć w Bułgarii miał wysoką rangę w tajnych służbach. Tu, w Tel Kedar, pracuje nocą w centrali telefonicznej, opuszkami palców czyta klawisze i przełączniki. Co rano siedzi na skwerku, uwiązany do szarego psa, patrzy prosto w słońce i sypie ziarna sorga gołębiom, te zaś tłoczą się wokół niego, jeszcze zanim dojdzie do ławki. Zdarza się, że któryś obdarzy go zaufaniem, nagle sfrunie mu na kolana i pozwoli się gładzić po piórach. Gdy Lupo wstaje, wpada czasem na swojego psa i mruczy grzecznie: Przepraszam.

Młoda zaręczona para, Anat i Ohad, stoi w sklepie meblowym pana Bialkina: przyszli wybrać obicie na kanapę i na fotele, które będzie pasować do zasłon, ale ich gusty się różnią: co jemu wydaje się ładne, ona uważa za wstrętne, a co jej się podoba, jemu kojarzy się z burdelem dla polskich oficerów. Ona pyta jadownicę: skąd się tak na tym znasz, a on szybko się wycofuje: Zobacz, do cze-

go doszło, klócimy się bez sensu o byle głupstwo. Anat z kolei twierdzi, że to nie żadna kłótnia, tylko rozbieżność zdań, normalna rzecz. Ohad proponuje kompromis: Pojedźmy po szabacie do Beer Szewy, tam mają dziesięć razy większy wybór. Przecież, wykrzykuje triumfalnie Anat, właśnie to proponowałam na początku, a ty nie chciałeś słuchać. Pan Bialkin interweniuje łagodnie: Może zechce pani przejrzeć katalog, wszystko, co znajdzie uznanie w pani łaskawych oczach, sprawdzimy z Tel Awiwu, jak Bóg da, we wtorek. Ohad ze swej strony prostuje: Owszem, proponowałam, ale czy nie mówiłaś, żeby najpierw spróbować u Bialkina, a jeśli nic nie znajdziemy... Narzeczona przerywa mu: Mówiłam, nie przeczę, ale ty nie zaprzeczysz, że się zgodziłeś. Chłopak przyznaje, że tak było, ale prosi, żeby pamiętała, że miał małe zastrzeżenie. Zastrzeżenie, ona na to, cóż to, zostałeś adwokatem? Zaraz wniesiesz mi apelację?

Po ich wyjściu Bialkin mówi: Tak to jest w naszych czasach. Żrą się i umierają. A co dla pana, panie Teo? Fotel bujany? Drewniany? Nie. Tego nie mam. Jest fotel do oglądania telewizji. Można się na nim pokiwać. Foteli bujanych, takich jak kiedyś bywały, nikt już nie produkuje. Teo dziękuje i opuszcza sklep. Zdaje się, że pieśń otwierająca cykl Kindertotenlieder nosi tytuł A sionce tak jasno wszędzie, ale nie ma pewności. Może poprosić, żeby Noa sprawdziła to w szkolnej bibliotece, skoro i tak przesiaduje tam godzinami.

W Entebe, budce z falaflem, Beduin koło pięćdziesiątki kupuje szalarmę w picie. Szalarma to tutaj nowość, więc Awram mu opowiada wesoło, że na razie interes się dopiero rozkręca. Jak dobrze pójdzie, za kilka tygodni wprowadzimy także rożen. Tymczasem przed nosem suki Kusznera, która oszczeniła się przedwczoraj, defiluje z wyprężonym ogonem zuchwały biały kot. Suka uznaje, że najstosowniej będzie udać, że śpi, ale łypie spod oka, żeby z bliska przekonać się o ogromie kociej bezczelności. Obydwoje, i kot, i suka, zachowują się tak, jakby cała sytuacja była znacznie poniżej ich godności. Stary Kuszner pyta Teo: Co się z tobą dzieje, dlaczego się nie pokazujesz, a Teo, mrużąc lewe oko, jakby oglądał liście pod mikroskopem, odpowiada, że wszystko po staremu. Jeśli zechcecie wziąć któreś z jej szczeniąt, mówi Kuszner, ale Teo przerywa mu zdecydowanie: Dziękuję, nie potrzeba.

O jedenastej piętnaście koło świateł przechodzi mały kondukt pogrzebowy, złożony z kilkunastu żałobników, w większości wiekowych Aszkenazyjczyków. Ze swojego stałego miejsca na taborecie przy wejściu do „Butów Bozo” Pini Bozo dopytuje się, kto i w jaki sposób umarł. Introligator Kuszner wie, więc opowiada mu, że to staruszek Elias, sędziwy wuj Szacberga z apteki, ten pomyłony, co ciągle im uciekał z domu i całymi dniami, od rana do wieczora, przesiadywał na poczcie, co pięć minut ustawiał się na końcu kolejki, żeby w kółko pytać przy okienku, kiedy nadejdzie prorok Elias, i ilekroć go wyganiano, zawsze wracał.

Kondukt spieszy się. Niosący mary niemal biegną, bo zbliża się szabat i tyle jeszcze trzeba przygotować, a muszą zdążyć przed zachodem słońca. Wiekowi żałobnicy sapią z wysiłku, ale i tak między marami a nimi powstaje luka, i jeszcze jedna między tymi, co idą na przodzie, a tymi, co zostają w tyle. Zmarłego okryto pożółkłym tałesem. Wstrząsy sprawiają, że wygląda, jakby wił się w boleściach. Rudawy młodzieniec z rzadką bródką kroczy pospiesznie na przodzie i podzwaniając puszką, zapewnia, że jałmużna zbawi od śmierci. Teo zastanawia się nad tym chwilę i stwierdza, że ta kwestia musi pozostać nierozstrzygnięta.

Między Yiolette i Madeleine, fryzjerkami-szwagierkami z salonu Champs Elysees, wybucha głośna kłótnia. Ich krzyki słychać aż za światłami. Jedna szlocha: Ty już sama nie wiesz, kiedy mówisz prawdę, a kiedy parszywe kłamstwa, a druga, jej przyjaciółka, wtóruje wściekłym wyciem: Ty tamponie jeden, jak śmiesz mnie nazywać parszywą. Obie kiedyś przewinęły się przez łóżko Mukiego Pelega, może nadal u niego bywają. Muki siedzi właśnie przy piwie w kawiarni- restauracji California w towarzystwie kierowców. Sześcioma palcami lewej dłoni przytrzymuje zroszoną od zimnego napoju szklankę. Słyszcząc wrzaski, przeprowadza wnikliwe porównanie, co chwila wywołując u swoich słuchaczy wybuch chrapliwego śmiechu. Potem palą papierosy i rozmawiają o indeksacji. Tymczasem kondukt pogrzebowy zniknął za siedzibą samorządu. Tłumek pod sklepem Gilboi rozproszył się i zostało mnóstwo nie sprzedanych gazet. Piękna Limor Gilboa stoi za ladą i odprowadza wzrokiem Anat i Ohada, którzy opuścili sklep meblowy i weszli do kiosku z elektroniką. Kuszner wskazuje na nią ruchem głowy i mówi do Boza: Patrz, za kogo ta się ma, istna księżna Diana. Bozo konstatuje smutno: Zanim zjechali Rosjanie, uważano, że gra na wiolonczeli na poziomie ligi krajowej. Odkąd z Rosji przyjechało parę tysięcy nie gorszych od niej, zrobiła się taka mała. Tak to jest, sława jak woda: wczoraj jej nie ma, dzisiaj jest, a jutro znowu nie ma. Pamiętasz,

był kiedyś minister Joram Meridor? Taki młody. Odnoszący sukcesy. Znany w całym kraju. Codziennie był w telewizji. Podobno otworzył centrum handlowe pod Netanią. Tak to już jest ze sławą.

Teo kupuje „Ma'ariv” z dodatkiem lokalnym i zasiada w kawiarni California. Zamawia szklanekę soku grejpfrutowego. Muki Peleg proponuje, żeby się przysiadł do jego stolika, który nazywa Radą Uczonych w Piśmie. Teo waha się i odpowiada: Dziękuję, może później, a Muki dodaje: Jak rzekł skazaniec do kata, gdy ten zaproponował, żeby sobie zapalił, zanim skończą mu wiązać pętlę.

Teo przebiega wzrokiem nagłówki w gazecie: Ponowne niebezpieczeństwo konfliktu. Głuchoniema rozwódka z Akry spaliła kochankę męża. Minister transportu opuścił uroczystość na znak protestu. O północy z soboty na niedzielę wzrosną ceny benzyny. Siły bezpieczeństwa zapobiegły. W myślach podąża za pospiesznym aszkenazyjskim pogrzebem, pogrzebem w wigilię szabatu. Na pewno już minęli plac z zardzewiałymi wrakami i doszli do cmentarza. Najpierw położą nosze na zwirowanej alejce. Chcąc nie chcąc, będą musieli zaczekać na powolniejszych żałobników, którzy zostali z tyłu. Na nic cały pośpiech, na nic bieg: nie można zaczynać, póki nie dojdą wszyscy. Melancholijny kantor z Węgier nabierze powietrza w płuca, twarz mu nabiegnie krwią jak u złoźnika w porywie gniewu, zaintonuje wznoszącą się i opadającą modlitwę Boże pełen miłosierdzia, dopowie zdanie „Niech odpoczywa w raju”, pochyli się przy słowach „Stanie wobec swego losu pod koniec dni”, a żałobnicy powiedzą amen. Potem wypchną na środek aptekarza Szacberga i szepną mu na ucho, że ma powtarzać za kantorem, mrużącym po aramejsku w wymowie aszkenazyjskiej słowa: „Wywyższone i uświęcone”, „wkrótce i w najbliższym czasie”. Znikał codziennie, ale nikt się o niego nie martwił, bo zawsze punktualnie o ósmej rano zjawiał się w budynku poczty. W jego dziecińczych, niebieskich oczach błyszczał wstydlivy uśmiech nieśmiałego człowieka, którego coś ucieszyło, ale już nie pamięta co. Kantor poprosi zmarłego o wybaczenie, darowanie i odpuszczenie, jeśli nieumyślnie obrażono jego godność podczas oczyszczania ciała lub w trakcie złożenia do grobu, i zwolni go z członkostwa we wszelkich stowarzyszeniach, do jakich należał za życia. Zdarzało się, że podchodził do kogoś na ulicy i kłaniał się uprzejmie, jego błękitne oczy jaśniały ciepłem i tęsknotą, i pytał miękim głosem: Szanowny pan wybaczy, czy raczy mi pan powiedzieć, kiedy nadejdzie Eliasza? Dlatego wszyscy w miasteczku nazywali go Eliasza, a czasem Eliasza od Szacberga z apteki.

Potem grabarze uniosą całun z jednej strony, co wymaga wprawy i koordynacji ruchów operującego chirurga. Młodzieniec z rzadką bródką lekko ujmie nogi zmarłego i jak zręczna akuszerka pomoże owiniętemu ciału spłynąć gładko z noszy do dołu. Szybkim ruchem ściągną z niego taśmę, jakby odcinali pępowninę. Położą pięć płyt betonowych. Rzucą się z łopatami, usypią kopczyk ziemi i oznaczą go prostokątem z szarych pustaków. Na szczycie wzgórzka, mniej więcej nad delikatnym czołem zmarłego, wetkną blaszaną tabliczkę z napisem b.p. Gustaw Marmorek, nie Eliasza. Żałobnicy postoją jeszcze kilka chwil w krępującym milczeniu, jakby nie wiedząc, co dalej, albo jakby czekali na jakiś nieodzowny znak. Potem któryś z nich się schyli i pierwszy położy kamień, inni zrobią to samo, ktoś się skieruje do bramy, żeby móc wreszcie zapalić papierosa, a wszyscy pozostali pójdą w jego ślady, znów w pośpiechu, bo to piątek, późno, już południe. Szef grabarzy zamknie na klucz krzywą żelazną bramę, nad którą rozwinięto szpulę zardzewiałego drutu. Dwa, trzy samochody ruszą i znikną na zakręcie za wzgórzem. Żonę i dziecko Bożę ze sklepu obuwniczego pochowano tu, w górnej części cmentarza. Tylko cztery alejki dzielą ich od Alberta Jeszui, żołnierza, który w porywie nieszczęśliwej miłości zabił z karabinu ich dwoje i wszystkich klientów sklepu, a dziesięć minut później zginął, kiedy jedyna wystrzelona przez policyjnego strzelca kula przeszła mu przez sam środek czoła, między oczami. Dzisiejszego zmarłego umieszczono koło chłopca z dwunastej klasy, Immanuela Orvieto, i jego ciotki, zmarłej dwa dni po nim na wylew. Matkę chłopca pochowano dziesięć lat temu w Amsterdamie. Panuje cisza, spokój piątkowego południa na pustyni, u stóp wzgórzka. Osy krążą bez ustanku wokół kapiącego, zardzewiałego kranu. Może jeszcze kilka ptaków śpiewa w gałęziach sosen, zaczepianych przez wschodni wietrzyk, wprawiając je w drżenie ostrożnie, szpilka po szpilce. Zaraz za ostatnimi grobami wznosi się stromy, ogrodzony szczyt. Wojsko nie pozwala tamtędy chodzić, bo za szczytem kryje się podobno szeroka, pełna tajnych urządzeń dolina. Teo płaci za wypity sok i zmierza do biura. Kiedy indziej odszuka swoją rosyjską sprzątaczkę, jeśli zazdrosny mąż nie odwiedzi go wcześniej z siekierą. Za parę minut przyjdzie Noa. Upewnił się przez telefon, że w piątki sklep Moda Dizengoff Center Południe jest otwarty do pierwszej. Na miejskim skwerku, w otoczeniu gołębi, wciąż siedzi niewidomy z

psem. Teraz z wojskowej manierki nalewa ptakom wodę do plastikowej miseczki.

Zapomniał dzisiaj kupić wypisane na kartce materiały biurowe i przybory kreślarskie. Kupi w przyszłym tygodniu. Nie pali się. A do tego zapomniał wziąć ze stolika „Ma'-ariv", z którego zdążył przeczytać same nagłówki. Dodatek lokalny też tam został. Tymczasem ma prostą odpowiedź: Przykro mi, proszę pana, nie mam pojęcia, kiedy i czy w ogóle nadejdzie Eliaz. Nie wierzę w jego przyjście. Ale nie o to pan pytał.

W końcu wybrała jasną sukienkę w stylu ludowym, chyba bałkańskim, z kokardą w kształcie motyla pod biustem. W pierwszej chwili promieniała radością jak mała dziewczynka. Kołysała tanecznie biodrami i ramionami przed lustrem. Jednak kiedy minął pierwszy zachwyt, pojawiły się wątpliwości: Nie za sielska? Nie wyzywająca? Właściwie na jaką okazję będę mogła coś takiego włożyć? Powiedz mi prawdę, Paula, czy nie wyglądam w tym stroju, jakbym występowała w zespole folklorystycznym? Zastanawiała się ponad dziesięć minut, krążąc tam i z powrotem między lustrem a sprzedawczynią, która utrzymywała, że one obie, sukienka i Noa, wprost są dla siebie stworzone, jak muzyka i dobre wino. Niemal w tym samym zdaniu obiecała Noi, że odpruje poduszki w ramionach, zwięzi trochę na plecach i może obniży kokardę o jakieś dwa, trzy centymetry.

Stałem w milczeniu w kącie koło kasy. Miałem wrażenie, że sprzedawczyni drwi sobie z niej po cichu pod maską pogodnej życzliwości, ale nie wtrącałem się. Dalej stałem z boku, z ręką w kieszeni, próbując rozpoznać palcami przez chustkę do nosa, które klucze są do mieszkania, a które do samochodu, biura i skrzynki pocztowej. Potem przeliczyłem monety w portfelu: osiem szekli i osiemdziesiąt pięć agorot, chyba że te pięć agorot to tak naprawdę jeszcze jeden szekel, niełatwo je odróżnić na dotyk, wówczas wynik wynosiłby dziewięć szekli osiemdziesiąt.

Minął z kwadrans, zanim się poddała, i chociaż miała nadzieję, że się obędzie bez tego, poprosiła mnie w końcu, żebym się wypowiedział.

Obróć się, powiedziałem, stań prosto. A teraz odsuń się trochę. Wystarczy.

Podoba ci się, Teo?

Ma coś w sobie, odezwałem się po namyśle, ale musisz czuć, że ci to odpowiada. Jeśli nie jesteś pewna, nie kupuj.

Noa odpowiedziała: Przecież to prezent od ciebie.

Paula Orlew wykrzyknęła pospiesznie: Można ją nosić z tym paskiem. Albo z tym. Spróbuj związać w ten sposób, z boku, albo na środku, i tak, i tak jest naprawdę ślicznie.

Posyłając mi znieczeka spojrzenie „nie zostawiaj mnie samej", Noa obdarzyła mnie ciepłym okrucieństwem jądra życia. Zadrzałem.

Teo?

Zasugerowałem, że skoro nie jest jeszcze przekonana co do swojego wyboru, a mamy piątek po południu, to sukienka na pewno będzie tu także w niedzielę. Nie pali się. Kiedy wyszliśmy, powiedziała: Trochę szkoda. Akurat miałam chęć włożyć ją na szabat. Ale cóż, twoja logika i racjonalność zmiażdżyła mnie jak walec.

Powiedziałem, że jeśli w niedzielę jednak się nie zdecyduje, może przecież poszukać odpowiedniejszej sukienki podczas następnego pobytu w Beer Szewie albo w Tel Awiwie. Poprosiła, żebym przestał ciągle robić aluzje do jej wyjazdów. Będzie jeździć, ilekroć będzie trzeba, nie prosząc mnie o pozwolenie. A w ogóle kto powiedział, że musi mieć sukienkę. Czemu nagle sukienka? To był twój pomysł, Teo, że mi dziś kupisz sukienkę, ale jak zwykle udało ci się wszystko zepsuć tymi swoimi wywodami, tym całym o co chodzi, nie pali się, i z jednej strony tak, z drugiej tak, i twoją stałą taktyką wmanewrowywania mnie w pozycję rozkapryśzonej dzidzi i aluzjami do moich wyjazdów. Niełatwo z tobą wytrzymać, Teo.

Powiedziałem, że nie robię aluzji. A Noa: Ale tak myślisz. Nie mów, że nie. Przecież już dawno doszedłeś do ostatecznego wniosku, że znalazłam sobie zadanie, nie zadanie, raczej rozrywkę — zbędną, głupią i ponad moje siły.

Powiedziałem: To niezupełnie tak. A Noa, prawie przez łzy: A ja właśnie chcę ją mieć teraz. I włożyć ją na szabat. Wrócimy tam?

Zawróciliśmy przed hotelem Kedar i pojechaliśmy z powrotem do Dizengoff Center Południe. Złapaliśmy Paulę Orlew, gdy zamykała sklep. Otworzyła go dla nas ponownie i Noa raz jeszcze włożyła bałkańską sukienkę. Paula oświadczyła, że była przekonana, że wrócimy, od razu zauważyła, że ta sukienka lubi Noe jeszcze bardziej, niż Noa ją, leży na niej tak świeżo, figlarnie, odloto-

wo, jak mówi jej córka, na pewno ją znasz, Noa, Tal Orlew, uczyłaś ją w ósmej klasie.

Kiedy wyjąłem kartę kredytową, Noa powiedziała nagle, zawstydzona, że mimo wszystko nie jest pewna. Poprosiła, żebym tym razem powiedział w końcu, co naprawdę myślę. Powiedziałem: Spróbuj się trochę skupić. Chodzi tylko o to, czy dobrze się czujesz w tej sielskiej sukience, czy nie.

Paula Orlew zauważyła: Pan się chyba trochę spieszy? A Noa poprosiła, żebym ją przestał poganiać i raczej pomógł jej podjąć decyzję. Ciężko mi z tobą, Teo, coraz bardziej niemiło, słowo „sielska” raczej nie wyrwało ci się z czystej dobroduszości. I odwracając się w stronę Pauli, spytała, czy ma coś jeszcze z tego rodzaju, ale z mniejszą ilością haftów, albo nie z mniejszą ilością, tylko ze skromniejszym haftem.

Piętnaście po drugiej znów wyszliśmy ze sklepu. Bez sukienki i bez tej nici czułości, jaka łączyła nas przy wejściu, a trwała od nocy, od wczorajszego wieczoru. Teraz ją utraciłem. Nie pomogło mi przypomnienie, że to nie ja, tylko ona pierwsza nazwała sukienkę sielską. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Palermo na szybką pizzę, żeby nie musieć robić obiadu w domu. Przed trzecią zdążyliśmy jeszcze zrobić sobotnie zakupy w supermarkecie i odebrać paczkę z pralni. Razem poukładaliśmy zawartość reklamówek w lodówce i szafkach kuchennych. Ubrania włożyliśmy do szaf. Noa powiedziała, że jej zdaniem Paula należy do tych nielicznych osób, po których od razu widać, że lubią sprawiać innym przyjemność. Takich ludzi jest bardzo niewiele. Jakby wybierała sukienkę dla siebie, a nie próbowała ją sprzedać. Spodobało mi się, jak powiedziała, kiedy do niej wróciliśmy, że ta sukienka mnie lubi. Pewnie nie słuchałeś, Teo. Złe się tam czułeś. Byłeś trochę niemiły, mniejsza o to, że w stosunku do mnie, ale Paula na pewno nie zasłużyła na ten arktyczny podmuch.

O co chodzi, odpowiedziałem, w taki upał jak dziś arktyczny podmuch nie jest taki zły. I dodałem, że mnie pani Orlew wydała się zupełnie inna. Wyrachowana. Żadne tam złote serce. Oczywiście mogę się mylić, może jestem niesprawiedliwy. Noa zareagowała przykrą uwagą o „moim charakterze”. Wiecznie się czujesz oszukiwany, zawsze jesteś na nie, z góry i w każdej sytuacji, każdego podejrzewasz, przyjmujesz postawę obronną, jakby wokół byli sami wrogowie. Cały świat przeciwko nam. W każdym razie świat według Teo. Mój ojciec był zapalczywy, a nawet agresywny, potrafił wyjść z siebie i szaleć, ryczeć, cisnąć we mnie ramię albo je rozbić o ścianę, ale nie był zgorzkniały. Ani wiecznie skwaszony. Chwilami jesteś bardziej rozpieszczony niż on. Jeszcze gorzy neandertalczyk.

Czy twoje błyskawiczne osądy nie są trochę zbyt skrajne, zbyt czarno-białe, Noa?

Za to u ciebie wszystko jest czarno-białe.

Wyszła z pokoju czerwona, wzburzona, pchnęła w gniewie drzwi, ale w ostatniej sekundzie przytrzymała je i zamknęła lekko, bez trzaśnięcia.

Przez dłuższy czas brała prysznic, pewnie w zimnej wodzie, a potem zamknęła się u siebie, żeby odpocząć, bo w nocy, jak mówiła, nie mogła zasnąć, aż padła na kanapę w salonie koło trzeciej nad ranem: Twoje napięcie, Teo, czuć w całym domu.

Wiedziałem dokładnie, co powinienem jej odpowiedzieć, ale się pohamowałem. Zamiast tego skupiłem się na moment i stwierdziłem u siebie nie tyle napięcie, co raczej nieustępujące zmęczenie. Kiedy zamknęła drzwi na klucz, poszedłem do swojego pokoju bez sobotniej gazety i dodatku, zapomnianych w kawiarni California. Wiadomości ze świata BBC. Przez stacje przekątnikowe w Gibraltarze, na Malcie i Cyprze, w audycji z cyklu Śmierć natury dotarł do mnie z Londynu szczegółowy, brutalny opis niszczenia lasów tropikalnych w Ameryce Łacińskiej. Lasy tropikalne budziły we mnie wspomnienia, ale tytuł Śmierć natury nie wstrząsnął mną, chociaż z pewnością w zamysle miał zaszokować słuchaczy. Przeciwnie: śmierć natury jakoś mnie uspokoiła, aż przysnąłem na dwadzieścia minut. Zbudziłem się dopiero po zakończeniu audycji. Zaczął się program o zmianie szlaków wodnych. Jedyne sposoby, żeby jej pomóc, to nie próbować pomagać. Muszę się skurczyć i milczeć. Już kilka razy, próbując pomóc, doprowadziłem ją do łez. Kiedyś pod jej nieobecność obszedłem całe mieszkanie i pozbierałem zewsząd porozrzucane papiery: ze stołu kuchennego, stołu w salonie, spod telefonu, z regału na książki w jej pokoju, z półek w przedpokoju i w salonie, spod magnesów na drzwiach lodówki, ze stolika nocnego i z podłogi w nogach jej łóżka. Cały łup poznosiłem do siebie i rozłożyłem na biurku. Segregowałem to dla niej niemal trzy godziny: kopie listów na jedną kupkę, różne wersje opisu projektu na drugą, potem opinie i przepisane kaligraficznym pismem fragmenty książek hebrajskich i angielskich, odłożonych dla niej przez bibliotekarkę, na temat narkotyków, ich uprawy i rozprowadzania, wpływu, uzależnienia i odwyku, do tego stosik

prospektów i odpowiedzi z różnych instytucji, organizacji i urzędów: niechętnych i odmownych, uprzejmym i niegrzecznym, i jeszcze mnóstwo świstków z telefonami, datami zebrań i posiedzeń.

Po wstępnej selekcji zebrałem w lewym rogu biurka wszystko, co nosiło datę. Zaszeregowałem każdą kartkę według daty, tematu i adresata. Numery telefonów przepisałem do skorowidza. Opróżniłem jeden z moich segregatorów i umieściłem wszystko w ośmiu przegródkach, oddzielonych kolorowymi tekturkami z opisem zawartości.

Po powrocie powiedziała: Pięknie, wspaniale. Racjonalnie. Bardzo dziękuję.

I zaraz, bliska łez:

Kto ci pozwolił, Teo. To nie jest twoje. To moje.

Obiecałem. Więcej niczego nie tknąłem i nie odezwałem się słowem. Zawartość segregatora szybko poszła w rozsypkę i znów pokryła delikatnym puchem każdy wolny centymetr mieszkania.

Innym razem wyszedłem rano z biura, zajrzałem do drukarni naprzeciw światła i zamówiłem papier firmowy z nadrukiem jej komitetu i bloczek rachunków z takim samym nagłówkiem. Poświęciłem nawet nasz adres i telefon, podając je jako tymczasowy adres kontaktowy komitetu. Tym razem nie dziękowała, nie była też bliska łez, tylko z ponurym spokojem, jakby napominała niesforne go ucznia, powiedziała: Teo. To się źle skończy.

Odpowiedziałem: Zrozum, Noa. Skup się przez chwilę. Zauważyłem, że poza afrykańskim sponsorem, ojcem tego ćpuna, ktoś wam przekazał jeszcze co najmniej dwie dotacje. Fakt, że bardzo skromne. Właściwie bez znaczenia. Teraz tak: warto ci wiedzieć, że zgodnie z prawem państwowym masz obowiązek wystawić należyte pokwitowanie przy każdej dotacji, choćby najmniejszej. Inaczej popełniasz przestępstwo. Chyba nie chcesz, żebyśmy się w coś uwikłali.

Wstała. Lekka spódnica zatańczyła wokół jej nóg. Gwałtownym ruchem głowy odrzuciła jasną zasłonę włosów znad lewego policzka, jakby otwierała się na mnie: Nie uwikłamy się, Teo. Co najwyżej ja się uwikłam. Ty nadal pozostaniesz żrenicą oka. Nic ci do tego.

Gdybym się uparł, mógłbym jej bez trudu wyjaśnić, że chociaż obiecałem się nie wtrącać i nie wycofuję się z tego, z formalnego punktu widzenia, jeśli ona się w cokolwiek uwikła, to oczywiście uwikła nas oboje, ponieważ mamy wspólny rachunek w banku. Nie mówiąc o trzystu dolarach, które nieszczęsny ojciec przysyła jej co miesiąc na sfinansowanie prac komitetu. Nikt nie wie, a już najmniej ona sama, co właściwie dzieje się z tymi pieniędzmi. A jednak dałem sobie spokój. Powiedziałem tylko: Słuchaj. Przecież te rachunki i tak są już wydrukowane. Proszę, są tutaj, na stole, zostawię ci je, a ty zrobisz, jak zechcesz.

Benizri, wzburzyła się nagle, ten wazeliniarz, ta lewentyńska brylantyna, nazywa cię aniołem. A wiesz, czym jesteś, Teo? Kamieniem nagrobnym. Nieważne. Boli mnie głowa.

Przeszedłem do przedpokoju i wróciłem do prasowania. W duchu zgadzałem się z nią: nic z tego. W Tel Kedar nie powstanie ośrodek odwykowy. Jeśli powstanie, zamkną go w ciągu miesiąca. Jednak będzie musiała do tego dojść sama, beze mnie. Muszę grać czysto. Chociaż może przeciwnie, powinienem natychmiast odszukać tego pana Orvieto, powiedzieć mu parę słów i raz na zawsze odsunąć od Noi to szaleństwo. Zadbam o to, żeby się nigdy nie dowiedziała, jak mi się udało odnaleźć tego drania i co mu powiedziałem, przed czym ją uratowałem. Ale nie. Lepiej zaczekam.

Jest sobota. Trzecia po południu. Teo zaległ w podkoszulku na dywanie w swoim pokoju, pod pracującym wentylatorem. Ja siedzę przy stole kuchennym z winogronami i kawą i czytam amerykańskie opracowanie *Chemia uzależnienia*. Zwolennicy dwóch szkół od kilku lat spierają się, czy narkomania to choroba, czy też wrodzona skłonność do uzależniania się od tak zwanych substancji psychoaktywnych, znajdujących się między innymi w tytoniu, alkoholu, kawie i afrodyzjakach pochodzenia roślinnego. W pewnym sensie można powiedzieć, że substancje uzależniające są niemal we wszystkim. Dalej następuje rozbudowane porównanie, z pewnymi zastrzeżeniami, między uzależnieniem od narkotyków a znanymi chorobami, takimi jak cukrzyca, w przypadku której także można wyróżnić czynniki genetyczne i środowiskowe, przyspieszające rozwój choroby lub go opóźniające. Osoba uzależniona, pomimo przejścia odwyku, wciąż nosi w sobie utajony, chroniczny problem, innymi słowy, jest bardziej niż inni narażona na tak zwany „relapse” — tu w nawiasie pojawia się wyrażenie hebrajskie „powrót do szkodliwych nawyków”, które wydało mi się niestosowne, co też odnotowałam na kartce z pytaniami i zastrzeżeniami budzącymi się we mnie w trakcie lektury. Proszę, przyszedł Muki Peleg: podniecony, zdyszany, burza rozwianych loków jak u młodego myśliciela z reklamy brandy, modne, szerokie spodnie, artystyczny jedwabny szalik przy

rozpięciu odprasowanej czerwonej koszuli, pięćdziesięcioparoletni chłopiec w błękitnych, szalowych butach z dziurkami tworzącymi literę B stokrotnie przeprasza, ma coś naprawdę pilnego. Zawsze i w każdej sprawie ma coś naprawdę pilnego. Takiego czy innego, ale zawsze nie cierpiącego zwłoki. Czasem podoba mi się ta jego gorączkowość, której nic nigdy nie jest w stanie ostudzić. W żaden sposób.

Odruchowo uniosłam rękę, żeby zapiąć guzik w szlafroku, i stwierdziłam, że jest zapięty. Usadziłam Mukiego przy stole kuchennym, naprzeciw mnie. Zamknęłam książkę, pozostawiając kartkę z notatkami w środku w charakterze zakładki. Mimo protestów Mukiego, nalałam mu zimnej coli i podsunęłam kiść winogron. Gdzie Teo? Zmęczony? Usnął? Stokrotnie przepraszam za najście o tak niebywałej porze. Sobotnie popołudnie jest dla mnie święte jak góra Synaj, ale wynikła pewna sprawa i po prostu musimy ją rozstrzygnąć jeszcze dziś. Swoją drogą w tym zielonym szlafrocuku wyglądam jak kwiat na łodydze. Co tam kwiat. Kwiaty to przy mnie zwykle zielsko. Krótko mówiąc, gdyby nie ta pilna sprawa, padłby przede mną na kolana tu i teraz, w zamian za pieśczętę mej dłoni, jak rzekł bezrękiej piękności jej beznogi kochanek. Tak dowcipkując, uniósł lewą dłoń i wycelował jeden z sześciu palców w skroń jak pistolet dla zilustrowania okropności nieszczęśliwej miłości. Może sądził, że mnie tym rozbawi, a kiedy się zorientował, że mu się nie udało, uśmiechnął się i powiedział: Ja tylko tak, i jeszcze: Do tego mam tę przygodę z Lindą. Ale nie to go sprawdza. Chodzi o to, że jego zdaniem musimy natychmiast obudzić Teo, bo wpada nam fantastyczna okazja i zbrodnią byłoby ją przegapić. Krótko mówiąc, znalazł dla nas dom. Dom? Co tam dom: pałac. I to za osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów i ani grosza za pośrednictwo, bo to on będzie pośrednikiem, ale tylko pod warunkiem, że jutro się zdeklarujemy, a całą resztę: u-mowę, pieniądze i przeniesienie własności dogadamy i dopniemy już bez żadnych ogonów najpóźniej do wtorku rano.

Poprosiłam, żeby zaczął od początku.

Tak jest, pani profesor. Przepraszam. Właściwie rzecz ma się tak: znasz chyba ten samotny dom z dachówką, przy skrócie do dzielnicy warsztatów. Wszyscy go znają. Dom Alhariziego. Przed serwisem Ben Lulu. Ten, co stoi pusty już prawie rok. Krótko mówiąc, rzecz ma się tak: jak tylko powstało miasto, zbudował go niejaki Alharizi, importer telewizorów z Netanii, bo wpadł na pomysł, że robi tu interes, sprzedając odosobnienie. To znaczy, miał to być taki dom do wynajęcia dla artystów, przyjeżdżaliby tu jednoczyć się z pustynią i tak dalej. Albo zabawić się trochę na boku z jakimś kwiatuszką, może słyszałaś o takiej opcji. Bardzo szybko się okazało, że nie jest to wielka atrakcja, mamy Ejlat, Arad, Micpe Ra-mon, nie brakuje rajów na Negewie. Więc Alharizi wziął i wynajął ten dom firmie Zasoby Pustynne na noclegownię dla zatrudnionych przy odwiertach. Krótko mówiąc, sama wiesz, co było dalej, wiercili, wiercili i nic nie wywiercili, więc dom stoi pusty, wynająć nie ma komu, a tego dżentelmena nagle strasznie przypiliło, żeby go sprzedać, szybko i zdecydowanie, a najważniejsze skończyć na czas, jak rzekła w nocy Królowna Śnieżka do siedmiu krasnoludków. Krótko mówiąc, on chciał sto tysięcy, ale opuścił do osiemdziesięciu pięciu, kiedy mu obiecałem, że dostanie pieniądze do ręki jeszcze w tym tygodniu: nasz bohater jest w lekkim stresie, to cała historia, komornik mu depcze po piętach, Noa, nie pytaj, jak się tego dowiedziałem. Mam swoje sposoby. Problem w tym, że ten, za przeproszeniem, wypierdek jednocześnie skontaktował się z Pośrednictwem Peleg, czyli ze mną, i z Pośrednictwem Bracia Bargeloni, tymi nowymi dziwkami, nie obrażając dziwek. Tamci już złapali klienta, Argentyńczyka, nowego dentystę z gabinetem, konkurencję dla Nira i Dresdnera. Nie pytaj, jak się tego dowiedziałem. Mam swoje sposoby. Dasz mi jeszcze szklankę coli? Mam pragnienie od samego patrzenia, jak wstajesz i siadasz, i ten szlafroczek, jak celofan na łodyżce. Krótko mówiąc, sprawa ma się tak: mamy nad nimi jakiś dzień, dwa przewagi, bo na nasze szczęście argentyński dentysta plombuje na razie dziury na ćwiczeniach rezerwy. Musimy się zdecydować jeszcze dziś i skontaktować z Ronem Arbelem, żeby w nocy zadzwonił do Nigerii. Jeżeli są pieniądze, jutro musimy w te pędy podpisać umowę wstępną i w poniedziałek, a najpóźniej we wtorek przyjść, zapłacić i odebrać towar. Jaki dla ciebie jestem? Powiesz mi dobre słowo? Dasz buziaka? A nieruchomości sprawdziłem. Jest czysta. Bez hipoteki, bez stron trzecich i bez ciężarów. Nieważne w tej chwili, jakich ciężarów. Daj spokój, Noa. Po prostu pozostaw mi paskudną stronę życia i zostań po stronie piękna. Tylko zbudź Teo, skoczmy razem popatrzeć na ten pałac Buckingham, chociaż właściwie powinienem powiedzieć coś wręcz przeciwnego, niech on śpi, a my będziemy się dalej zabawiać w kuchni, przynajmniej teoretycznie, jak rzekł chleb do margaryny, która się na nim dosłownie rozpląnęła. No już dobrze. Przepraszam. Wyrwało mi się. Krótko mówiąc, pani profesor, podsuwam pani ośrodek na srebrnej tacy. Wpraw-

dzie taca trochę kosztuje, ale przecież się bałaś, że znalezienie odpowiedniego budynku może nam zająć pół roku, albo wręcz będziemy musieli go zbudować, co by kosztowało dwa razy tyle i trwało, ze wszystkimi pozwoleniami, jakieś cztery, pięć lat. Jeśli w ogóle coś by z tego wyszło. Powiedz, że jestem wspaniały. Nie powiesz? Skąpiradło. Wiesz, kto mi w tym tygodniu powiedział, że jestem wprost boski? Nie uwierzysz: Etiopka. Rozwódka. Kwiatuszek. Nie wiedziałaś, że u nich też są rozwody? To mój drugi raz z czarną. Słuchaj, to jest klasa. Klasa nad klasami, jeżeli o mnie chodzi. Na koniec, o trzeciej w nocy, wydała taki okrzyk, że sąsiedzi się wystraszyli, jak syrena. Tylko zachowaj to dla siebie, żeby Linda się nie dowiedziała, byłoby jej trochę przykro. Krótko mówiąc, oto chwila prawdy. Teo musi się wypowiedzieć o stanie konstrukcji i tak dalej, i trzeba szybko decydować, czy bierzemy ten dom, czy zostawiamy go dentyście. Moim zdaniem, bierzemy. Mówię to jako członek komitetu, nie jako pośrednik, z pozycji pośrednika już powiedziałem, że nie wezmę grosza. Osobiście jestem za tym, żeby szybko położyć na tym łapę, jak rzekł Kozak do Cyganki. Mimo że nie załatwiliśmy jeszcze wszystkich papierów. Bo co ostatecznie mamy do stracenia? Przyjmijmy najgorszy scenariusz, przypuśćmy, że w końcu nie dostaniemy uprawnień. Powiedzmy, że ośrodek nie powstanie: i tak możemy z całkowitym spokojem powiedzieć mecenasowi Arbelowi i tajemniczemu Orwiecie, że te osiemdziesiąt pięć tysięcy jest bezpieczne jak w sejfie: jeśli nasza sprawa utknie, zobowiązuję się za pół roku sprzedać tę nieruchomość za dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt pięć tysięcy. Jestem nawet gotów dać im zobowiązanie na piśmie. No, jaki dla ciebie jestem? Powiesz ciepłe słowo?

Powiedziałam: Jesteś wspaniały, bo nagle zamiast odrazy poczułam politowanie dla tego podstarzałego capa w butach błękitnych jak niebo, który ze wszystkich sił stara się być wilkiem. Wilkiem pomarszczonym, bezbronnym, nie tyle wilkiem, co raczej żółciem bez pancerza. Każda kobieta może jedną małą drwiną przekreślić wszystkie podboje całego trzydziestoletniego maratonu uwodzenia. W owej chwili zobaczyłam w nim dwunastoletnie dziecko, jakim był niegdyś: pucołowate, niekochane, hałaśliwe, przyłączające się wesoło do okrutnych żartów z szóstego palca, natrętne, przymilne, Ignące do każdego, na próżno czyniące zabiegi, żeby rozbawić świat, a kiedy świat nie chce się uśmiechnąć, robiące z siebie kłowna. Wciskające się zawsze w przerwę w każdej rozmowie, żeby ani na chwilę nie zapadła cisza, przecząca jego istnieniu. Wiecznie odpowiedzialne za podsycanie ognia grupy polanami paplania i wygłupów. Kiedy zabraknie mu polan, wstanie i ciśnie własne serce w płomień kpiny. Dziecko-giermek.

Od prawie dwudziestu lat jest rozwiedziony i gania za spódniczkami, czy też, zgodnie z jego żelaznym żartem, nie gania za spódniczkami, tylko za tym, co jest pod nimi. Cały rodzaj żeński jawi mu się jako surowa, zjednoczona instancja, z wyroku której wiecznie miota się i robi swoje stałe miny, aby ją udobruchać, lecz jej nic nie zadowala. Tak jakby czuł bezwiednie, że nie ma i nie będzie dla niego kobiecego zmiłowania, nie pomogą punkty łóżkowe, zbierane niez mordowanie w tabeli osiągnięć, której nigdy nie zdoła zapełnić. Mimo to trwa przy swoim, nie daje za wygraną, jak Syzyf, zasapany w biegu z łóżka do łóżka, tak jakby rzeczywiście w następnym łóżku miano mu wreszcie wręczyć upragniony order, kwit odprawy, dyplom z wyróżnieniem zwalniający z dalszej pogoni. Ilekroć próbuje półżartem wyrazić swoje wieczne, płomienne pożądanie, odbieram je nie jako żądę, tylko błaganie o jakieś szczególne potwierdzenie kobiecej akceptacji, przy czym on sam nie ma pojęcia, co to za potwierdzenie ani co się z nim robi. Będzie się tak włókł, dopóki mu sił starczy, od jednego podrywu do drugiego, od żartu do żartu, do kolejnego numerku, będzie dyszał i posapywał, i chełpił się, nieustannie dręczony obawą, że kobiety śmieją się z niego za plecami — sfatygowany bohater Odysei zaludnianej przez samotne rozwódki, biorące odwet oszukane żony, podstarzałe, zgorzkniałe gospodynie domowe.

Muki, powiedziałam, jesteś wspaniały, strasznie zazdroścę wszystkim twoim Etiopkom. Czemu do mnie nie przyjdzie czasem jakiś Etiopczyk? Ale może opowiesz mi z grubsza, co tam jest, w tym domu. Mówiłeś, że stoi pusty?

Więc okazuje się, że trzeba będzie opłacić remont. Na przykład wymienić podłogi. Na przykład sedesy są popękane i umywalki też, dach też jest nie bardzo. I trzeba przesunąć ściany, ale to już naprawdę nie jego działka. Najlepiej niech Teo skoczy tam z nami na jakieś pół godziny czy godzinę i rzuci fachowym okiem. Niech się wypowie o konstrukcji i możliwościach przestawienia ścian albo dodania piętra i tak dalej. Poza tym, jeśli śpuniy, to wiesz, kraty, zamki, o ogrodzeniu wokół domu już była mowa, nie jest za wysokie. Krótko mówiąc, zdecydowanie można by wydać na to ładnych parę tysięcy, jak rzekł fotograf do modelki porno. Właściwie zależy, ile jeszcze chce-

my w to zainwestować. Krótko mówiąc, zrobmy choć raz coś konkretnego, weźmiemy Teo, po drodze wstąpimy po Linde i Ludmira, po cały komitet, i podjedziemy przyrzeć się z bliska, jak rzekł pewnego razu ten włoski napaleniec do Kleopatry. Musimy jeszcze dziś zdecydować, przez tego dentystę. Tak, mam przy sobie klucz. Problem w tym, że ci bracia mają drugi. Chociaż właściwie w ogóle nie trzeba klucza, bo cały dom stoi otworem. Czemu tak na mnie patrzysz? Otwór to brzydkie słowo? Czy nagle doznałaś olśnienia? Odkryłaś, że masz przed sobą mężczyznę, którego szukałaś całe życie? No już dobrze. Nie złość się. Tak mi się wyrwało. Nigdy nie umiem powiedzieć tego, co czuję, co mam naprawdę na myśli. W tym cały mój problem. O, jest Teo. Cześć. Pewnie jesteś zazdrosny, że zastajesz nas poszeptujących w kuchni? Dałby Bóg, żebyś miał o co. Pospałeś trochę? Obudziłeś się? Chodź, wprowadzimy cię w temat.

Nie trzeba, powiedziałam. Teo nie ma nic do tego.

Teo powiedział: Tylko nalewam sobie kawę i znikam.

A Muki: Zaraz, jak to znikam? Umarł ktoś? Przeciwnie, posłuchaj, o co chodzi, Teo, a potem pojedź z nami, obejrzyj to miejsce i zdecyduj.

Powiedziałam głucho: Teo nie decyduje. Komitet decyduje.

Tymczasem woda zawrzała. Teo nalał neskę gościowi, mnie i sobie. Podał cukier i mleko. Wyjął winogrona z lodówki, umył, położył przed nami na dwóch talerzykach i powiedział: To co? Zostać czy iść? Co postanawia większość?

Zanim padła odpowiedź, pokazał nam opalone plecy, szerokie, twarde barki w podkoszulku, i rezygnując z naszego towarzystwa, zabrał swoją filiżankę i wyszedł. Zostawił tylko swój smutek, spowił nim moje ramiona. Chociaż zamknął bezgłośnie drzwi do swojego pokoju, domyślałam się, że pochyla się nad biurkiem, wspierając się na nim pięściami, od tyłu podobny do masywnego, znużonego byka. Stoi w milczeniu, jakby się spodziewał, że jakiś sygnał wewnętrzny wyzwoli go z czekania. Przypomniałam sobie, jak podczas jednej z naszych pierwszych podróży po Wenezueli powiedział nagle w dziupie, na piaszczystej drodze prowadzącej krawędzią stromego wąwozu pełnego mgieł, że nawet jeśli okaże się, że rzeczywiście przydarza nam się miłość, to chciałby mieć nadzieję, że będziemy mogli pozostać przyjaciółmi.

Poszłam za nim do pokoju poprosić, żeby wrócił i przyłączył się do mnie i do Mukiego. Wołając go, wiedziałam, że robię błąd.

Zasiadł na swoim stałym miejscu w kuchni, oparty wygodnie plecami o lodówkę, wysłuchał w milczeniu opowieści o domu Alhariziego, dwukrotnie zadał kilka krótkich pytań, wziął wykałaczkę i słuchając odpowiedzi, przetykał cierpliwie i dokładnie otwory w solniczce, po czym o-czyścił w ten sam sposób pieprzniczkę. Muki zakończył słowami: Tak czy inaczej, bez pudła. Wówczas Teo zawyrokował: To nie wygląda dobrze.

Ale dlaczego?

Pod każdym względem.

Chyba nic nie stracimy, jeśli tam podjedziemy? Teraz, na kilka minut? Obejrzeć?

Nie mamy po co jechać. Z góry wiem, że to nie wygląda dobrze.

Dlatego, że jesteś przeciwny ośrodkowi jako takiemu, czy ten konkretny krok uważasz za błąd?

Jedno i drugie.

Nie szkoda takiej okazji?

Nie ma żadnej okazji.

To znaczy?

Już mówiłem: to nie wygląda dobrze.

Do tej chwili uważałam, że jeszcze nie czas na szukanie budynku. Czułam, że Muki Peleg zbyt szybko do tego zapalił, przecież kupowanie budynku tylko i wyłącznie dlatego, że mamy okazję kupić tanio, a zresztą może to żadna okazja, zupełnie nie ma sensu, a już na pewno nie jest dobrze podejmować decyzję w ciągu jednego dnia, pod presją czasu. Ale szyderstwo Teo, jego drwina, cień prostactwa, sposób, w jaki siedział ciężko, po chłopsku, w podkoszulku, z rozkraczonymi nogami, powoli podskubując winogrona z samego środka kiści, wszystko to dotknęło mnie do żywego. Zapalczywość mojego ojca wezbrała we mnie nagle jak wrzący olej. W tym momencie postanowiłam w duchu nie rezygnować z budynku, jeśli tylko wyda mi się odpowiedni. To samo dzieje się w klasie, kiedy jakaś przysypiająca mądrala rzuca rozkapryszonym tonem: Oj, ten Agnon taki rozwlekły, a ja się trzęsę z wściekłości i wlepiam jej i całej klasie morderczą pracę domową o funkcjach dygresji w liryce.

Teo, powiedziałam, Muki i ja absolutnie nie uważamy się za ekspertów wszechkontynentów w kwestii zgłaszania projektów. Ani za prekursorów wnoszących trwałe wkłady i tak dalej. Mimo to będziesz musiał wyjaśnić nam w przystępny sposób, dlaczego mamy nie robić kroku, który na pierwszy rzut oka wydaje nam się akurat dosyć rozsądny.

Na pierwszy rzut oka, powiedział Teo, to dobre określenie. Właściwie zawiera odpowiedź na zadane przez ciebie pytanie.

Zadane nie przeze mnie, tylko przez nas. A teraz Muki i ja pytamy cię chyba już trzeci raz, jakie masz argumenty przeciwko kupieniu domu Alhariziego i czemu nie chcesz pojechać tam teraz i sprawdzić, czy budynek się dla nas nadaje, czy nie. Będzie nam bardzo miło, jeśli zamiast tej miny uzyskamy odpowiedź słowną.

Z jedenastu powodów, powiedział Teo, a pod jego popielatym wąsem przemknął i zgasł cień zjadliwego uśmiechu, z jedenastu powodów działa napoleońskie nie ostrzelały Smoleńska. Pierwszym powodem był brak amunicji, a pozostałych przyczyn Napoleon słusznie nie chciał słuchać. Kwota, jaka tu padła, nawet bez kosztów remontu, przewyższa sumę, do przekazania której zobowiązał się wasz dżentelmen z Afryki. Podać kolejne powody?

Były dwie inne niewielkie dotacje, wiedziałam, że Teo wie o nich, ale wolałam milczeć. Teo dodał: Poza tym, wydawało mi się, że czytałem w gazecie lokalnej, że zgłosiliście się do wstępnego rozeznania, a nie do nabywania mienia. Poza tym, wciąż nie widać nawet początków początku wymaganej procedury prawnej. Poza tym, czy ktoś już przeliczył, jaką objętość ćpunów macie tu zamiar hodować, w stosunku do pojemności rzeczony budynek? Nie?

Teo, powiedziałam, zaczekaj chwilę.

Poza tym pieniądze, Noa, jeśli faktycznie będą, nie są twoje. Duże dziewczynki nie kupują zabawek za nie swoje pieniądze. Poza tym, żeby dostać zgodę na zmianę przeznaczenia budynku, trzeba przejść cztery czy pięć komisji, a ja cię informuję z całą odpowiedzialnością, że od wszystkich pięciu dostaniesz odpowiedź odmowną. I trzeba to zatwierdzić na szczeblu okręgowym, a potem...

W porządku. Rozumiemy. Może jednak podjedziemy i rzucimy okiem?

Poza tym urząd miasta. Zarząd. Rada samorządowa. Rada okręgowa. Procedury depozytowe. Rozpatrzenie sprzeciwów. Odwołania. Opozycja społeczna. I polityczna. Co najmniej trzy lata.

Poza tym Ministerstwo Zdrowia, Ministerstwo Opieki Społecznej i Ministerstwo Edukacji. Znowu dwa lata. Poza tym, do kogo należy grunt. Poza tym, ogólny sprzeciw ze strony sąsiadów, w tym podanie do sądu. Co najmniej następne pięć, sześć lat na zakończenie procesów. Poza tym, kto to właściwie kupuje? Na czyje nazwisko rejestrujecie nieruchomość? Jak określacie jej przeznaczenie? Poza tym — mam mówić dalej? Nie? Dlaczego nie?

Muki Peleg wymamrotał nieśmiało: Tam nie ma specjalnie sąsiadów.

A, witam. Pośrednictwo Peleg. I pan tu jest. Ze strony pana młodego? Czy ze strony młodej? Wyjaśnij mi, bardzo proszę, kto to jest sąsiad. Podaj mi definicję prawną, jeśli ci to nie sprawi trudności. Śmiało: kto to dokładnie jest sąsiad? Nie sąsiadka. Sąsiad.

Dziękuję, Teo. Myślę, że to wystarczy.

Jak sobie życzysz, uśmiechnął się, mrużąc jedno oko, jakby oglądał owada pod lupą czy też partrył na nas przez celownik aparatu fotograficznego, poza tym — chyba już raz powiedziałem „poza tym”? — poza tym, Noa, przecież ci obiecałem, że w ogóle się nie będę wtrącał do tej zabawy. Zapomniałem. Wykreście to z protokołu. Przepraszam. Do zobaczenia. Kontynuujcie.

Ulżywszy sobie, siedział jednak dalej wsparty plecami o lodówkę, wpatrując się w doskonałym skupieniu w swoją filiżankę kawy, oskubując systematycznie kiść winogron. Przymknięte lewe oko sprawiło, że upodobił się nagle do chytrego francuskiego chłopca, któremu udało się podejść wierzyciela.

Chodź, Malachia, powiedziałam, Teo jest wolny. Sami skoczmy tam się rozejrzeć, a potem zbierzemy komitet i zdecydujemy.

Muki spytał: Nie idziesz, Teo? Tylko na dziesięć minut.

Teo powiedział: Po co?

Koło dziewiątej wieczorem dodzwoniliśmy się z biura Mukiego do mecenasa Arbela, który nazywał się w południe przyjechał z Tel Awiwu, przywożąc z sobą inżyniera i rzeczoznawcę majątkowego. W niedzielę byliśmy w tym domu cztery razy z ekipami remontowymi, dekarzami, hydraulikami i fachowcami od ogrodzeń, porównując oferty cenowe. Byłam jak w transie.

Po wiadomościach Teo powiedział: Dobrze. Byłem tam. Widziałem. Niezły. Niech Afrykanin ku-

puje, jeżeli ma ochotę. Jego sprawa. Pod warunkiem, że będziesz uważać, żeby niczego nie podpisywać, Noa. Żadnego podpisywania. Pamiętaj .

W nocy z niedzieli na poniedziałek Arbel z hotelu Kedar porozumiał się telefonicznie z Awrahamem Orvieto w hotelu Ramada w Lagos: ten jest gotów zatwierdzić kupno, polega na ludziach, którzy są na miejscu, ale nie jest w stanie przekazać obiecanej kwoty w tak krótkim terminie. W poniedziałek skończył się rok szkolny, a przed rozdaniem świadectw w auli odbyła się mała uroczystość. Uczniowie z maturalnej klasy humanistycznej kupili mi w prezencie donicę z przyczernianego drewna z miniaturową japońską pomarańczą. We wtorek dom Alhariziego z popękаныmi dachówkami, stojący przy wjeździe do dzielnicy warsztatów, przed serwisem Ben Lulu, został sprzedany za równowartość w szklach osiemdziesięciu jeden tysięcy dolarów amerykańskich i zarejestrowany na Stowarzyszenie Pamięci Immanuela Orvieto. Od tej pory oficjalny adres stowarzyszenia brzmi: Kancelaria Adwokacka Czerniak, Refidim i Arbel, aleja Rothschilda 90, Tel Awiw. Teo pożyczył nam większość pieniędzy za poręczeniem mecenasa Rona Arbela, występującego w imieniu Awrahama Orvieto, pod warunkiem, że jego nazwisko nie pojawi się w żadnym kontekście w dokumentach kupna i własności. Ponieważ w tenże wtorek byliśmy w Tel Awiwie przy podpisaniu umowy, mogliśmy potem pójść razem i wybrać coś bez pośpiechu. W końcu na ulicy Ben Jehudy nieoczekiwanie znaleźliśmy cienką i ładną letnią sukienkę, która zachwyciła nas oboje: w kolorze morskim, z prostym wzorem, przypominającym szerokie tropikalne liście i z niemal całkowicie odsłoniętymi ramionami. Wróciliśmy do domu jeszcze przed zmrokiem i razem patrzyliśmy z balkonu, jak nadal ubywa księżyc.

Bo kiedyś opowiedziała mi o swojej matce, która uciekła z nowozelandzkim żołnierzem. Noa miała wtedy cztery lata. Zginęli na Malajach, rozszarpani przez rozwścieczoną tygrysić, której małe zabił angielski myśliwy, jak opowiadała jej przed snem ciotka w zimowe noce po zgaszeniu światła. Owa ciotka, Chuma Bat-Am, była — wzorem Tołstoja — skrajną naturalistką, zdeklarowaną przeciwniczką wszelkiej przemocy. Ta stanowcza osoba w grubych ortopedycznych butach zwykła była pościć raz w tygodniu, w każdą środę, żeby, jak mawiała, ciało nie zapomniało, że ostatecznie jest tylko sługą, i to sługą dość opieszalym, szpetnym i niegodziwym, takim, co to nie wolno go zostawić samego nawet na pół minuty. Ojciec Noi, Nechemia Dubnow, tęgi, mocno owłosiony, wiecznie niedogolony i ponury, był jednym z najstarszych stażem pracowników spółki wodnej. Od czasu gdy żona odeszła z żołnierzem, zamknął się w domu. Codziennie wracał z pracy o zmierzchu, zatrząskiwiał furtkę i drzwi, przekręcał klucz od wewnątrz i znikał w swoim pokoju, gdzie prowadził nocne życie wśród albumów z widokówkami. Trwał w uporczywej ciszy, burzonej czasem atakami wściekłego gniewu. Co wieczór, lato czy zima, po jajecznicy z sałatką zasiadał do pisania pocztówek z widokiem Twierdzy Dawida lub Betlejem. Wysyłał je do kolekcjonerów z różnych krajów. W zamian dostawał pocztówki z Haiti, Nowej Kaledonii, Surinamu i innych miejsc, gdzie niebo nie jest niebieskie, tylko wręcz turkusowe, a wody morza o wschodzie słońca wyglądają jak płynne złoto. Prawie do samej północy układał i katalogował swój zbiór według porządku zmienianego co kilka miesięcy. Z biegiem lat stał się ociążały jak stary japoński zapaśnik, dorobił się miękkich fałd, a jego oczy niemal tonęły wśród wałków tłuszczu. Czasem zdarzały mu się dziwne napady wściekłości, po czym przygasał i popadał w długotrwałe zobojętnienie. Jeśli miał podwójne pocztówki, dawał je Noi, a jej zadaniem było prowadzenie wśród kart książki telefonicznej bliźniaczej kolekcji, równoległej do zbioru głównego i podlegającej temu samemu zmiennemu porządkowi. Poza ciotką i jej zdziwaczałym synem nikt nie odwiedzał ich domu z wiecznie spuszczonymi żaluzjami, zimą z powodu wiatru, a latem z powodu pyłu. Był to niewielki dom, ostatni na wschodnim krańcu zaniedbanej osady w najdalej na wschód sięgającej części doliny Hefer. Sąsiedował ze zburzoną bóżnicą z czasów pierwszych osadników. Za nim był już tylko opuszczony kurhanik, szczątki plantacji, pordezwiątałe tory i zasięki linii zawieszenia ognia. Dalej, po stronie jordańskiej, ciągnęły się skały i drzewa oliwne. Przed dwoma laty pojechaliśmy razem zobaczyć to miejsce. Dom zburzono, a na placu po nim i na ruinach bóżnicy powstał kolorowy park wodny, a w nim sklepik z pamiątkami i kiosk. Zasięki graniczne zniknęły. W roku pięćdziesiątym dziewiątym, kiedy Noa miała piętnaście lat, Nechemia Dubnow wpadł do wyschniętej studni, uszkodził sobie kręgosłup i pozostał na zawsze przykuty do wózka inwalidzkiego. Noa zajmowała się nim aż do jego śmierci. Nie chciała wychodzić za męża, bo wiedziała, że bez niej ojciec sobie nie poradzi, zresztą on też się nie ożenił po owdowieniu. W czasie gdy była w wojsku, choremu pomagała starsza siostra, ciotka Chuma. Była z zasady przeciwna wszelkiemu ogrzewaniu w zimie i z góry wykluczała

smażenie i większość sposobów gotowania. Pod jej rządami życie w domu toczyło się według sztywnego rozkładu, zgodnie z listą codziennych czynności, rozwieszoną w trzech różnych miejscach. W pokojach stał mocny zapach mięty, cząbrku i czosnku. Nawet kiedy ciotka wyruszała w swoich grubych butach na dzień czy dwa na pasmo Karmelu w poszukiwaniu tajemniczych pędów, zapachy korzeni i proszków nie ustępowały. Zioła żołądkowe, lecznicze i odmładzające rosły w doniczkach i skrzynkach na dachu i w każdym oknie. Kiedy Noa wróciła z wojska, musiała trzy lata walczyć o prawo opieki nad chorym, którego ciało spęczniało jak namoknięta gąbka. Wreszcie pewnego skwarneho, pochmurnego dnia ciotka w trakcie sporu o ścięcie drzewka cytrynowego ugryzła sekretarza samorządu, a nazajutrz się zaczęła i oblała go wrzącym olejem. Zamierzała nim oblać także Noe, ale sąsiad, Gorowoj Podglądacz, który w latach dwudziestych był, jak twierdził, mistrzem Łodzi w podnoszeniu ciężarów, przybiegł ze swojego podwórza, starł się z ciotką i zdołał ją obezwładnić. Po różnych terapiach umieszczono ją w prywatnym ośrodku, finansowanym przez rodzinę pacyfistów z Holandii i przeznaczonym specjalnie dla wegan z zaburzeniami emocjonalnymi. Noa odzyskała ojca, a oprócz gotowania i sprzątanía podjęła się także prowadzenia albumów z widokówkami i rozległej korespondencji ze zbieraczami z różnych krajów. Zioła lecznicze i odmładzające powyrywała ze skrzynek i wyrzuciła, a na ich miejscu posiała kwiaty. Co środę jeździła do sanatorium imienia Mahatmy Gandhiego i zawoziła ciotce nie pryskane owoce i warzywa hodowane bez krztyny sztucznego nawozu. Pod koniec życia Chuma Bat-Am zapalała szczególną niechęcią do frytek, musztardy i kiszki i w barwnych, drobiazgowych opisach wyrażała swe potępienie dla pieczeni. Zginęła od druta do robótek, który inna chora wbiła jej przez prawe oko w mózg w porze, gdy pensjonariuszom podawano w ogródku drugie śniadanie: herbatę, trzy sucharki i mandarynkę. Co do Nechemli Dubnowa, wszystko wskazywało na to, że starzejąc się, a przy tym tyjąc jak schorowany zapaśnik, poweselał, jakby wygasł w nim gniew albo jakby zaspokoił potrzebę samoudręczenia. Podśpiewywał swoim grubym głosem, żartował, naśladował przemowy różnych działaczy, zabawiał Noe anegdotkami o przywódcach trzeciej alii i o założycielach spółki wodnej. Znudził się widokówkami. Doszedł do przekonania, że ludzkie życie, pomysły, rozmowy, zajęcia są śmiechu warte, bo zasadzają się na sprzeczności, obłudzie i głupocie. Co rano Noa wynosiła go z wózkiem na taras na dachu. Brał ze sobą silną lornetkę i bawił się wielogodzinną obserwacją ulicy, którą czasem przejechał traktor, a czasem dziewczynka na osle albo grupa arabskich robotników w drodze powrotnej z plantacji. Tak jak Gorowoj Podglądacz, Nechemia Dubnow przeszedł na lornetkę teleskopową, żeby przez otwarte przez całe lato okna śledzić życie sąsiadów jako jedyny, ubawiony widz farsy, w którą wszyscy są uwikłani. Siedemnaście lat po pierwszym wypadku przydarzył mu się kolejny. Noa wyszła pod wieczór do sklepu po cebulę i olej, a kiedy wróciła o zmierzchu, zobaczyła, że ojciec spadł z wózkiem z tarasu: silnymi ramionami wprawił w ruch koła, rozpedził, jak to miał w zwyczaju, swoje zwaliste ciało, niczym czołg w natarciu, na przeciwległy kraniec dachu, przerwał barierkę i wypadł. Ponieważ dowiedziała się, że ojciec w testamencie zapisał cały dom Joszkowi, synowi ciotki, uznała to za znak, że przyszła ostatnia chwila na wyrwanie się i ruszenie w stronę życia, przez co rozumiała głównie studia na uniwersytecie. Ten Joszko, jedyny krewny Noi, zrodził się z miłości Chumy do pewnego lutnika z Lipska, późniejszego oficera pożarnictwa w Haderze. Jak opowiadał ojciec, uczucie trwało trzy i pół tygodnia. Kiedy urodził się Joszko, strażak-lutnik zdążył się już ożenić w Brukseli ze śpiewaczką z zespołu muzyki flamandzkiej. Przez kilka lat ciotka wynajmowała z dzieckiem pokój w Hajfie. Miała tam dwa żelazne łóżka, skrzynię na ubrania i umywalkę narożną, zakrytą plastikową zasłoną. Na jej błękitnym tle wykwitły pleśni rysowały mapę stale powiększających się kontynentów i wysp. Dwa dni w tygodniu ciotka pracowała jako sekretarka w Lidze Pacyfistów. Miała też pół etatu w Stowarzyszeniu Wegan. Co wieczór wyruszała, niezłomna i twarda jak fregata przypuszczająca szturm na oblężony port, na posiedzenia Komitetu na Rzecz Zbliżenia Ras i Wyznań. Joszko przez kilka lat wychowywał się na farmie młodzieżowej imienia Tołstoja, wreszcie uciekł do matki. Czasem wymykał się na wieś, do sparaliżowanego wuja awanturnika i jego córki, przy której gadał i gadał bez ustanku albo przeciwnie, nie odzywał się przez cały dzień. Później zniknął z Hajfy, trzy miesiące mieszkał w arabskiej wiosce w Galilei, skąd wysłał Noi płomienny list miłosny na dwadzieścia osiem stron, uczestniczył w wiecach i demonstracjach, opublikował dwa wiersze w pewnym piśmie, a w wieku siedemnastu lat trafił na łamy gazet. Prasa rozpisywała się o wychowanym w duchu pacyfizmu chłopcu, który przechodzi na islam, żeby uniknąć służby wojskowej. Jeden z artykułów redakcyjnych wzywał nawet obóz lewicy do opamiętania i dokonania rachunku sumienia. W końcu Joszko trafił do małej

wspólnoty chasydzkiej, a może to wysłannicy wspólnoty trafili do niego. Kiedy wojsko zrezygnowało z Joszka, bo miał słabe nerwy, chasydzi wywieźli go do Brukseli. Było to w roku sześćdziesiątym drugim, gdy Noe powołano do wojska i rozpoczęła służbę w sztabie do spraw edukacji armii. Samotna ciotka Chuma zlikwidowała swój pokój w Hajfie i zjechała do ostatniego domu na wschodnim krańcu osady na wschodzie doliny Hefer opiekować się chorym bratem. Wreszcie zmarła, zakłuta drutem w prywatnym ośrodku opieki. Gdy umarł ojciec, okazało się, że zapisał dom w testamencie nie Noi, tylko Joszkowi „w nadziei, że powróci ze zwyrodniałej diaspory i zapanuje nowe korzenie w ziemi Szaronu”. Joszko nie wrócił z diaspory i nie zapanował korzeni w Szaronie, za to z Brukseli wynajął adwokata, ponurego ortodoksa o wyglądzie ugrzecznionego sprzedawcy trumien, ten zaś miłym tenorem wyjaśnił Noi z żalem, że jest tylko jeden sposób na podważenie testamentu. Musiałaby pójść do sądu i publicznie oświadczyć, że jej zmarły ojciec był niepełna rozumu w chwili, gdy go sporządzał, albo chciał zażartować, lub też, dla odmiany, pisząc testament, uległ naciskom szantażystów, czytając: swojej siostry, błogosławionej pamięci Chumy Zamość Bat-Am, i dlatego testament zdaje się być nieważny. Jednak, powiedział mecenas, w obu wypadkach ma pani niewielkie szanse poparcia swoich twierdzeń dowodami, które uznałby sąd. W końcu przekona się pani, że najadła się pani wstydu i wyszła z tego z pustymi rękami, i tylko niepotrzebnie na oczach ludzi zszargała pani pamięć swojego ojca, niech odpoczywa w raju, a także pamięć ciotki, pokój z nią, a do swych grzechów dodała pani wyparcie się jedyne go krewnego, pragnącego tylko wybawić panią z mniejszego czy większego kłopotu. Krótko mówiąc, rodzina wyjdzie z tego okryta błotem od stóp do głów, a pani nic w końcu nie zyska, nawet jednego grosza. Natomiast jeśli, przeciwnie, postąpi pani rozsądnie i zrezygnuje z procesu, oto moje pełnomocnictwo, podpisuję pani od ręki w imieniu mojego klienta Jeszajahu Sarszaloma Zamościa oświadczenie, że przekazuje on pani dobrowolnie jedną czwartą wartości majątku jako darowiznę, a nie na mocy ugody, dla pojednania, w myśl przykazania: „a od swojego współbrata się nie odwrócisz”. I tak w wieku trzydziestu dwóch lat opuściła swój dom niewoli. Spakowała się w trzy walizki, kolekcję widokówek wysłała w darze do sanatorium imienia Mahatmy Gandhiego i pojechała na uniwersytet do Tel Awiwu studiować literaturę z młodszymi o dziesięć lat koleżankami. Potem była nauczycielką w liceum w Bat Jamie. Kilka razy wiązała się ze starszymi mężczyznami, przeszła aborcję z powikłaniami, na koniec przez sześć miesięcy mieszkała ze słynnym profesorem, który pochodził z Pragi, a na emeryturze poświęcił się poprawianiu dzieła Istota judaizmu w sześciu dużych tomach. Profesor był człowiekiem zgorzkniałym, kąśliwym i ironicznym. Od młodości miał jedno hobby: strojenie fortepianów. O każdej porze, w każdą pogodę był gotów wstać i jechać w dowolne miejsce z teczuszką delikatnych przyrządów pod pachą. Mimo że nie był młody ani szczególnie zdrowy, stroił poluzowane struny nieodpłatnie, pod warunkiem że był to prawdziwy, przedwojenny fortepian. Pewnego dnia profesor przyjął zaproszenie, żeby spędzić resztę życia w domu gościnnym Uniwersytetu Katolickiego w Strasburgu, gdzie miał nadzieję w spokoju objaśnić od nowa istotę judaizmu. Noa uznała, że i dla niej najlepiej będzie wyjechać z Izraela na dwa, trzy lata i sprawdzić, czy rzeczywiście można żyć inaczej. Przyjaciele załatwili jej niepełny etat w Wenezueli. Tam, w Caracas, przez bilety na koncert związaliśmy się ze sobą. I odtąd jesteśmy związani.

Po wiadomościach i prognozie pogody Teo powiedział: Zgaśmy telewizor i przejdźmy się trochę. Przebrałam się w dzinsy i czerwoną koszulkę. Włożyłam adidas. Teo też był w adidasach i w dzinsach z szerokim paskiem. Zjeżdżając windą, objęliśmy się i wtuliłam twarz w jego ramię. Był cieplejszy ode mnie, a szeroki pas wydzieliał zapach starej skóry i potu. Powiedziałam: Zawsze jesteś ciepły.

Teo powiedział: Od wczoraj masz wakacje, Noa. Co będziesz robić?

Powiedziałam: Ośrodek. Dom Immanuela. Żałuję tylko, że wzięliśmy od ciebie pieniądze. To było złe posunięcie. To znaczy, źle się z tym czuję. W przyszłym tygodniu Awraham wszystko ci zwróci.

Teo powiedział: Awraham. Kto to jest?

I po chwili: A, tak. Afrykanin. Nie pali się.

Ulica była pusta, tylko rząd zaparkowanych samochodów i szereg żółtych latarni. Nie wszystkie się paliły. Mizerne drzewa: derys, eukaliptus i tipuana, oddychały z trudnością. Przez chwilę miałam wrażenie, że te drzewa, jak zresztą cała ulica, to dekoracja w teatrze amatorskim. Okna mieszkań były otwarte. Prawie z każdego domu dobiegał głos ministra budownictwa Szaronu, strofujące-

go z wściekłością prowadzących wywiad redaktorów. Od wzgórz na wschodzie zawiewał lekki, suchy wiaterek. Spomiędzy śmietników wybiegł nagle spłoszony kot i mało brakowało, a wpadłby nam pod nogi. Objęłam biodra Teo. Oparłam rękę na szerokim, szorstkim w dotyku pasie. Metalowa klamra pieściła chłodem moje palce. W przyćmionym, brudnym świetle wejścia do domów ukazywały odrapane schody. Skrzynki na listy też nie wyglądały najlepiej w słabej poświacie.

Teo powiedział: Prezydent miasta. Bat Szewa, ta dinozaurzyca. Warto spróbować omówić z nią wasz fantastyczny pomysł, ale na osobności, nie w biurze. Tyle że się pewnie nie zgodzisz, żebym z nią porozmawiał? A może?

Lepiej, żeby w tej historii obyło się bez ciebie.

I bez ciebie, Noa.

Nie odbieraj mi wszystkiego.

Wszystkiego. Jakie wszystko? Wielkie nic.

Na rogu ulicy, gdzie nie docierało światło latarni, stała bez ruchu obejmująca się parka. Trwali w ciemności jak pomnik, ze złączonymi wargami, a ich zamarły pocałunek dziwnie przypominał reanimację. Przechodząc obok, miałam wrażenie, że tworzą jedną całość. Domyślałam się, że dziewczyna to ta czy inna Tali z mojej dwunastej klasy, ale nie wiedzieć czemu miałam cichą nadzieję, że się mylę. W każdym razie nie mogłam przecież stanąć i gapić się jak podczas identyfikacji na policji. Zaczerwieniłam się w ciemności.

Z okna na drugim piętrze dobiegł płacz. Nie był to rozpaczliwy szloch, tylko miarowy, zrównoważony płacz sytego niemowlaka, który po do-rośnięciu nie będzie sprawiać kłopotów. Teo objął mnie i przez chwilę miałam wrażenie, że jego lewe, zmrużone oko knuje coś w mroku. Dwie ulice dalej miasto kończyło się jak statek wbity dziobem w piach nadmorski. Tu był początek pustyni. Teo zaczął schodzić pierwszy ścieżką w kierunku wadi. Jego cień okrywał mnie i mój cień, bo szłam tuż za nim. W srebrnej księżycowej poświacie za skałkami z czarnego krzemienia tworzyły się mroczne stożki. W ostrym świetle sprawiały wrażenie wyciętych nożem. Gdzieś wśród kamieni białły rozrzucone kości. Na dole, w wadi, doleciała nas woń wypalonych słońcem cierni. Zdawało się, że wszystko: blade skały, zbocze, wzgórz na wschodzie, a nawet chłodne światło gwiazd czeka na jakąś zmianę. Która nadejdzie zaraz, za chwilę, a po niej wszystko będzie jasne. Ale co to za bliska zmiana i co jeszcze ma się wyjaśnić, nie miałam pojęcia.

Teo powiedział: Tu też jest noc.

W jego spokojnym, głębokim głosie wyczułam chyba lekkie wahanie, jakby nie wierzył, że uda mu się przekonać mnie, że tu też jest noc, jakby wątpił, czy jestem w stanie to zrozumieć.

Minie lato, powiedziałam, i zobaczymy, co dalej.

Teo powiedział: Co dalej?

Nie wiem. Poczekamy, zobaczymy. Na drodze za zakrętem wadi rysowała się plama cienia: głąz się stoczył. Nie głąz. Wrak. Porzucony samochód.

Wcale nie porzucony. Dżip. Cisza. Zgaszone światła. Z bliska dostrzegliśmy postać schyloną nad kierownicą. Samotny mężczyzna, skulony, opatulony płaszczem z podniesionym kołnierzem, w nierównych odstępach wydawał z siebie zduszony śmiech. Teo powstrzymał mnie ruchem ręki. W trzech krokach podszedł do dżipa i pochylił się nad zgarbionym mężczyzną. Chyba spytał, w czym może pomóc. Tamten uniósł głowę i spojrzał, nieporuszony, na mnie, a nie na Teo, i na powrót wolnym ruchem opadł na kierownicę. Teo postął tam jeszcze chwilę, zza jego ciemnych pleców nie mogłam się zorientować, co robi ani o co pyta, a potem wziął mnie za rękę i pociągnął dalej, w kierunku samotnej wianowłostki. Co mu jest, zapytałam, a Teo nie odpowiedział, jakby to było trudne i wymagało dłuższego namysłu. Dopiero kiedy minęliśmy drzewo, oznajmił: Nic mu nie jest. Płacz.

Może powinniśmy byli zostać z nim trochę? A może...

Każdemu wolno płakać.

Dotarliśmy na szczyt wzgórz nazywanego Wzgórzem Hieny. Rozproszone, żółte, przyćmione światła miasteczka migotały w ciemności, jakby w swoim języku daremnie próbowały coś odpowiedzieć gwiazdom. Od południa na horyzoncie wzniosła się oślepiająca raca, głucho eksplodowała i zgasła. Zobacz, powiedziałam, fajerwerki. Jeszcze trochę i zagra orkiestra. Teo powiedział: Flara. To nie fajerwerk, to flara, Noa. Z samolotu. Mają nocne ćwiczenia. Ostrzał celów pozorowanych.

I nagle, może za sprawą słów „cele pozorowane”, targnął mną ból na wspomnienie poety Ezry

Zussmana i nieszczęśliwego ojca, Awrahama, blasku ich wstydlivego uśmiechu, kruchego, melancholijnego, błyskającego jak słońce wśród chmur jesienią i gasnącego w mgnieniu oka. Widziałam spuszczone oczy chłopca pod długimi rzęsami i pobrużdżoną od tłumionych uczuć twarz ojca, jak u spracowanego hutnika. Co mu teraz zostało? W Lagos? Czekanie na powrót szympansa, porzuczonego w głębi lasu? Co go tam trzyma i czego chce ode mnie, czego chce tak naprawdę, w głębi duszy? Mocą jakiego zaklęcia ten niepozorny mężczyzna zdołał przekazać mi swoją nieokreśloną prośbę przez srebrny bezkres letniej nocy, spowijającej pustynie i stepy pomiędzy Tel Kedar a Lagos, poprzez setki wzgórz skąpanych w księżycu, i pasm górskich, i wąwozów, i pól wędrujących piasków?

Kwadrans albo dłużej staliśmy na Wzgórzu Hieny. Prawie nie poczułam, że ujął moją dłoń i zaczęła ją gładzić. Widzieliśmy, jak strzępy mlecznych mgieł ścielą się i łączą w szczelną powłokę na dnie wadi, i płyną w kierunku dżipa ze zgaszonymi światłami. Smutek pustkowia i ciemności, mężczyzna skulony nad kierownicą we mgle, policjant z krzyżówki pod Aszkelonem, któremu krew ciekła z nosa, a pot zmieszany z kurzem spływał po twarzy i szyi, wszystko na mnie. Tylko dlaczego na mnie? Kim jestem w nieszczęściu obcych, przypadkiem spotkanych ludzi, i tych, których nie spotkałam i nie spotkam? A jeśli już właśnie ja, jak mam wydobyć z siebie to połączenie oschłości i szlachetności, jak mam zmniejszyć rozmiary tragedii w sposób, w jaki to robił tamten policjant: bez egzaltacji, ręką chirurga? „Gdzie zatem świecić mamy, ł komu potrzebny nasz blask”.

Noa.

Co.

Chodź.

Dokąd. Jestem tutaj.

Chodź bliżej.

Tak. Co.

Posłuchaj. W piątek w południe, kiedy czekałem na ciebie w kawiarni California, przez plac przeszedł pogrzeb z noszami zakrytymi tałasem, z religijnymi chłopcami i puszką na jałmużnę, zbawiającą od śmierci. Umarł ten staruszek od Szacberga z apteki. Elias. Tyle że nie miał na imię Elias. Zapomniałem, jak się nazywał. Nieważne. Pochowali go naprzeciwko żony i dziecka Boża, między sosnami, tuż za twoim uczniem i jego ciotką. Mam mówić dalej? Nie jest ci chłodno?

Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

Do niczego. Pojedziemy gdzieś. Weźmiemy ślub. Odmalujemy mieszkanie. Albo kupimy kompakt. Tylko powiedz mi chociaż raz, czego naprawdę chcesz.

Dlaczego mamy brać ślub?

Dlaczego. Dla ciebie. Nie jest ci dobrze.

I zaraz: Zresztą sam nie wiem.

Powiedziałam: Chodźmy do domu. Chłodno trochę. Ten dzieciak, jego ojciec, ośrodek, dom Alhariziego... dlaczego właśnie ja? Coś się stanie, Teo. Nie masz wrażenia, że wprowadzenie się kończy?

Ruszyliśmy z powrotem. Zdecydowaliśmy nie iść obok dżipa i ścieżką przez wadi, tylko naokoło, przez cmentarz u stóp szczytu, który skrywa zakazaną dolinę. Świerszcze, ciemność i niesiony przez wiatr zapach odległego ogniska na chwilę wzbudziły we mnie pragnienie, żeby odwrócić się od przyćmionych światła na wzgórzu, zejść z drogi, ruszyć jeszcze dalej na południe, w stronę prawdziwego pustkowia, przekroczyć jakiś próg i wyjść. Co chciał powiedzieć poeta? Mówienie jest pułapką? Skoro tak, czemu nie zamilkł. I nagle w gwałtownym olśnieniu przypominałam sobie ołówek, który Immanuel rzeczywiście dostał ode mnie pewnego zimowego dnia, gdy mieliśmy przerwę w dostawie prądu. Weszłam do gabinetu poprosić o paracetamol, ale pielęgniarki nie było i tylko on siedział jak cień koło leżanki i patrzył na mnie, zmrużywszy oczy, spod dziewczęcych rzęs. Jakby mu było mnie żal. Nie wiedzieć czemu zagadnęłam go tak, jakbym musiała z miejsca ująć go w karby. Zapytałam surowo, podejrzliwie, czy mogę wiedzieć, czego tu właściwie szuka i kto mu pozwolił wejść do gabinetu pod nieobecność siostry. Byłam w tamtym momencie spięta, pełna rezerwy i rozgniewana jak mój ojciec, który całymi dniami przesiadywał na dachu na wózku inwalidzkim, podczas gdy życie mijało go w swym pochodzie za szklami silnej lornetki. Chłopak przytaknął dosyć smutno i jakby rozumiejąc mnie i próbując w miarę możliwości zmniejszyć moje zmieszanie, zapytał, czy przypadkiem nie mam czegoś do pisania. Czy rzeczywiście mrugał? Czy teraz tak mi się zdaje? A ja, gwałtownym ruchem, zwrócona do niego plecami, otwierałam jedną po

drugiej szuflady białej szafki z lekarstwami, aż znalazłam ogryzek ołówka. Zanim wyszłam, a raczej uciekłam, rzuciłam mu jeszcze zjadliwie: Obawiam się, że temperówkę będziesz musiał łaskawie znaleźć sobie sam. Interesował się literaturą, mówił Awraham Orvieto, może nawet zamierzał pisać, czy miał do tego talent, ty jedna możesz wiedzieć, ja tego nie ocenię, przecież tylko u ciebie znajdował sens w nauce i nawet opisał w liście, jak dostał od ciebie ołówek, i tym ołówkiem napisał ten list. Słuchałam i nie wierzyłam własnym uszom, jakby ktoś kierował do mnie przez pomyłkę wyznania miłosne przeznaczone dla innej. Gdybyśmy nie wybrali okrężnej drogi, gdybyśmy ścieżką przez wadi wrócili do dżipa bez świateł i stwierdzili, że mężczyzna zniknął, mogłabym usiąść zamiast niego na miejscu kierowcy, oprzeć głowę na dłoni, a dłoń na kierownicy, i oplakiwać tamto dziecko, bo innego nigdy mieć nie będę. Schodził na własne dno. Po powrocie do domu przekreśliśmy od wewnątrz klucz w drzwiach balkonowych i piliśmy herbatę ziołową. Włączyliśmy telewizor na próbę, a nuż jest coś do oglądania, i rzeczywiście było nagranie ostatniego koncertu Artura Rubinsteina, na dwa tygodnie przed jego śmiercią. Potem poszłam wziąć prysznic, a Teo zamknął się w swoim pokoju i słuchał wiadomości ze świata w Radiu Londyn.

Bóg istnieje, śmiał się Muki Peleg, otwierając Noi drzwi swojego nowego fiata. Był w szerokich, bordowych spodniach i koszuli koloru nieba, szyję miał okręconą jedwabnym, fioletowym szalikiem. Chodź, sama zobacz, co nam zsyłają niebiosy, jak rzekł cieśla do żony, dziewczycy. Noa położyła torebkę z rafii koło nóg, ale rozmyśliła się i wzięła ją na kolana. Jechali szukać mieszkania ciotki Immanuela Orvieto w dzielnicy Joseftal. Mecenas Roń Arbel z kancelarii Czerniak, Refi-dim i Arbel dostał z Lagos telegram z poleceniem zajęcia się spadkiem po zmarłej. Tego ranka przekazał telefonicznie informację, że został przez swojego klienta upoważniony do zlecenia agencji Mukiego sprzedaży mieszkania ciotki wraz z całą zawartością i przesłania pieniędzy Teo, w ramach zwrotu części pożyczki na rzecz Stowarzyszenia Pamięci Immanuela Ondeto, jakiej Teo udzielił, gdy zachodziła obawa, że może przepaść okazja nabycia nieruchomości.

Po drodze opowiadał o kosmetyczce, takiej rudej, na sto procent wpadł jej w oko, co tam wpadł w oko, ona za nim szaleje, i prosił Noe o radę, którą z czterech opcji ma wybrać, żeby skrócić dziewczynie drogę do swojego łóżka. Noa poradziła, żeby na początek spróbował trzeciej metody. Cemu nie. Czy ta metoda w jej przypadku by zadziałała? Noa odpowiedziała: Pewnie. I podczas gdy on roztaczał przed nią swój, jak to określił, scenariusz taktyczny, przechodząc do opowieści, jak to rano włożył w nową spólkę jedenaście tysięcy dolarów i będzie sprowadza! krawaty z Tajwanu, seksowne, jaskrawe krawaty, świecące w ciemności jak kocie ślepia, wyłączyła się i próbowała wyobrazić sobie, czym jest śmierć: mrocznym nieistnieniem, w którym oczy, których nie ma, nie widzą i nie mogą zobaczyć nawet tej doskonałej czerni, bo oczu nie ma, a skóra, której nie ma, nie czuje zimna i wilgoci, bo skóry także nie ma. Jednak była w stanie wyobrazić sobie co najwyżej uczucie zimna i ciszy w ciemnościach, tylko wrażenia zmysłowe, a te przecież należą do życia. Zatem to także znika. Schodzi na własne dno.

Mieszkanie Elazary Oryieto było zamknięte od czasu tragedii. Kiedy weszli, przywitał ich trudny do określenia zapach zakurzonych książek i nie wietrzzonej wełny. Żaluzje były spuszczone, trzeba było zapalić światło. W salonie obejrzeni kanapę, dwa wiklinowe fotele i prostokątny stolik, utrzymane w stylu epoki wielkich oszczędności, i reprodukcję pejzażu galilejskiego, pędzla Reu-vena. Bukiet oleandrów w wazonie z niebieskiego szkła usechł i zaczął się już osypywać. Obok, grzbieciem do góry, leżała otwarta książka o dziesięciu ostatnich dniach żydowskiego Białegostoku, a na niej okulary w brązowej oprawce. Przy książce została pusta brązowa filiżanka. Na półce stała Biblia z komentarzem, parę powieści, albumów i tomików wierszy, a między nimi porcelanowa figurka obnażonego chłopca, trącającego struny miniaturowej lutni. Zresztą Noa nie była pewna, czy to lutnia, czy jakiś inny podobny instrument. W banku siedziała w głębi, z lewej strony, przy stanowisku funduszy emerytalnych. Miała koło pięćdziesiątki, była sprawna, zaszuszone, piegowata, nosiła buty na płaskim obcasie. Krótkie włosy koloru miedzi upinała gładko za pomocą plastikowego półksiężycy. Kiedy mówiła, albo kiedy ktoś zwracał się do niej, zwykle dropiatą dłonią zasłaniała nos i usta, jakby w obawie przed nieprzyjemnym zapachem. Kończyła rozmowę zawsze w ten sam sposób: Na sto procent w porządku. W uszach Noi brzmiał wręcz namacalnie bezbarwny głos, jakim wypowiadała te słowa.

W niskiej sypialni stało żelazne łóżko, przykryte prostą narzutą, i czarna szafa na ubrania, jaką Noa pamiętała z dzieciństwa. Nazywano ją wtedy komodą. W kącie na podłodze, w glinianym be-

duińskim dzbanie szarzały suche osty. Na taborecie przy łóżku znaleźli kolejną pustą brązową filiżankę, buteleczkę leków i broszurę o bahaizmie ze zdjęciem przedstawiającym świątynię w Hajfie i widok na zatokę.

Z sypialni przeszli na balkon, zmieniony w mały pokoik, prawdziwą klitkę. Było tam tylko żelazne łóżko, półka, na ścianie mapa południa kraju i otwarta skrzynia, a w niej pieczołowicie złożone w kostkę ubrania Immanuela: cztery koszule, dwie pary długich spodni, sztruksowe i drelichowe, bielizna, chustki do nosa i skarpetki. I jeszcze nowa kurtka skórzana, z mnóstwem suwaków i sprzączek. Noa nie pamiętała, żeby chłopak ją nosił. Na wieku skrzyni, służącej najwyraźniej także za stół, leżały podręczniki, zeszyty i długopis, i stała mała lampka z niebieskim kloszem. Było tam jeszcze kilka broszurowych wydań zagranicznych powieści w przekładach, słownik, parę tomików wierszy i wyschnięta gałązka sosny w szklance, z której wyparowała woda. Znajomy zielony sweter na łóżku. W nogach łóżka stary, podarty wełniany koc, co trochę zaskoczyło Noe, zanim dotarło do niej, że to posłanie dziwaczного psa. Tu obaj spali w nocy. Tu spędzali w zamknięciu zimowe dni. Uniosła żaluzję i otworzyła okno. Nie zobaczyła przed sobą nic poza szarym, przytłaczającym murem z wielkiej płyty. Bardzo blisko, prawie na wyciągnięcie ręki, była ściana sąsiedniego bloku. Omal się nie rozpląkała. Muki Peleg niepewnie dotknął jej karku, próbując ją pogłaskać. Jego nozdrza zadrżały pod wpływem delikatnej woni kapryfolium. Powiedział miękko: Noa?

Sięgnęła ręką, chcąc strącić dłoń Mukiego, ale w pół ruchu zmieniła zamiar i uściśniła ją, a nawet na moment wsparła się na nim z przymkniętymi oczami. Muki Peleg wyszeptał, jakby nagle dopuścił do głosu tłumioną z całych sił i starannie skrywaną wrażliwość: No już dobrze. Mamy czas. Zaczekam w drugim pokoju.

Musnął jej włosy i wyszedł.

Schyliła się, podniosła leżący przed nią sweter i przyłożyła do piersi, żeby go dobrze złożyć. Nie wyszło to najlepiej, więc rozłożyła sweter na narzucie i złożyła ponownie, jakby zmieniała pieluszkę, po czym wolno odniosła go i włożyła do skrzyni z ubraniami, między koszule. Potem spuściła żaluzję, zamknęła okno i zamierzała wyjść, ale zamiast tego usiadła na chwilę na łóżku w poczuciu bezsilności i pustki. Zamknęła oczy i czekała na płacz. Który nie nadszedł. Poczowała tylko, że jest późno. Podniosła się, wierzchem dłoni dotknęła wieka skrzyni, wygładziła narzutę na łóżku, poprawiła poduszkę, zasunęła zasłonę i wyszła. W drugim pokoju w wiklinowym fotelu siedział Muki w okularach do czytania. Czekał na nią, studiował w ciszy książkę o końcu Żydów białostockich. Wstał i przyniósł jej z kuchni pół szklanki wody. Potem, w samochodzie, powiedział jej, za ile ma nadzieję sprzedać to mieszkanie, oczywiście także i tym razem nawet mu przez myśl nie przeszło brać prowizji za pośrednictwo, ale prawda jest taka, że pieniędzy, które wpłyną ze sprzedaży, nie wystarczy na spłacenie Teo, a przecież musimy jeszcze przerobić dom Alhariziego na to, co chcemy tam mieć, chociaż właściwie zależy, co chcemy mieć, tak naprawdę nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co razem robimy, jak rzekła caryca Katarzyna do swojego prywatnego kozaka. -

Noa powiedziała: W porządku. Posłuchaj. To jest tak. Licz się z tym, że jeśli okaże się, że spadek nie wystarczy, możliwe, że uda mi się zdobyć kolejny spadek, po mojej ciotce, czyli mój. Objął go pewien ortodoksyjny krewny z Brukseli, a ja na to pozwoliłam, chociaż w żadnym razie nie powinienam była tego robić, to był błąd. Może jeszcze da się o niego powalczyć. A teraz weź mnie do Kalifornii i zaproś na kawę mrożoną. Kawa mrożona, Muki. Tego mi teraz potrzeba.

Pod koniec roku siedemdziesiątego pierwszego, czy na początku siedemdziesiątego drugiego, szefem wydziału został Finkel. Na pocieszenie, a może w dowód uznania, centrala zaproponowała Teo wyjazd z ramienia Zarządu Planowania do Meksyku, gdzie miał być doradcą do spraw planowania przestrzennego: Jesteś przecież samotny, a przez to bardziej mobilny niż głowy rodzin. Przewietrzysz się trochę, zobaczysz kawałek świata, o Latynoskach słyszałeś, a są też czarne, Kreolki, Mulatki i Indianki, niech to będą, powiedzmy, dwa, może trzy lata. Z zawodowego punktu widzenia zapewne znajdziesz tam, jak to mówią, szerokie pole do popisu. Możesz tam przeprowadzać prawdziwe rewolucje, wynajdywać nowatorskie metody. Jak ci się znudzi, wrócisz do nas, pewnie do tego czasu będzie już nowy układ. W zasadzie wszystko jest możliwe, jeszcze wszystko da się odkryć.

W ciągu dwóch i pół tygodnia zlikwidował kawalerskie mieszkanie przy ulicy Hyrkana w pobliżu Jarkonu. Zwrot „szerokie pole do popisu” rzeczywiście wywołał w nim jakieś niejasne podniecenie, podobnie jak określenie „mobilny”. Może dlatego postanowił zabrać ze sobą tylko jedną walizkę i neseser. Kontrakt przedłużano na kolejne lata, a zasięg pracy Teo rozszerzał się. Zaczynał od

stanu Veracruz, potem przybyły stany Sonora i Tabasco, a wreszcie inne kraje. Powierzchowne kontakty z kręgiem znajomych w Tel Awiwie rozluźniły się w ciągu kilku miesięcy. Pisywało do niego kilka kobiet, przysyłając listy przez biuro, ale on się nie fatygował, żeby im odpowiedzieć, posłać choćby widokówkę. Nie widział powodu, żeby wykorzystać przysługujący mu co sześć miesięcy urlop w kraju. Zrezygnował z gazet izraelskich. Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że nie ma na przykład pojęcia, kto jest ministrem spraw wewnętrznych albo kiedy wypada święto Sukot. Z dystansu wszystkie wojny i uprawiane w przerwach między nimi krasomówstwo odbierał jako zamknięty krąg, powstały z wybuchowej mieszanki dewocji i hysterii: wściekle kopiemy wszystko, co stoi nam na drodze, jednocześnie błagając o litość i z całą stanowczością żądając miłości. Z punktu widzenia Teo, bujającego się w hamaku w zapadłej wsi rybackiej nad Oceanem Spokojnym, Izrael przedstawiał się jako spocony kłębek nerwów, w którym poczucie misji splata się z butą i nieudacznictwem. Pamiętał jednak, żeby czasem zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście wszystko przez to, że ta szuja Nimrod Finkel został dyrektorem wydziału. I odpowiadał sobie, że to był tylko ostatni gwóźdź do trumny. Poczul, że nie chce wracać. Pogrążał się w swojej pracy jak w cichej obsesji. Udało mu się opracować kilka modeli środowisk wiejskich, uwzględniających tropikalny klimat i świetnie dostosowanych do miejscowego trybu życia. Po trzęsieniu ziemi w Nikaragui dwa okręgi odbudowano według jego koncepcji. Napływały nowe zamówienia. W roku siedemdziesiątym czwartym przesłał do Zarządu podanie o bezterminowy urlop. Nimrod Finkel natychmiast na to przystał.

Rok za rokiem tułał się po hotelach i wiejskich gospodach, biurach z klimatyzacją i spalonych słońcem miasteczkach, nocował w indiańskich wioskach, wszystko, czego potrzebował, nosił w niewielkiej torbie na ramię i nauczył się mówić po hiszpańsku w sześciu dialektach. Reżimy nastawały i padały, a on nawigował dalej bez szwanku dzięki temu, że wystrzegał się zawierania przyjaźni. Gdy przeszedł do porządku dziennego nad brutalnością, korupcją, barbarzyństwem i hańbiącą nędzą, starał się unikać osądów i skupiać się na swojej pracy: przecież nie przyjechał tu po to, żeby zwalczać niesprawiedliwość, tylko żeby w miarę możliwości zbliżyć się do zawodowej perfekcji i w ten sposób zmniejszyć zasięg nieszczęść, choćby tylko w mikroskali. Honor, matnia i śmierć były tu wszechobecne, a życie czasem buchało feerią świątecznych ogni, czasem zaś salwą strzałów oddawanych w powietrze. Brutalne. Pikantne. Zgiełkliwe. Tanie.

Kobiety znajdował z łatwością, jak żywność, jak hamak na nocleg, podsuwano mu je niemal wszędzie z ciekawości albo z gościnności. Gospodarze oczekiwali, że będzie uczestniczył w rozmowach toczonych do późnej nocy pod gołym niebem w wiejskich hotelikach, w bazach firmy, na samotnych farmach, w kompanii obcych lub wśród przygodnych znajomych. Znów jak za młodu, jak w ruchu młodzieżowym i wojsku, przysuwał się do ognia i słuchał. Tu też rozmawiano pół nocy o niszczącym działaniu czasu, o rodzinie, kolejach losu, honorze, obłudnym społeczeństwie, okropnościach sprowadzanych na siebie i innych przez chciwość albo przeciwnie, przez nadmierne zobojętnienie. Teo pił niewiele i prawie nie zabierał głosu. Z rzadka tylko wtrącał epizod z jednej z wojen izraelskich lub ustęp z Biblii, który wydał mu się stosowny. Kiedy ludzie się rozchodzili nad ranem, a on w mroku szedł w swoją stronę, niemal zawsze jakaś kobieta pragnęła mu towarzyszyć.

W święto Panienki z Gwadelupy czy generała Saragossy zdarzało mu się wmieszać w tłum i całą noc obserwować żywiołowy korowód, tańce, krzyk, pijatykę, kuszące i straszne przebrania, salwy fajerwerków i strzałów oddanych w duszne powietrze w rytm bębna, czający się na dnie pełnych rozpaczki melodii, falujących do rana w brutalnym, groźnym pożądaniu.

Większość swoich zarobków przysyłał co miesiąc do banku w Toronto, bo miał niewielkie wydatki. Błąkał się w tamtych latach jak wędrowny rzemieślnik od jednego zapomnianego przez świat i ludzi miejsca do innego, jeszcze bardziej zapadłego. Nocował w biednych wioskach u stóp wygasłych wulkanów. Kiedyś widział, jak któryś z nich pławi się w ogniu. Czasem w swoich podróżach przemierzał bujne lasy pod gęstym baldachimem bluszczu i paproci. Gdzieś na odludziu zaprzyjaźniał się na krótki czas z rzeką albo pasmem stromych wzgórz, w które las wbijał dziko pazury swoich korzeni. Gdzieś się zatrzymywał na jakieś dwa tygodnie, żeby oddać się doskonałej beczynności. Leżał cały dzień w hamaku i patrzył, jak ptaki drapieżne krążą po pustym niebie. Nocą przychodziła do niego dziewczyna albo młoda kobieta, przynosząc skądś dla obojga gorącą kawę w dużych glinianych kubkach. W takie noce zdawało mu się, że przeszłość i przyszłość to dwie powszechne zarazy, powolne i niszczycielskie, które dotknęły większą część ludzkości, stopniowo wpędzając swe ofiary w rozmaite szaleństwa. Cieszył się, że ich uniknął, i czuł się uodpor-

niony.

Nawet czas terazniejszy, inaczej mówiąc, dana chwila, w której się właśnie znajdujesz, jadąc, śpiąc, uprawiając miłość, albo chwila, która nawiedza cię, kiedy wyciszony siedzisz w zadumie w wytartej skórzanej kurtce przy oknie w pustym samolocie podczas długiego nocnego lotu, nawet chwila obecna niejako o nic cię nie prosi poza tym, żebyś w niej był i chłonął, na ile się da, to, co ci się pokazuje i robi. Jak łzy, które wolno zbierają się pod przymkniętymi ze zmęczenia powiekami.

Niekiedy ogarniał go strach, a raczej niejasna obawa, że przez brak cierpień coś może go bezpowrotnie omijać. Nie miał pojęcia co, ani czy coś przez to traci. Czasem zdawało mu się, że zapomina o czymś, o czym lepiej nie zapominać, ale wyteżywszy umysł, stwierdzał, że nie pamięta, o czym zapomniał. Spędzając kiedyś noc w Trujillo, w Peru, na papierze firmowym hotelu zapisał sobie kilka pytań po hebrajsku: Czy to zanik sił witalnych? Wypalenie? Zasklepienie? Wygnanie? Mniej więcej po godzinie dopisał pod pytaniami odpowiedź: Nawet jeżeli przyjąć, że zasklepienie itd., to co w tym złego? Żle mi z tym?

I tak, ponownie zapadł w swój tropikalny sen.

Jednak w pracy był rażny jak złodziej przy sejfie. Zdarzało mu się na przykład siedzieć trzy dni i trzy noce w nisko sklepionej klitce gdzieś w wiejskim hoteliku, a kiedy indziej w pięknym biurze, oddanym mu do dyspozycji w którymś z miast, kreśląc, pisząc, zmieniając, dokonując obliczeń z przejściem i z zapalem. Obywał się bez snu i towarzystwa, nie podnosił głowy znad kartki, nawet kiedy do pomieszczenia wślizgiwała się jakaś ślicznotka z kawą i posiłkiem na tacy, i stała nad nim chwilę, przyglądając się wyczekująco, w napięciu, jakby skóra jej sutków odbierała iskrzącą w nim energię, aż wreszcie rezygnowała i odchodziła. Gdy na naradach u decydentów przedstawiał swoje koncepcje, bywało, że emanujący z niego lodowaty ogień wewnętrzny zmuszał innych do podporządkowania się jego woli. W takich chwilach przeżywał potężny, rozkoszny przypyływ spełnienia zawodowego: moc twórcza i chęć usprawniania rozpały się w nim do białości jak żarnik w silnej żarówce. Tak jakby w głębi lasu, w tajemnym, odludnym miejscu biło nieprzewidywalne źródło, a jego wody to tryskały, to zanikały w jednej chwili, znów tryskały i niepowstrzymanie drażyły sobie koryto mocą praw, które nie tobie rozumieć, chociaż dotyczą ciebie i jesteś na nie zdany.

Znowu ruszał w długie podróże do odległych górskich prowincji albo okręgów na wybrzeżu Morza Karaibskiego, gromadził dane o terenie, nadzorował kolejne etapy, gdzieś improwizował, wprowadzał zmiany pod wpływem nagłych olśnień albo poddawał się zmęczeniu i spędzał dni i noce gdzieś w hamaku za chatą. Czasem wstawał po północy, szedł bosy do ogniska i przysiadł się do nieznanym, zajętych rozmową o miłości, zdradzie i o kolejach życia. I tak przed lichą gospodą, nad szklankami miejscowych trunków, w towarzystwie techników, robotników, handlarzy i dziewczyn na osłodę, pod dziwnym nocnym niebem, gotowym w każdej chwili zapłonąć w gwałtownej ekstazie blaskiem spadających gwiazd, poznawał kolejne historie spod znaku rozpacz i żądy. Tak jakby żądza i rozpacz były parą wędrownych aktorów, występujących co wieczór przed przygodnymi widzami w gospodach i na patiach hoteli na odludziu, powtarzających niezmiennie to samo przedstawienie. Teo oglądał je raz za razem, nigdy się nim nie nudząc, ale i bez zbytecznego zachwytu.

W łóżku albo w hamaku, kochając się z kobietą, która go sobie wybrała, najczęściej młodszą od niego o dwadzieścia czy trzydzieści lat, uprawiał miłość powoli i z precyzją, był mistrzem w przedłużaniu rozkoszy i wprawnym przewodnikiem po jej krętych ścieżkach. Kilkakrotnie wśród pieszczot zdarzyło się, że gwałtownie wezbrała w nim silna tęsknota za ojcostwem. Okazywał wtedy dziewczynie swoje kochające oblicze, nie przyjęte w uprawianiu seksu przez dwoje nieznanym: oblicze rodzicielskie. Dziewczyna, przed którą w rozkoszy odsłonił nagle tę stronę siebie, z początku reagowała trwożliwym zdumieniem i strachem, a potem wzdrygała się cała, przeniknięta do szpiku kości. I tak ich ciała dochodziły tam, dokąd nie doprowadzi nigdy sama żądza, aż wydawało się, że rzeka za chatą nie płynie już u ich stóp, tylko z nich wypływa. Ale kiedy nastawał dzień, nieodmiennie wracała obcość i poprawność. By! uprzejmy, uważający, zamknięty. I zmuszony ruszyć w dalszą drogę.

W lutym osiemdziesiątego pierwszego wpadłem do ambasady w Caracas po kopertę z materiałami zamówionymi w Izraelu. Ale koperta dla pana, powiedziała nowa urzędniczka z sympatią i niezwykłym taktem, jakby jej powierzono przygotowanie chorego na przyjęcie złych wyników badań, koperta jest zamknięta w sejfie u oficera bezpieczeństwa. On będzie tu dopiero za pół godziny, go-

dzinę. Tymczasem więc usadziła mnie w wiklinowym fotelu, nie proszona podała kawę, mocną zresztą i rozgrzewającą, jakby z domieszką alkoholu, i w ciągu kilku chwil sprawiła, że odniosłem wrażenie, jakbym ją oczarował. Po jakichś dziesięciu minutach od mojego wejścia do biura powiedziała dziewczęcym głosem, bez cienia zahamowań: Zostań chwilę. Jesteś interesujący.

Była niewysoka, krążyła po pokoju w sukience w barwny deseń, jakby czerpała przyjemność z każdego swojego ruchu. Zastłona jasnych włosów lekko falowała nad jej czołem. Kiedy wstała, żeby nalać mi kawy, sukienka zatańczyła wokół nóg i zobaczyłem, jak jej ciało wypręża się lekko, niespiesznie, swobodnie. Ponieważ mimochodem dała mi do zrozumienia, że to ja wywołuję emanujący z niej kobiecy przekaz: jesteś pociągający, czuję do ciebie pociąg i po co mam to kryć, stwierdziłem ku własnemu zdumieniu, że niemal bezwiednie zacząłem wysyłać sygnały zwrotne. A przecież przez te wszystkie lata unikałem Izraelczyków, a zwłaszcza wykształconych, skutecznych w każdym calu pań z Tel Awiwu, mających słuszne poglądy i argumenty za i przeciw w każdej sprawie na świecie. Podczas moich wędrówek pociągała mnie kobiecość tropikalna, hipnotyczna, sprawiająca niekiedy wrażenie mrocznego ognia, więzionego w dybach iberyjskiej dumy. Tymczasem ta jasnowłosa, zielonooka kobieta, energiczna, o dźwięcznym głosie i spojrzeniu jawnie zdradzającym radość, jaką jej sprawiałem, nieustannie promieniejąca witalnością, obdzielająca nią obficie, marnotrawnie, w ruchach ramion i bioder mówiąca: patrz, oto ciało, zachęcała mnie do nieskrępowanej otwartości, jaka czasem towarzyszyć może spotkaniu przyjaciół z młodości. Chociaż budziła we mnie także gwałtowne pragnienie, żeby ją oczarować. A przecież od lat nie starałem się, bo nie musiałem się starać, zaimponować kobiecie.

W ciągu dziesięciu minut już wiedziałem, że jest nauczycielką, uczy literatury, urodziła się i mieszkała jeszcze kilka lat temu w osadzie na wschodnim krańcu doliny Hefer, weszła w życie, jak to określiła, z potwornym opóźnieniem, bo była obarczona opieką nad kalekim ojcem, dziecinny i agresywnym, innych krewnych prawie nie miała, na imię jej Noa, ty jesteś Teo, już słyszałam, krążą tu legendy o tobie, krótko mówiąc, w Tel Awiwie przeszła kryzys, ale nie mówmy o tym, przyjaciele załatwili jej wyjazd, trochę pracuje w ambasadzie, a trochę uczy dzieci z małej kolonii izraelskiej. To prawda, skąd wiedziałeś, kawa, którą ci zrobiłam, rzeczywiście była radioaktywna. Wrzuciłam zmielony korzeń, indiański, nie, zupełnie niepodobny do kardamonu Jemeńczyków, bardziej odurzający, poza tym dolałam jeszcze pół kieliszka koniaku. Już odkryłam przed tobą prawie wszystkie sekrety. Pewnie, że nie pytałam, czy dodać ci coś do kawy: a czemu twoim zdaniem powinnam była spytać? Wypij jeszcze filiżankę. Nie wyglądasz mi na takiego, co upija się i traci kontrolę. Przeciwnie. Nigdy jej nie tracisz.

Zjawił się oficer bezpieczeństwa i przyniósł mi kopertę. Podziękowałem obojgu i zamierzałem wyjść, ale ona ani myślała mnie puścić: Zaczekaj, Teo. Opowiadano mi, że już dziesięć lat żyjesz wśród Indian. Weźmiesz mnie do nich? To ci się opłaci, bo jeśli się zgodzisz, nauczę cię w zamian, jak, regulując oddech, uśmierzyć ból.

Sądziłem, że pewnie brała udział w spotkaniach jednej z grup mistycznych, których jest tak wiele w Tel Awiwie. Zamierzałem zawczasu wywinąć się tej nauczycielce jak żywe srebro, z jej sposobami regulacji oddechu, a jednak zgodziłem się pójść z nią tego wieczoru na koncert orkiestry i chóru z Berlina. Miała podwójne zaproszenie, beze mnie nie będzie mogła iść, kobieta raczej nie powinna się tu kręcić sama wieczorami, zapewniała, że w programie jest Schubert: Msza B-dur. Od lat nie słyszałem Schuberta nigdzie poza słuchawkami małego magnetofonu, z którym się nie rozstawałem.

Jeszcze tego wieczoru wyszło na jaw, że ćwiczeń oddechowych nie zna i nigdy nie znała: spodobałem jej się i nie chciała, żebym odszedł. Jeśli obstaję przy tym, co mi się słusznie należy, nauczy się korespondencyjnie ćwiczyć oddech, a potem spełni swoją obietnicę. Spodobałem się, powiedziała, to nie jest właściwe słowo. Należałoby raczej powiedzieć: wydałem się jej uwięziony w samym sobie jak w ciemnym lochu i zapragnęła spróbować dotrzeć do mnie, żebym tam nie skostniał. Znów źle się wyraziła, więzienia, lochy, Teo, to wszystko twoja wina, siłę się na poezję i wychodzi bez sensu. Śmiesznie? Więc łaskawie przyjmij za to odpowiedzialność. Patrz, co zrobiłeś, przez ciebie jestem śmieszna. Przez ciebie się czerwienię. Patrz.

Po koncercie zaprosiła mnie na pieczeń cielęcą do restauracji uchodzącej, jak słyszała, za jedną z najlepszych na całej zachodniej półkuli. W restauracji byliśmy sami, za to pełno tam było ozdób ludowych i kelnerów przebranych za gauchos. Zwykła zasadzka na turystów. Pieczeń i wino były mdłe i niestrawne. Zapalono nam na stoliku świecę o odpychającym zapachu tłuszczu. Co do ze-

społu z Berlina, okazało się, że rzeczywiście grali Schuberta, ale dzień wcześniej. Nam przypadł w udziale Hindemith i Bela Bartok. Do tego przy wyjściu złamała i zgubiła obcas od lewego buta, a kiedy wysiadaliśmy z taksówki, zdzieliła mnie zegarkiem w czoło, aż powstała ukośna szrama. Jestem skończona, stwierdziła przed bramą żydowskiego domu, gdzie mieszkała, i uśmiechając się ciepło w świetle latarni, dodała: Przepadła wioska indiańska.

W pierwszą niedzielę po koncercie, kiedy jakiś szewc partacz przykleił jej obcas nie do pary, zawiozłem ją po gruntowych drogach dżipem Agencji Rozwoju do wioski indiańskiej pod Calabozo. Jechaliśmy po pięć godzin w każdą stronę. Po drodze widzieliśmy uroczystość weselną, mroczną, ekstazytyczną ceremonię pół katolicką, pół pogańską: przy dźwiękach dziwnych pieśni, przechodzących chwilami w wycie, kojarzono tam piękną wdowę z mocno oszołomionym, odurzonym chyba narkotykami chłopcem. Pan młody wyglądał najwyżej na piętnaście lat. Nazajutrz odleciałem z powrotem do Meksyku. A jednak spotykaliśmy się dalej, ilekroć wpadałem do Caracas, raz na kilka tygodni. Zawsze jej przywoziłem butelkę Napoleona, żeby miała co dolać do swojej magicznej kawy z palącym indiańskim wywarem. Zamiast tajników oddechu, zmyślonych pierwszego wieczoru, żebym nie uciekł, odkryłem w niej inny sekret, stale mnie fascynujący: spotykając, choćby przypadkowo, obcych ludzi, potrafiła w nich natychmiast rozpoznać zło. Albo obłudę. Czy szlachetność. Nawet w przypadku osób przeze mnie odbieranych jako enigmatyczne, złożone, chronione murem gładkiej powierzchowności lub dobrze zamaskowane pod warstwą nienagannych manier, zawsze umiała stwierdzić już na pierwszy rzut oka, czy ktoś jest dobry, czy zły: podły, uczciwy, szlachetny, zasklepiiony, tak dzieliła i porządkowała świat. I jeszcze ciepły lub zimny. Może nie tyle dzieliła, co rozmieszczała ludzi, miejsca, poglądy na skali temperatur, jakby wystawiała uczniom oceny od czterdziestu do dziewięćdziesięciu. Co to właściwie jest, mówiłem, sąd polowy? Trybunał ludowy? A Noa odpowiadała: To proste, kto chce wiedzieć, co dobre, a co złe, ten wie. Jeśli ktoś tego nie wie, to znaczy, że nie chce wiedzieć. Ty mnie dosyć pociągasz. Mam wrażenie, że ja ciebie też. Oczywiście nie musisz odpowiadać.

Czy zawsze miała rację w swoich błyskawicznych osądach? Najczęściej miała rację? Niekiedy? Nie mogłem tego sprawdzić, bo z czasem zacząłem patrzeć na ludzi jej oczami: skostniaли, ciepli, letni, szlachetni, litościwi, podli. A ja, Noa? Ciepły czy zimny? Czy lepiej, żebym nie pytał? Na to odpowiedziała natychmiast, bez wahania: Ciepły, ale stygniesz. Nie szkodzi, przy mnie się trochę rozgrzejesz. I dodała: Dość dobry. Trochę władczy. Wirtuoz w prowadzeniu dżipa. Jazda z tobą to istne rodeo.

Czasami, zupełnie jak wtedy, gdy kusila mnie w ambasadzie przy naszym pierwszym spotkaniu, znów robiła na mnie wrażenie wyniosłej, energicznej, stanowczej nauczycielki. Urodę wypisano na niej wielkimi literami. Rozsnuwała w krąg delikatną, ale wyraźną woń perfum z kapryfolium. Jednak nic mnie w niej nie odstręczało. Przeciwnie, w jej bliskości bywało, że porywała mnie nagle fala dziecinnej radości: byłem jak zwierzak wzięty z ulicy, o którego ktoś się teraz troszczy. Stopniowo dostrzegłem, jak subtelne i płynne są przejścia w obrębie gamy jej uczuć, przez moment była matczyna, a zaraz potem dziewczęca, albo uwodzicielska, a najczęściej siostrzana. Do tego przejawiała dziecięce poczucie humoru, „koń to główny bohater w dziejach narodów łacińskich”, co wzbudzało we mnie dziwną potrzebę ostrożnego okrycia jej ramion. Nawet kiedy nie było chłodno. Dlatego pierwszym prezentem, jaki dla niej kupiłem, był wełniany szal karaibski. Narzucając go po raz pierwszy na jej białe, drobne ramiona z niewielkim brązowym znamieniem koło karku, przeżyłem chwilę mistycznej rozkoszy: jakbym to nie ja ją okrywał, tylko ona nagle spowiła mnie całego.

Zwiedzaliśmy kiedyś ruiny ponurego kościoła z czasów pierwszych kolonizatorów. Właśnie swoim zwyczajem przedstawiałem rys historyczny, kiedy przerwała mi, mówiąc: Patrz, Teo, ile w tobie lekkości.

Te słowa wstrząsnęły mną jak chłopcem, któremu doświadczona dama wyjawia z wyżyn swej wiedzy niby żartem, że ma w sobie coś, co w swoim czasie przyciągnie pragnące go kobiety. Pochyliłem się i pocałowałem ją. Na razie we włosy. Nie oddała mi pocałunku, tylko poczerwieniała i wybuchnęła śmiechem: Patrz, Teo, to zabawne, twój szacowny wąs jakby drżał. A przecież kiedy ją poznałem w Caracas, miałem pięćdziesiąt dwa lata, od trzydziestu byłem kochankiem takich czy innych kobiet, uważałem się za znawcę wszelkich subtelności ciała i smakosza rozkoszy, jakich ona nie oglądała nawet w najdzikszych snach, o ile w ogóle miała dzikie sny. Sądziłem, że nie miała. A jednak wypowiedziane przez nią w ruinach kościoła słowa: Patrz, ile w tobie lekkości, głęboko mnie poruszyły, tak że zmuszony byłem przypomnieć sobie na siłę, że stanąłem na osiemnastym

wieku i mam jeszcze opowiedzieć, jak kościół i całe miasto legły w gruzach podczas wielkiego trzęsienia ziemi w 1812 roku i na jakiej stałej podstawie opiera się cykliczna zmiana przymierzy między kościołem, tajnymi służbami, maoistami, armią, liberałami i Gwardią Republikańską. Podjąłem swój wykład, ciągnąc go gorliwie, rozwodząc się nad każdym szczegółem, wdając się w dygresje, w podnieceniu dając się ponieść mitom borgesiańskim, aż powiedziała: Dosyć na dzisiaj, Teo, więcej już nie przyswoję.

W ciągu czterech miesięcy widzieliśmy się jakieś siedem czy osiem razy. Chodziliśmy do galerii, na koncerty i do restauracji, przy czym po klęsce, jaką poniosła naszego pierwszego wieczoru, ustaliliśmy, że to ja je będę wybierał. Czasem w niedzielę jechaliśmy na kilkugodzinną przejażdżkę dżipem w stronę wysokich gór Kordyliery Nadbrzeżnej. Po hiszpańsku znała ledwie kilkaset słów, a mimo to po wysłuchaniu mojej krótkiej rozmowy ze sprzedawcą benzyny albo z technikiem z Zarządu rozstrzygała bez cienia wahania, ten jest kłamcą, za to tamten, ten gruby, ten lubi ludzi, ale się tego wstydzi, stąd jego opryskliwość. Co to, Noa, połknęłaś sejsmograf? Wykrywacz kłamstw? Nie spieszyła się z odpowiedzią na te pytania. W końcu odpowiadała, moim zdaniem bez żadnego związku: Wychowywałam się, mając sparaliżowanego ojca i oszalałą od ideałów ciotkę, musiałam być czujna.

Pod koniec wspólnego wieczoru odprowadzałem ją do wynajętego przez ambasadę mieszkania na parterze domu zamieszkałego przez dobrze sytuowanych Żydów. Podczas rozstania przed bramą całowałem ją, a ona mnie na dobranoc w policzek albo we włosy. Wspinała się przy tym na palce, a ja prawie zginałem się w pół, wdychając zapach kapryfolium z jej włosów. Stopniowo dotarło do mnie, że trasa moich podróży coraz częściej prowadzi przez Caracas. Kupiłem jej ciepłe skarpetki i sweter z lamiej wełny. Ona kupiła mi słoik miodu. Aż pewnej nocy, wiosną, za sprawą burzy z piorunami i długiej przerwy w dostawie prądu zdecydowała, że tym razem mam zostać: Jest kanapa, można ją rozłożyć na noc. Posadziła mnie na swoim łóżku, strugi deszczu bębniły o szyby, zapaliła lampę naftową, nalała mi koniaku, podała owoce, papierowe serwetki, i nagle zmieniła zdanie, jednym dmuchnięciem zgasiła lampę, podeszła do mnie i powiedziała: Koniec zalotów, kochajmy się. Zaczęła mi rozpinąć koszulę. W tej chwili oblała mnie gorąca fala pożądania, ale także silnego pragnienia chronienia jej. W swej zmysłowości była otwarta i bardzo bezpośrednia, a przy tym zaciekawiona, miała silne postanowienie, by nauczyć się mnie natychmiast i dogłębnie, ominąć wszystkie formy, poznać mnie dobrze i szybko, znaleźć we mnie tej nocy punkt zaczepienia.

Skończyliśmy się kochać i zaraz zasnęła na brzuchu jak niemowlę, z głową pod moim ramieniem.

Rano powiedziała: Strasznie ci było dobrze. Byłeś jak młody ogier. I mnie też.

Po nocy z piorunami i po kolejnych nocach wciąż byłem pewny, że nie będzie z tego stałego związku. Nadal zdawało mi się, że dożyję swoich dni w pojedynkę. Ale z nią nie wchodziła w rachubę umowa, jaką przez całe lata narzucałem przygodnym kobietom w hotelach, we wsiach, w hamakach, w domach Agencji Rozwoju, obejmująca dwa punkty: godziną przyjemność i rozstanie. Przeciwnie: po tamtej nocy nasza przyjaźń stała się otwarta i radosna. Było nam łatwiej i lepiej. Dla mnie było to dziwne doświadczenie. Dotychczas nie wierzyłem, że przyjaźń w ogóle jest możliwa, a w szczególności przyjaźń między mężczyzną i kobietą. Intymność tak, i pożądanie, i czysta gra, i przelotna sympatia, rozkosz za rozkosz, bierz i daj, wszystko to z biegiem lat poznałem, lecz zawsze w cieniu nieodłącznego związku żądy i skrępowania. W określonych z góry granicach. Ale że przyjaźń jak otwarta dłoń, nieskrępowany związek bez granic jest możliwy między mną a jakąkolwiek kobietą, tego nie przypuszczałem. Właściwie uważałem, że w ogóle nie jest to możliwe. I oto przyszła Noa w tańczących wokół nóg letnich wzorzystych sukienkach z rzędem dużych guzików zapiętych na pętelki, biegnącym wzdłuż całego jej sprężystego ciała. Śmieje się, poklepuje mnie czasem po plecach swobodnie, po przyjacielsku, jej seksualność jest głęboka i prosta jak ciepły czarny chleb, lubi rozbierać nas oboje w pełnym świetle, nad brzegiem rzeki, na leśnej polanie, wolna od skrępowania, ciało i serce ze złota, jakby uznała, że mnie także powinna oswobodzić i wskazać mi wolność.

Kiedyś spędziłem u niej trzy dni i trzy noce. Kiedy nadszedł czas, żeby jechać na lotnisko, powiedziałem: Słuchaj, bez dyskusji, zostawiam ci tu na półce czterysta dolarów, i tak bym wydał te pieniądze na hotel, a tobie przecież dosłownie ledwo na życie starcza. Noa powiedziała: Dobrze. W porządku. Dziękuje. Po chwili zmieniła zdanie, bo wyliczyła, że mój trzydniowy pobyt kosztował ją najwyżej sto. To nic, powiedziałem, resztę zarobiłaś u mnie ucziwie, kup za to telewizor, to będzie prezent ode mnie, posiedź trochę przed nim wieczorami, może wreszcie nauczysz się hiszpań-

skiego. Noa odpowiedziała: Telewizor, dlaczego nie, ale to będzie kosztować co najmniej sześćset, a nie mam z czego dołożyć. To też mi się spodobało. I to, że potrafiła nagle odwrócić się do mnie plecami na dwie godziny, nie pomagały żadne namowy ani zaloty, gdy w absolutnym skupieniu pochylała się nad zeszytami, bo obiecała uczniom, że najpóźniej jutro rano odda poprawione sprawdziany. Nawet kiedy mieliśmy dla siebie zaledwie jeden wieczór. Raz uniosła gwałtownie głowę znad zeszytów i powiedziała w skupieniu, bez uśmiechu: Lubisz osądzać innych. Mnie jeszcze nie osądzaj.

W kwietniu oboje chorowaliśmy na lekki dur powrotny. Pewnie podczas któregoś z naszych niedzielnych wyjazdów złapaliśmy wesz albo kleszcza. Ja chorowałem pierwszy. Położyła mnie w swoim łóżku, ubrała w coś w rodzaju więziennej koszuli z flaneli i obwiązała mi głowę opadającym na czoło i uszy niebieskim, wełnianym zawojem, jaki noszą dzieci indiańskie, okryła czterema kocami, wlała we mnie wrzący napar z jakiegoś zielska z wyciągiem z kaktusów, jak ją uczyła jej zwariowana ciotka, porzuciła na kilka dni swój posterunek w klasie izraelskiej i w ambasadzie, żeby się mną opiekować, otuliła się grubym brązowym, babciowatym szlafrokiem, siadła koło mnie i opowiadała łagodnym, usypiającym tonem o swoim sparaliżowanym ojcu zapaśniku, o ciotce jak z Tołstoja, o Joszku, który się nawrócił, i o jakimś łotrze podglądaczu nazwiskiem Goło-woj czy Gorowej. Opowieść się zawikłała, pomieszała i wypełniła mleczną mgłą, a ja zasnąłem i spałem trzy dni. Wstałem zdrowy i odwołałem swój lot do Veracruz, bo Noa zachorowała. Była dosyć rozkapryszona, zwijała obie pięstki w moich dłoniach jak w mufce i nie pozwalała mi ich wypuścić przez kilka godzin, tylko w ten sposób mogła się trochę rozgrzać, nie pomagały cztery koce i mój skórzany płaszcz, którym ciasno owinąłem jej nogi. Gdy wyszliśmy z tej choroby, zażyłość między nami była na tyle silna, że Noa powierzyła mi zadanie kupienia w aptece w Meksyku jakiejś niemieckiej maści na zapalenie pochwy. W długi weekend w czasie święta Pesach zabrałem ją na plac budowy na południu stanu Tabasco, gdzie powstawało nowoczesne miasteczko w otoczeniu sześciu nowych wsi. Był to w całości mój projekt w pierwszym stadium realizacji. Powiedziała: Zachwycające, nie, po prostu dla ludzi, gdyby tak w Izraelu ktoś wreszcie sobie przypomniał, że tak też można budować. Powiedziałem: Chyba w Izraelu nie ma takiej potrzeby, a już na pewno nie trzeba takich koszar, jakie tu się buduje. W Izraelu jest inny horyzont. W każdym razie, kiedyś był. Poza tym, czemu uważasz, że zachwycające nie może być dla ludzi?

Odpowiedziała, pozornie bez związku: Widzisz, będziemy parą bezdzietnych nauczycieli, cały dzień uczymy się wzajemnie, będzie ciężko, ale na pewno nie nudno.

W czerwcu, pod koniec roku szkolnego, Noa stwierdziła nagle: Kończy mi się umowa. Wracam do Tel Awiwu. Jedziesz ze mną?

Słuchaj, powiedziałem, nie da rady, mam kontrakt do grudnia i nie skończone projekty w Tabasco i w Veracruz, a w Izraelu nikt i nic na mnie nie czeka. Powiedziała: Na mnie też nie. To jedziesz?

W Tel Awiwie znaleźliśmy się w lipcu. Był to tydzień morderczego skwaru. Parujące miasto odstręczało już na pierwszy rzut oka. Po dziesięciu latach oddalenia miałem wrażenie, że zbrzydło jeszcze bardziej: mrowie zakopconych przedmieść, żadnego centrum. Wśród wojen, krasomówstwa, żądz, nic tylko hałaśliwa zabawa i ten spocony splot misji, rozpacz i buty. Wynajęliśmy mieszkanie, dwa umeblowane pokoje na Praskiej, za warsztatem autobusowym, i zaczęliśmy rozpakowywać walizki. Pod wieczór chodziliśmy na długie spacery plażą. Nocami testowaliśmy restauracje. Aż pewnego dnia, w sierpniu, pojechała na pustynię Negew na wycieczkę dla nauczycieli, a wieczorem, po powrocie, powiedziała: Chodź, zamieszkamy w Tel Kedar, to koniec świata, pustynia jest jak ocean i wszystko stoi otworem. Jedziesz?

Wahałem się niemal tydzień. Tel Kedar pamiętałem z czasów, kiedy jeszcze nie było tam miasta. Pod koniec lat sześćdziesiątych pracowałem tam kilka tygodni w otoczonym zasiekami obozie. Raz dziennie cysterna wojskowa dowoziła nam z Beer Szewy wodę i gazy. Przez trzy tygodnie od świtu do zmroku przemierzałem wzdłuż i wszerz nagie, prażone słońcem płaszczyzny u stóp skał. Nocą przy lampie naftowej w namiocie kierownictwa szkicowałem pierwsze pomysły, zarys planu, w którym pod wpływem zdjęć miast pustynnych w Magrebie zamierzałem odejść od izraelskiej sztampy i stworzyć zwarte miasteczko, samo sobie dające cień. Po obejrzeniu szkiców Nim-rod Finkel wzruszył ramionami: Teo jak to Teo, fantazjuje, bawi się, to jest świetne, oryginalne, twórcze, tylko co? Jak zwykle nie wziął pod uwagę, że Izraelczycy chcą mieszkać po izraelsku. Na pustyni czy nie na pustyni. Powiedz mi, proszę, Teo, kto w ogóle chce, twoim zdaniem, ni z tego, ni z

owego wracać do Północnej Afryki. Polacy? Czy Rumuni? A może Marokańczycy? Oni najmniej ze wszystkich. Wbij sobie do głowy, mój drogi: to nie ma być dzielnica artystyczna.

Na tym mniej więcej zakończył się mój udział w zakładaniu miasta Tel Kedar. Nie odczuwałem najmniejszej chęci, żeby tam wrócić i zobaczyć, jak wyszło. Przypuszczałem, że zbudowano rzędy identycznych bloków z wielkiej płyty, z pierwszym piętrem wspartym na kolumnach, z przesuwymi żaluzjami na balkonach. Do kolumn z gołego betonu na pewno przymocowano różne szyldy, skrzynki na listy, pojemniki na makulaturę Komitetu na Rzecz Żołnierzy. Przed każdym domem w prostokątnej altanie stoi szereg kubłów na śmieci.

Po tygodniu powiedziałem Noi: W porządku, dlaczego nie, spróbujmy. Coś we mnie przystało na to i chciało za nią pójść na pustynię. Albo gdziekolwiek. Ściągnąłem z banku w Toronto połowę oszczędności i włożyłem w obligacje państwowe, fundusze emerytalne i akcje, kupiłem to mieszkanie i dom w Herzlii, który przynosi mi tysiąc dolarów miesięcznie. Noa zaraz znalazła posadę nauczycielki i uczy literatury w liceum. Ja otworzyłem małe biuro projektów. Minęło siedem lat, a nadal tu jesteśmy. Chyba przypominamy parę, która ma już za sobą wojny związane z wychowaniem dzieci i toczy spokojne życie, doglądając roślin doniczkowych dla urozmaicenia czasu pomiędzy odwiedzinami wnuków. Do salonu kupiliśmy białą kanapę z fotelami i dobrany kolorystycznie dywanik. Noa zwykła zapraszać na szabat kilku znajomych: nauczycielki z mężami, zawodowymi oficerami, dyrygenta miejscowego chóru, parę pochodzących z Holandii lekarzy w moim wieku, inżyniera hydrotechnika, malarza neokubistę — weganina i przeciwnika butów ze skóry, instruktorkę koła teatralnego. Mówi się o bezpieczeństwie i terytoriach okupowanych. Żartuje z ministrów. Ubolewa nad tym, że miasto stanęło w miejscu i już się nie rozrasta. Porządni ludzie wyjeżdżają, a zamiast nich zjeżdżają się tacy a tacy. Może imigracja z Rosji popchnie nas naprzód. Chociaż właściwie co oni tu będą robić? Usychać na słońcu jak my. Noa podaje owoce, ciastka i swoją kawę z domieszką zakłec i brandy, po której kręci się w głowie. Jeśli ktoś, zabierając głos, przerwie na chwilę, zawaha się, szukając właściwego słowa, Noa ma zwyczaj natychmiast wypełniać lukę, na ochotnika kończyć za niego urwane zdanie, podrzucać brakujący wyraz lub uwalniać uwzięta myśl. Nie stara się dominować w rozmowie, postępuje raczej jak bi-leterka, do której zadań należy stanie w określonym miejscu w przejściu i delikatne branie pod rękę każdego, kto wchodzi do sali po wygaszeniu światła, aby się czasem nie potknął na niewidocznym schodku.

W dalszym ciągu wieczoru rozmowa biegnie dwutorowo. Mężczyzn zajmuje kwestia upadku norm społecznych, kobiety wymieniają wrażenia z przedstawienia albo nowej powieści, wywołującej dyskusje na łamach prasy. Czasem ponownie jednoczy ich temat zdrad i skandali w kręgach teatralnej bohemy albo serial pokazywany ostatnio w telewizji. Tu u nas też jest trochę drobnych aferek, zwłaszcza dzięki Mukiemu Pelegowi. Malarz mówi na przykład: Przedwczoraj w Riszon Lecijon widziałem ekspozycję młodych minimalistów, potem był pokaz nowoczesnych multimedii. Sztuka gna naprzód, kultura stoi o klasę wyżej i tylko my topimy się z wolna w słońcu. W Riszon Lecijon zrobili teraz ładny pasaż, galerie, kluby, restauracje, na ulicach mnóstwo światła i życia, rozbawieni ludzie wracają o północy z Tel Awiwu i zapełniają kawiarnie, dyskutują o teatrze współczesnym, tylko u nas co wieczór trik-trak, a potem telewizja i spać z kurami. Instruktorka aerobiku mówi: Gdyby chociaż nas podłączyli do telewizji kablowej, tak jak wszystkich. A jej mąż, podpułkownik, dodaje z goryczą: Bądź pewna, kochanie, że osiedlom na terytoriach okupowanych podłączą kablówkę długo przed nami, my jesteśmy u nich na szarym końcu kolejki, jeśli w ogóle. Noa mówi: Można i do nas sprowadzić tę ekspozycję, zaanektować korytarz w Domu Założycieli i zrobić tam galerię, zainstalować dobre oświetlenie. A może zaprosić czasem z Beer Szewy kogoś, kto da wykład z historii sztuki?

Ja za to krążę po pokoju i podaję napoje w geście demokratycznej grzeczności, opróżniam popielniczki, od czasu do czasu wtrącam anegdotę z wysp Morza Karaibskiego albo próbkę humoru indiańskiego. Głównie jednak milczę i słucham. Próbuję z góry przewidzieć, co powie Noa po wyjściu gości: dobry i zły, ciepły i zimny, zrezygnowany. Kilkakrotnie mi powtarzała: Lubisz osądzać innych, nie osądzaj, przyglądaj się.

O północy albo o wpół do pierwszej goście rozchodzą się, zapewniając, że w przyszły piątek znów się spotkamy. Noa i ja sprzątamy, zmywamy i siedzimy jeszcze z pół godziny w salonie, zimną nad kieliszkiem grzanego wina, a w letnie noce przy kawie mrożonej. Zasłona blond włosów w połowie zakrywa jej twarz, ale dekolt wzorzystej sukienki odsłania drobne ramiona, kruche jak złote jesienne liście w krajach, gdzie bywa jesień. Noa dzieli się ze mną obserwacjami na temat

znajomych, którzy właśnie wyszli, a we mnie w takich chwilach znów budzi się chęć okrycia szalem jej ramion i brązowego znamienia przy delikatnym karku. Zaczynam ją uwodzić po swojemu, lubię czekać. Wabi mnie zapach kapryfolium. Czasem do wpół do trzeciej rozmawiamy przy stole kuchennym o tym, jakie cudowne widoki jeździliśmy oglądać w weekendy w paśmie Kordyliery Nadbrzeżnej, aż Noa przerywa mi zdanie i mówi: Dosyć gadania, kochajmy się, i podchodzi, rozpięta mi pasek, rozbiera nas oboje, wtula mi głowę w ramię i unosi moje palce do warg. W naszym życiu panuje spokój i równowaga. W salonie jest biały dywan i jasne fotele. Między nimi czarna metalowa lampa stojąca.

W kącie zielenią się kwiatki. W nocy ona jest u siebie, ja u siebie, bo okazało się, że śpimy w różnych porach.

W pogodne sobotnie ranki budzę ją czasem o wpół do siódmej, ubieramy się i pijemy kawę, wkładamy adidas i idziemy zobaczyć, co słychać na pustyni, schodzimy jedną wadi i po godzinie, dwóch wracamy inną. Po powrocie wyjadamy coś na stojąco z lodówki, kładziemy się i śpimy dalej do popołudnia, kiedy to ona zwykle zasiada przy stole w kuchni, zamknięta w sobie, pochylona, skupiona, przygotowując się do lekcji lub poprawiając prace uczniów, a ja ze swojego kąta patrzę, jak czerwone pióro drży między jej przedwcześnie postarzałymi palcami, niejako zdradzającymi dziewczęce ciało. Kiedyś zrobię jej niespodziankę i kupię biureczko, które stanie w rogu u niej w pokoju. Na razie to odkładam, żeby móc patrzeć na nią, jak siedzi przy stole kuchennym. Wreszcie kończy poprawianie zeszytów, a ja przygotowuję lekki posiłek i włączam telewizor, siedzimy i oglądamy jeden z francuskich filmów nadawanych w soboty. Po zakończeniu szabatu idziemy czasem na kawę albo do kina Paris. Spacerujemy z pół godziny po placu, wdychając wieczorny powiew. Wracamy do domu i siedząc przy stole w kuchni, słuchamy spokojnej muzyki. A następnego dnia zaczyna się kolejny nowy tydzień. I tak już siedem lat wystrzegamy się owej pary wędrownych aktorów, powtarzających, jak zakłęci, swoje odwieczne przedstawienie: matnia, cierpienie, zguba. Aż tu zginął jej dziwny uczeń, chyba to był wypadek, odurzył się narkotykami, może zresztą popełnił samobójstwo, nie wiadomo, a ona zamiast poprzestać na opracowaniu zeszytu pamiątkowego, podjęła się pomóc w stworzeniu ośrodka odwykowego jego imienia. Ojciec chłopaka obiecał wkład pieniężny i z niejasnych dla mnie powodów wybrał akurat ją do powołania czegoś w rodzaju komitetu społecznego. Co Noa może wiedzieć o komitetach i sprawach społecznych? Czeka ją przecież zawód i upokorzenia, których bym jej chciał oszczędzić, ale nie mam pojęcia jak. Początkowo próbowałem ją delikatnie ostrzec, ale wzbudziłem tylko gniew i sarkazm, jakich się po niej nie spodziewałem. Potem usiłowałem ją wspomóc kilkoma prostymi radami, lecz natrafiłem na ja-dowitą niechęć. W roztargnieniu zgodziła się tylko pożyczyć ode mnie pieniądze, nie upatrując w tym fackie jarzma ani zasadzki.

Żeby jej pomóc, muszę odstąpić od wszelkich prób pomagania. Muszę się skurczyć w sobie, jakbym chciał stłumić ból przez regulację oddechu, co przyjdzie mi bez trudu. To dziwne przedsięwzięcie jest dla niej coraz ważniejsze. Niczym żrenica oka, jak mawia Szlomo Benizri.

Jakby znalazła kochanka.

A ja? Który za nią poszedłem na koniec świata, bo tylko jej pragnąłem? Zamiast spokoju pustyni doświadczam teraz przecucia, że nadciąga niebezpieczeństwo. Nie wiem, jak je zażegnać, ponieważ nie mam pojęcia, skąd nadejdzie. Kiedyś, dawno temu, chciano ze mnie zrobić dowódcę kompanii inżynierskiej i żeby tego uniknąć, zgłosiłem się na ochotnika do małego oddziału zwiadowczego, gdzie służyłem przez sześć miesięcy. Tłukliśmy się dwoma dżipami po pustyni i górach Ramon. Nie było tam jeszcze szosy, nie wytyczono nawet dróg gruntowych. Widywaliśmy czasem z daleka na którymś z pasm górskich sylwetkę hieny w świetle księżyca albo stadko zastygłych w bezruchu kozic o pierwszym brzasku. Najczęściej całe dni przesypialiśmy w rozpadlinach skalnych, a wieczorem lub nocą ruszaliśmy w pościg albo urządzaliśmy zasadzki na karawany przemytników przemierzających Negew w drodze z Synaju do Jordanii. Było to w roku pięćdziesiątym pierwszym, a może w pięćdziesiątym drugim. Był z nami beduiński tropiciel, zgorzkniały i małomówny. Młodość miał już za sobą, chodził w porwanym mundurze brytyjskiej straży granicznej i umiał odczytać ślady nawet na skalnym podłożu. Obwąchiwał wyschnięte na słońcu łajno osłów albo wielbłądów i był w stanie określić po zapachu, kto i kiedy tędy przejeżdżał, czy wiozł ciężki ładunek, a nawet do jakiego plemienia należał. Na podstawie zaschniętego łajna umiał stwierdzić, co i gdzie jadły zwierzęta, i w ten sposób ustalał, skąd przyszli ich właściciele, dokąd się mogli kierować i czy byli przemytnikami. Był niski i wychudzony, a opalenizna na jego pobrużdżonej twa-

rzy miała odcień nie tyle brązowy, co grafitowy, jak popiół z wygasłego ogniska nomadów. Podobno w zemście plemiennej zamordowano mu żonę i córeczkę. Podobno kochał się beznadziejnie w jakiejś kalekiej dziewczynie z Aszkelonu. Nawet w noc, gdy chmury zakrywały gwiazdy i szczyty gór, potrafił schylić się i podnieść z ziemi zardzewiałą łuskę naboju, zniszczoną sprzączkę, suchą skórkę od chleba, szerniałe resztki stężałego kału ludzkiego czy ogryzioną i porzuconą w jednej z rozpadlin kość, po czym rozszyfrowywał je opuszkami palców. Nigdy nie powierzaliśmy mu broni, może dlatego, że zawsze czuwał, gdy inni spali. Kiedy wszyscy byliśmy na nogach i z dreszczykiem emocji zajeżdżaliśmy dżipy w pościgach, hałasowaliśmy wśród ścian wadi, ściągaliśmy na siebie burzę przeciągłych grzmotów i głuchych ech, odbijających wśród skał przeszywające serie z karabinu maszynowego, właśnie wtedy zwykle się wyłączał i drzemał na siedząco z półprzymkniętymi oczami na brudnej podłodze w tyle dżipa, wcisnąwszy lisi podbródek między kolana, i czekał, aż powróci cisza i świat okryje zasłona szarego pyłu. Gdy zapadała cisza, budził się bez najmniejszego szmeru i boso, ze zgiętym karkiem, nachylony tak nisko, jakby chciał zlizać kurz z ziemi, wymykał się i oddalał od nas, żeby samotnie obwąchać wylot jaskini albo dół, których my nigdy byśmy nie zauważyli, choćbyśmy przeszli tuż obok. Na imię miał Aatef, ale za plecami nazywaliśmy go Noc, bo w nocy widział tak jasno, jakby był dzieckiem ciemności. Uważaliśmy jednak, żeby przy nim nie wymawiać nigdy tego przydomka, bo pamiętaliśmy, że po arabsku jest to imię kobiece.

Wyciągnęłam Mukiego Pelega z hałaśliwej kompanii kierowców zebranych w Californii przy stoliku, który nazywają Radą Uczonych w Piśmie: zapomniał, że dziś wieczorem ma się odbyć u Lindy zebranie komitetu. Patrzcie, przetrzyjcie oczy, raczcie zakonotować, kto po mnie przyszedł, zwrócił się do swoich kumpli z szerokim uśmiechem, jakby pozował do zdjęcia z prezydentem.

Szliśmy w stronę zachodzącego słońca, po drodze przecięliśmy plac koło świateł. W kinie Paris grali film sensacyjny: a więc angielska komedia długo nie zagrzała tu miejsca. Komedia lewicująca, powiedział Muki, Linda mnie na to zaciągnęła, ale w przerwie namówiłem ją do wyjścia. Poszliśmy do mnie posłuchać rasowej muzyki na rozgrzewkę, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Powiedziałam, że wiem.

Potem mi opowiedział, że dał trzydzieści trzy tysiące dolarów za jedną trzecią udziałów biura turystycznego Plecak Tour. Wysyłają odleciałą młodzież do Ameryki Łacińskiej, może Teo zechce się w to włączyć, zna się przecież trochę na sombrerach, dopadłem ich bez gaci dosłownie na parę sekund przed wkroczeniem syndyka, mój udział jest realnie wart co najmniej czterdzieści, pięćdziesiąt, jeśli Teo dołoży trzydzieści, w ciągu roku z łatwością wyciągniemy setkę.

Wieczorem plac tchnął spokojem. Zachodni wiatr jakby chciał przywiał morze. Wzdłuż rzędu zaparkowanych aut z rzadka przejeżdżał samochód. Stadko jaskółek fruwało tam i z powrotem wśród słupów elektrycznych, skręciło gwałtownie na wschód i zaraz się rozmyśliło, i znów gęsto obsiadło druty. Podoba mi się ten plac, bo nie usiłuje być czymś, czym nigdy nie będzie: sklepy, biura, restauracje, skromne wystawy, wszystko to zbudowano w pokorze. Pomnik poległych i zbiornik wody przed nim pasują do siebie wzajemnie i pasują do centrum miasteczka. Plac też jest tu na miejscu, jak strój roboczy w roboczy dzień. Pomysł Teo sprzed siedmiu lat, żeby stanęła tu fontanna z czarnego bazaltu w otoczeniu palm daktylowych i w kręgu czarnych skał, wydawał mi się zimny. Zresztą mówienie mu tego nie miało sensu, i tak nie było szans, żeby ten projekt przeszedł. Polotu mu nie brakuje, mówiono w Tel Kedar, ale buja w obłokach, ten Sombrero jest za duży dla naszego miasteczka o dwa numery. Już od dłuższego czasu nie mówi się nawet tego, bo Teo dawno przestał wychodzić z jakimikolwiek propozycjami.

Muki Peleg powiedział: Ależ ten wieczór jest piękny. I ty też.

Powiedziałam: Dziękuję. Odleciałą młodzież. Podoba mi się to wyrażenie. A co do słuchania u ciebie rasowej muzyki i tak dalej, postaraj się nie skrzywdzić Lindy. Żadna z niej bohaterka.

Tylko miłość, wykrzyknął Muki i złożył dłoń na piersi w geście skrzywdzonej niewinności, dostaje ode mnie miłość i tylko miłość. Mam nadwyżki, w dużych ilościach, jeśli będziesz przypadkiem w potrzebie — wiesz, dokąd masz się udać. Ty też u mnie odleczisz.

Większość sklepów jest już zamknięta. W witrynach włączono oszczędnościowe oświetlenie. Ci, którym się nie spieszy: pary, rodzice z dziećmi, matki z wózkami i czterech zagotowanych w puystynnym słońcu turystów w strojach sportowych, przechadzają się tam i z powrotem po placu. Śliczna Limor Gilboa kroczy w czerwonych spodniach i w butach na obcasie między dwoma wiel-

bicielami. Obaj mówią do niej jednocześnie. Młoda para: Ohad i Anat, do niedawna uczennica mojej klasy, poszeptuje przed sklepem z butami. Pini Bozo powiesił na wystawie zdjęcie żony z małym synkiem w czarnej ramce ozdobionej koralem. Siedemnastoletni żołnierz w porywie nieśczęśliwej miłości zastrzelił z karabinu ich i wszystkich, którzy byli w sklepie, zabarykadował się za regałami z butami i groził, że się zabije. Policyjny strzelec zakradł się naprzeciwko do wypożyczalni wideo i stamtąd trafił chłopca dokładnie między oczy, w sam środek czoła.

Kilku starców obsiadło ławeczki przy klombie petunii i rozmawiało cicho. Dostrzegłam wśród nich ślepego Lupo. W Bułgarii był podobno wysoko postawionym oficerem tajnej policji, a tu obsługuje nocą centralę telefoniczną. Lupo siedział na brzegu ławki w otoczeniu stadka gołębi, bez obaw sfruwających mu na kolana i ramiona, dziobiących ziarna sorga z wyciągniętej dłoni. Wilczur drzemał u jego stóp, obojętny na gołębią chmarę. Niewidomy trącił nogą psa i pospiesznie przeprosił. Tymczasem na skrzyżowaniu co minutę zmienia się światło, chociaż nie czeka żaden samochód. Przed witryną butiku Ekstaza, gdzie sprzedają bieliznę damską, stoi z rozdziawionymi ustami młody oficer z Etiopii w berecie Brygady Giwati.

Kiedy przeszliśmy na drugą stronę alei Ben Guriona, zapalono latarnie. Nie były jeszcze potrzebne, bo ściemniało się bardzo powoli. Pół nieba rozświetlały czerwone refleksy, załamujące się w pierzastych chmurach. Pod zwyczajnymi odgłosami wieczoru — głosem kobiety wzywającej dziecko, żeby w tej chwili szło do domu, tęskną muzyką z Palermo, trzeszczeniem blaszanych szyldów, poruszanych zachodnim wiatrem — była rozległa i głęboka cisza. W miejscu, gdzie główna aleja przystaje przed szarym bezkresem, parkują dwa spychacze. Jeden z nich jest ogromny. Stróż zapalił koło nich kopcący stosik chrustu. I on, i jego trzy psy leżą bez ruchu w kurzu i patrzą w ogień. Zastygły w locie kruk odznacza się czarną plamą w ognistym puchu zmierzchu. I jeszcze jeden kruk. Jeszcze dwa.

Ledwie dwadzieścia lat temu ciągnął się tu nagi płaskowyż, otoczony szarymi wzgórzami. Przeciwna go jedna jedyna niewyraźna droga gruntowa, prowadząca do tajnych urzędów w dolinie za stromym szczytem. Dziś jest dziewięć tysięcy mieszkańców i zarys płaskiego, nie do końca oczywistego nawet dla samego siebie miasteczka, które zaczyna powoli oplatać równinę: wszystkie piętnaście ulic, wzajemnie równoległych i prostopadłych, prowadzi na pustynię. W pięciu symetrycznych dzielnicach żyją ludzie przybyli z trzydziestu różnych krajów, chodzą do pracy, do kawiarni, oszczędzają, przewijają dzieci, wymieniają termy słoneczne i zasłony, zabudowują wnęki balkonowe. Jakby tu byli od zawsze. Jest przychodnia i biblioteka, hotel, kilka zakładów, a teraz, od dwóch tygodni, także kwartet muzyczny z Kijowa. Cud, mówił Awraham Orvieto, kiedy przyjechał tutaj pierwszy raz po tragedii, czasem, przez krótką chwilę, można w tym dostrzec cud, mały cud. I dodawał: Immanuel kochał Tel Ke-dar. To było jego miejsce.

Mieszkańcy ciężarówkami przywieźli z daleka ziemię do ogródków i nakryli nią jak opatrunkiem pyliste krzemienne podłoże, ale z otwartych przestrzeni nieustannie wciska się kurz, próbując ponownie zająć swoje pierwotne miejsce. Jednak ozdobne rabatki się nie poddają. W kilku miejscach wierzchołki drzew zdołały już przerosnąć dachy. Gnieźdzą się w nich jaskółki. Trafiły tu z oddali. O siódmej, gdy dzień odchodzi, a niebo wciąż jeszcze płonie, ulica Prezydenta Szazara wydaje mi się zaciszna, swojska, wręcz przytulna.

Na grządki sączy się woda ze zraszaczy, uruchamianych jednocześnie przez słaby impuls z komputera systemu nawadniania. Słońce zaszło, na skwerze miejskim kręcą się polewaczki, a front Domu Założycieli oświetla reflektor ukryty w krzewach hibiskusa. Na jednym z balkonów spostrzegliśmy tekturową tabliczkę z odręcznym napisem: „Do sprzedania albo wynajęcia”. Muki powiedział: Nowi pośrednicy, ci bracia Bargelo-ni, niedorozwoje, cud, że „do sprzedania” nie napisali przez „z”. Powiedziałam, że nawet nieźle mi się mieszka w miasteczku, które powstało dwadzieścia pięć lat po moim przyjeździe na świat, w młodym mieście można obserwować, jak zawiązuje się życie. Muki powiedział ze śmiechem: Pała z rachunków, Noa, skąd te dwadzieścia pięć lat, z wyglądu masz przecież najwyżej trzydzieści trzy i pół, ani dnia więcej, a stajesz się coraz młodsza, i jak tak dalej pójdzie, niedługo będziesz znów miała dziesięć lat. Co, znowu się czerwienisz? Czy mi się zdaje? Po chwili dotarło do niego, co powiedziałam, i dodał innym tonem: Słuchaj, któregoś dnia zabiorę się do roboty i tymi jedenastoma palcami zmajstruję jakiś patent, zastąpię albo zasłonię termy słoneczne i te zsrane anteny. Żeby wreszcie tu było ładnie.

Powiedziałam: Cyprysy podrosną i będziemy mieć piękną sylwetkę miasta na tle gór i skał.

Muki powiedział: A potem zbudują tu Notre--Dame i wieżę Eiffla, zrobią nam pośrodku rzekę z

łodziami i rybakami, załatwię ci to pod klucz pod warunkiem, że kiedy już będzie rzeka, dasz mi buzi na moście w nocy.

Ledwie się powstrzymałam, żeby nie pocałować z miejsca, na ulicy Prezydenta Szazara, tego portarganego, narwanego, pełnego zahamowań dzieciaka, ale w końcu powiedziałam tylko: Już jest prawie pięknie. To znaczy, jeżeli się pamięta, kiedy i od czego zaczynaliśmy. Na początku był obóz wojskowy na pustkowiu. Piach i marzenia, gdzie ja to mogłam słyszeć?

Niełatwo było zacząć, ale teraz już nie można przestać, jak rzekł huzar cesarzowej, zapytany, czemu tak schudł. Przepraszam. Wybacz. Nie złość się. Tak mi się wyrwało.

A jaką to na przykład rasową muzykę puszcza Lindzie, kiedy w połowie filmu wychodzą i idą do niego?

Coś dla duszy. Taniec z szablami. Bolero. Ma mnóstwo kaset, które podostawał w prezencie od różnych dziewczyn. Jeśli do niego zajrzę, coś sobie wybiorę, a on mi zrobi taki koktajl, że padnę, jak na filmach. Przedwczoraj Linda zawlokła go na koncert do doktora Dresdnera, ten kwartet z Rosji grał u niego w domu coś smutnego, a potem puścili płytę, jeszcze bardziej załamującą, pieśni o śmierci dzieci. To był na pewno Mahler, powiedziałam, Kindertotenlieder. Na dźwięk, a nawet na samą myśl o jednej z tych pieśni, Kiedy twoja mateczka, dreszcz mnie przechodzi. Muki powiedział, słuchaj, nie mam do tego głowy, Mahler, Niemcy, filozofowanie, ale fakt, że mało się nie popłakałem przy tej muzyce o umarłych dzieciach. To ci się wdziera do środka nie przez uszy, a przez całą skórę. Nawet przez włosy. Jeśli na świecie jest coś strasznego, gorzej, coś potwornego, to śmierć dzieci. Jestem przeciwko śmierci dzieci. Tylko dlatego jestem w komitecie. A co myślałaś. Dlatego idę teraz na zebranie.

Linda podała kawę w ozdobnych greckich filiżankach. Menażeria z cienkiego szkła zajmowała u niej trzy półki. Były tam kruche tygrysy i przezroczyste żyrafy, lśniące błękitne słonie i delikatne lwy, chwytające i odbijające ogniki z lamp nakrytych grzybkowatymi kloszami, małe, oświetlone akwarium z samotną złotą rybką i zbiór miniaturowych naczynek, także z przezrzystego szkła, w którym uwieźły na zawsze drobne bąbelki powietrza, wyglądające jak łzy. Mąż, agent ubezpieczeniowy, odszedł od niej cztery lata temu, bo się zakochał w jej siostrze. Linda od lat pracuje na pół etatu w tutejszej fabryce pralek, jest sekretarką. Akompaniuje na pianinie podczas prób miejscowego chóru. Jeździ na wszystkie wycieczki, jakie organizuje Rada Robotnicza, działa w Komitecie Absorbencji Imigracji, kole rękodziela i sztuki, zespole promocji galerii, grupie wsparcia przy klubie dla osób starszych. Jest astmatyczną, nieśmiałą kobietą koło czterdziestki, ma staromodny, upięty w koronę warkocz, szemrzący głos i chude, kanciaste ciało podlotka. Na naszych zebraniach podaje napoje i orzeszki, po czym zwija się cicho w rogu kanapy, skulona, jakby głowa stale ciążyła jej ku kolanom.

Na wstępie poprosiliśmy Ludmira, żeby protokołował. Ten wysoki siedemdziesięciolatek, ogorzały, szczupły i długi, trochę koślawy, sylwetką przypomina wielbłąda, złożonego w mylnych porcjach z prętów żelaznych i rafii. Jego żyłaste, długie i opalone nogi w wytartych szortach khaki i kłapkach ze startymi podeszwami zdają się sięgać aż do piersi. Na czoło spływa mu siwa grzywa proroka w stylu poety Szlonskiego. Od lat w pełnym goryczy i gniewu uniesieniu walczy gołymi rękami z takim czy innym smokiem: jest jednoosobowym frontem na rzecz zamknięcia kamieniołomów i ligą zapobiegania krzywdzie, jest kijem wznoszącym się wściekle co tydzień z lokalnej gazety, gdzie ma swoją stałą rubrykę „Głos wołający na puszczy”, na wyzysk Beduinów i plagę dykotek, nowy parking, Radę Robotniczą, na religię i państwo, prawicę i lewicę. Ilekroć się widzimy, rzuca swój stały żart, swoje hasło „Cicha Noa brzegi rwie”. Odkąd za czasów pionierskiego obozu przyjechał do Tel Kedar, mieszka z Gustą, swoją żoną, w małym, zadbanym baraczkach za Domem Założycieli, obrośniętym gęsto passiflorą. Gusta Ludmir, wysoka, surowa pani w okularach, udziela korepetycji z matematyki. Ciasno splata siwe włosy i upina je na głowie jak linę. W swoich niemodnych, ciemnych sukniach, spiętych pod szyją smutną, srebrną biedronką, czasem mi przypomina owdowiałą angielską lady z poprzedniej epoki. Kiedyś, cztery czy pięć lat temu, wkrótce po rezygnacji z pracy w zakładzie energetycznym i przejściu na emeryturę, Ludmir poskarżył mi się, że jego jedyna, szesnastoletnia wnuczka, którą wychowują wraz z żoną, nagle koniecznie chce wyprowadzić się z domu i wynająć sobie pokój w Tel Awiwie, żeby się uczyć tańca w specjalnej szkole. Zobowiązał mnie, żebym z nią pogadała i spróbowała przemówić jej do rozumu, „żeby nie ciskała młodego życia w wir wielkomiejski, gdzie na taką jak ona dziewczuszkę czyha tylko brud i zwyrodnienie pod maską błyskotliwej kariery”. Więc zaprosiłam Lilach Ludmir, nerwową, nieufną dziew-

czynę o oczach ściganej sarny i głowie wciśniętej w ramiona, jakby wtłoczono ją tam na zawsze ciężkim uderzeniem młota, na filiżankę czekolady w kawiarni California. Próbowалаm zrozumieć jej marzenia. Ale kiedy na moment położyłam rękę na jej ściągniętych ramionach, zbladła, wstrząsnęła się cała, wstała i uciekła przede mną. Od tej pory uważam i nie dotykam dzieciaków. Ludmir przestał się do mnie odzywać, bo uznał, że wszystko zepsułam i że wyłącznie przeze mnie umrze samotnie. Po dwóch latach mi wybaczył, bo zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że i tak w ostatecznym rozrachunku wszystkim nam jest pisana samotność. Cicha Noa brzegi rwie, tymi słowami odwołał klątwę. Ale od czasu do czasu niebieskie, dziecinne oczy wypełniają się nagle bólem i Ludmir śle w moim kierunku przeciągłe, zranione spojrzenie.

Linda wyszła do kuchni przygotować kolejne kawy i ułożyć w koszyczku owoce i kupne ciasteczka. Poprosiła, żebyśmy tymczasem zaczęli zebranie bez niej, drzwi są otwarte i w kuchni wszystko słychać. Poszłam z nią, żeby jej pomóc, i nim zdążyłyśmy wrócić, Ludmir wybuchnął i w zapamiętaniu siał gromy na Mukiego Pelega, jak śmieliśmy na własną rękę, bez zebrania komitetu, kupić tę zafajdaną ruinę, ten burdel, tę wylęgarnię zaćpanych oprychów, nie zadając sobie pytania o reperkusje społeczne: „nie czekam na wieść o zbawieniu, jeśli wyjść ma z ust trędowatych”, zacytował, zachrypliły z wściekłości, i uznał za stosowne przypisać ten wers Lei Goldberg. Kiedy zwróciłam uwagę, że to Rachel, potoki wrzącej lawy odwróciły się od Mukiego i skierowały na mnie, to samozadowolenie, uczona arogancja, co to jest, seminarium naukowe, czy też jesteśmy tu po to, żeby ratować młode życie? A może jesteśmy tylko statystami w komedii o znudzonej, prowincjonalnej paniusi, która rozciąga sieć, żeby złowić sobie nowego ojca w osobie podejrzanego handlarza bronią po to tylko, żeby dla własnej uciechy zrobić i z niego niemowlę?

Co powiedziawszy, cisnął na stół notatnik z protokołem i wyszedł, trzaskając drzwiami. Rezygnuje. Odchodzi zde gustowany. Pozostawia Sodomę i Gomorę własnemu losowi. Po dwóch minutach rozległ się dzwonek. Wrócił, milcząc ponuro wziął notatnik i przesiedział resztę wieczoru na krześle w kącie przy akwarium, zwrócony do nas plecami. Potem się okazało, że zapisał jednak wszystko dokładnie i tylko w kilku miejscach dodał w protokole łacińskie sic w nawiasie kwadratowym i z wykrzyknikiem.

Rozłożyłam przed sobą na stole wcześniej przygotowaną kartkę, włożyłam okulary i omawiałam kolejne punkty. Jest kilka sposobów na rozwianie obaw mieszkańców. Możemy zaproponować darmowy odwyk dla uzależnionych z naszych okolic. Możemy się umówić, że kuratorium oświaty, komitet rodzicielski i dyrekcja szkoły będą mieć stałych przedstawicieli w radzie powierniczej ośrodka. A raczej nie tyle ośrodka, co środowiska terapeutycznego. Warto podkreślić, że zamierzamy sprowadzić tu na staż paru wybitnych specjalistów od spraw młodzieży i narkomanii i z wolna przekształcić Tel Kedar w znany ośrodek badawczy, ściągający dobrze się zapowiadających pracowników z całego Izraela. Warto zagrać na strunie pionierskiej i uwypuklić pomysł włączenia w to społeczności lokalnej. Spróbujmy też podkreślić, że damy zatrudnienie zespołom wychowawców, pracowników socjalnych, psychologów, a więc ludzi mogących korzystnie wpłynąć na życie miasta. Istnieją dwa sprzeczne podejścia do kwestii odwyku: biologiczne i psychologiczne. U nas można będzie spróbować je połączyć. A może się postaramy włączyć w to komendanta policji, niech wystąpi publicznie i zaleci, żeby otwarcie stawić czoło problemowi uzależnionej młodzieży zamiast udawać, że nas on nie dotyczy? Jeśli oficer policji powie, że dzięki stworzeniu zamkniętego ośrodka liczba przestępstw w miasteczku nie wzrośnie, tylko raczej ulegnie ograniczeniu, może nam to bardzo pomóc. Musimy przede wszystkim uwypuklić takie motywy, jak zadanie dla społeczności, powód do dumy, inicjatywa, która sprawi, że Tel Kedar stanie się wzorem dla innych miast.

Ludmir przerwał na chwilę wrogie milczenie: Uwypuklić motywy, wycedził, słyszeliście to.

A kiedy na mnie spojrzał, znów miał w oczach tłumiony ból.

Tymczasem Muki Peleg zdrzemnął się na kanapie, złożony artystyczny nieład kędzierzawej głowy na szczyptych kolanach Lindy, która z powodu tej pozy poczerwieniała. Zrzucił buty, a nogi położył na moich kolanach, jakby przerzucał pomost pomiędzy nią a mną, i mamrotał przez sen coś o potrzebie osobistego kontaktu. Ludmir wybuchnął ponownie, a jego chrapliwy głos wprawił w drżenie delikatne zwierzątka i zbiór wazoników podobnych do kropli rosy: Krętaćstwo nie przejdzie!

Zrozumiałam więc, że lepiej kończyć zebranie. Zaproponowałam kolejne spotkanie za tydzień, po mojej rozmowie z komendantem policji. Zbieraliśmy się do wyjścia, kiedy Linda poprosiła nie-

śmiało, żebyśmy chwilę zostali, chce nam zagrać na pianinie krótki fragment, nic nadzwyczajnego, nie oczekujcie zbyt wiele, naprawdę coś króciutkiego. Zasiadła do pianina i pochyliła głowę, jakby chciała dotknąć czołem klawiszy. W trakcie grania dostała nagle lekkiego ataku astmy i zanosila się kaszlem tak, że musiała przerwać. Muki Peleg przyniósł jej z sypialni mały inhalator z Yentolinem, po czym na naszych oczach schował do kieszeni swojej różowej koszuli małą łyżeczkę i wyjął ją, rechocząc, z czupryny Ludmira. Tylko on się roześmiał, więc przeprosił i jedną ręką pogłaskał ciężko oddychającą Linde, a drugą mnie.

Linda powiedziała niemal szeptem: Dziś nie zrobiliśmy wielkiego kroku naprzód.

A Ludmir: Zrobiliśmy krok z deszczu pod rynnę.

Jutro wieczorem odwiedzę komendanta w jego domu. Jeśli uda mi się go przeciągnąć na naszą stronę, spróbuję go sprowadzić na spotkanie z komitetem rodzicielskim i z przedstawicielami kuratorium. Zaproszę też Bat Szewę. A w jedną z najbliższych sobót zrobimy dzień otwarty z udziałem profesorów, osób publicznych, artystów i zaprosimy do dyskusji osobistości z Jerozolimy i z Tel Awiwu. Skusi ich obietnica weekendu w hotelu Kedar, a perspektywa przyjazdu znanych osób sprawi, że hotel pobierze od nas tylko symboliczną opłatę za ich pobyt. Przed dniem otwartym napiszę i powieję zwięzłą informację. Jeśli zmieni się klimat społeczny, może można będzie przynajmniej... Można będzie przynajmniej co? Co cię ugryzło, Noa?

Czy mam poprosić Teo, żeby pomówił na osobności z Bat Szewą?

Właściwie w Tel Kedar nikt lepiej od niego nie nadaje się do podjęcia tej inicjatywy, do rozproszenia obaw, wywarcia wpływu. Swego czasu w Ameryce Łacińskiej planował przecież i budował ogromne siedliska ludzkie, obszary przemysłowe, nowe dzielnice, osiedla wielokrotnie większe niż Tel Kedar. Dwa i pół roku temu odmówił grzecznie delegacji złożonej z nauczycieli, lekarzy i inżynierów, gdy pewnej zimowej soboty przyszedli uprosić go, żeby wystartował w wyborach na czele listy niezależnej: jego umiejętności, przeszłość, budząca zaufanie osoba, autorytet zawodowy, wizerunek, ale Teo osadził ich słowami: Ja na to nie pójdę. I zmrużył jeszcze bardziej lewą powiekę, jakby puszczał do mnie oczko ponad głowami członków delegacji. Dziękuję, powiedział wstając, to miłe z waszej strony.

Jest zgorzkniały i trudny. Ślepa żrenica oka. A może tylko przykuty do niewidzialnego wózka. A ja? Znużona nauczycielka zaczyna nową kartę? Staje do egzaminu? Czy tylko drażnię się z nim, robię szum, żeby go zmusić do przebudzenia, jeśli można się tak wyrazić o kimś, kto stale cierpi na bezsenność.

Kiedy wyszliśmy, Muki koniecznie starał się zwrócić moją uwagę na to, że Linda najwyraźniej życzyła sobie, żeby został na noc. Miał nadzieję, że będę zazdrosna. Odprowadziłam Ludmira za Dom Założycieli, do zadbanego baraczku obrośniętego gęsto passiflorą. Po drodze starszy pan powiedział: Ten Muki to w sumie błazen i prostak, a jego Linda to uczuciowa gęś. U podnóża Karpat była kiedyś zapomniana przez Boga wieś, stało w niej ze trzydzieści chałup. Były tam tylko dwa zegary, jeden w domu starosty, czyli starszego wsi, a drugi u diakona, inaczej mówiąc księdza. Pewnego dnia jeden zegar stanął, a drugi zginął. Albo odwrotnie. Cała wieś została bez czasu, więc posłali pewnego chłopaka, zwawego, umiającego czytać, za góry, do miasta Nadworna, żeby 'przyniósł z powrotem czas i nastawił zegar, który stanął. Chłopak wziął konia i jechał pół dnia, albo i dłużej, przyjechał do Nadwornej, odnalazł zegar na stacji kolejowej, zapisał starannie na kartce dokładny czas, złożył ją, wsunął swój skarb za pas i ruszył z powrotem do swojej wsi. Wybacz, jeśli cię uraziłem, Noa. Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać, byłem wściekły na tę naszą bezpłodną gadaninę.

I zaraz, wystraszony, zagmatwał się w usprawiedliwieniach za to, że użył przed chwilą słowa „bezpłodna”; chcąc naprawić swój błąd, tylko pogorszył sprawę; chcąc załagodzić, posypał ranę solą. Noa, siarka piekielna sływa na nas nieustannie, bo nawet litość jest skażona pychą. Wybacz mi, jeśli możesz. Ja sobie nie wybaczam, ale ty jesteś jeszcze młoda, cicha Noa brzegi rwie. Spokojnej nocy. Żal mi nas wszystkich.

Wróciłam o dziesiątej. Zostałam Teo w salonie, leżał na białym dywanie jak zwykle w podkoszulku, spodniach od dresu i boso. Nie czytał ani nie włączył telewizji, może faktycznie drzemał tak z otwartymi oczami. Pocałował mnie w policzek i spytał, jak było, ja też go pocałowałam w siwe, wystrzyżone po wojskowemu na jeża włosy i powiedziałam: Strasznie. Ludmir to wariat, Muki — dzieciak, ta Linda jest żalosna, a ja sama pewnie też. Nie ma tam z kim pracować. Jedno nic. Nic z tego nie wyjdzie.

Zanim weszłam pod prysznic i polałam się zimną wodą, zdążył przygotować kolację, geometryczną sałatkę z rzodkiewkami jak pączki róż, sery i pokrojony, pełnoziarnisty chleb na drewnianej tacy. Na gazie już czekała patelnia z kawałkiem masła, a na blacie w pełnej gotowości nóż i dwa jajka na jajecznicę. To stały, niezmienny rytuał. Nalałam sobie i jemu wody sodowej. Zasiadliśmy do jedzenia naprzeciw siebie. On w podkoszulku, wsparty o bok lodówki szerokim grzbietem. Ja twarzą do niego i do okna, które za jego plecami pełne jest pustynnych gwiazd. Teo odezwał się pierwszy i powiedział, że też wyszedł na trochę wieczorem, poszedł pomówić z Bat Szewą, miał po prostu wrażenie, że chciałam go poprosić, żeby z nią porozmawiał.

Jak dotąd, o nic cię nie prosiłam. A już najmniej o to, żebyś mi torował drogę.

To prawda, ale posłuchaj, bo warto: odniosłem wrażenie, że przy spełnieniu pewnych warunków mamy szansę to przeforsować.

Mamy?

Dobrze. Macie. Przepraszam. Może jednak posłuchasz.

Wstałam w połowie jedzenia i zamknęłam się w swoim pokoju. Po chwili zapukał do drzwi, Noa, przepraszam, myślałem...

Wybaczyłam. Wróciłam do stołu. Jajecznica wystygła, a Teo obwiązał biodra ścierką zamiast fartucha i zaczął mi smażyć nową. Poprosiłam, żeby dał spokój, nie trzeba, nie jestem głodna, wypijemy herbatę ziołową i zobaczymy, czy jest dziś coś ludzkiego w telewizji. Włączyliśmy i zaraz zgasiliśmy, bo właśnie dali wywiad z ministrem energetyki, który zdążył jeszcze powiedzieć „przecież to nie do pomyślenia”, zanim zamknęliśmy mu usta. Teo nastawił płytę i jakiś czas siedzieliśmy w fotelach w milczeniu. W tamtej chwili pewnie naprawdę byliśmy do siebie podobni jak inne bezdzietne pary po wielu wspólnych latach, tak jak powiedział Muki. Nagle wstałam i podeszłam do niego, zwinęłam mu się na kolanach, wtuliłam głowę w jego ramię i wyszeptałam: Nic nie mów. Przypomniałam sobie historię Riki z Beer Szewy, religijnej maszynistki, której nie widziałam na oczy, tej, co się kochała w koszykarzu i urodziła mu mongolskie dziecko, a on nie chciał go uznać. Dziecko żyje, myślałam, co z tego, że jest kalekie, żyje, i właśnie dlatego, że kalekie, potrzebuje i należy mu się znacznie więcej miłości. Co robił Immanuel sam w ciemnym gabinecie w tamten szary, zimowy ranek? Jak i dlaczego tam wszedł? Był chory? Czy też przeciwnie, zakradł się, żeby z szafki z lekami zabrać coś, bez czego już nie mógł się obyć? Wiedziała tak mało. Teraz też dalej nic nie wiem. Gdybym się nawet znalazła w odległości półtora metra od narkomana, po czym bym rozpoznała, czy jest odurzony, czy śpiący, czy może tylko ma grypę z wysoką temperaturą? Kiedy zagadnął mnie nagle, a jego nieśmiały głos pokonał dzielącą nas przepaść milczenia, ma pani może przypadkiem coś do pisania, czego naprawdę chciał? Co miał na myśli? Pisanie? Czy tylko, zagubiony, próbował nawiązać kontakt? A ja go odepchnęłam. Najeżyłam się. Nie dostrzegłam, że to było wołanie o pomoc.

Teo. Posłuchaj. Kuszner z introligatorni chce nam dać dwutygodniowego szczeniaka. Nie martw się. Już mu powiedziałam, że to nie dla ciebie. Zaczekaj. Nie odpowiadaj mi teraz. Powiem ci coś innego, posłuchaj, istna komedia, Linda się zakochała w Mukim Pelegu, on już chyba z nią sypia, ale jeszcze napala się na mnie, a ja jeszcze Kocham cię. A ty?

No cóż, ze mną, powiedział Teo, to jest tak, i zamiast mówić dalej, uniósł gwałtownie podkoszulek, zagarnął moją głowę do środka, przycisnął i zamknął mnie w grocie wełnistej ciemności piersi, jakby był ze mną w ciąży.

W czasie wiadomości o szóstej zrobiłem sałatkę owocową. Obwąchałem stojący w lodówce kartonik z mlekiem, nie dowierając ani mleku, ani własnemu powonieniu. Potem zacząłem porządkować szafki w kuchni, od prawej do lewej. Miałem nadzieję, że wróci wcześniej. Przed siódmą wyszedłem na balkon popatrzeć, jak gaśnie dzień. Przez podwórze przeszedł powoli dziwaczny szary pies, chwiały się jak ogluszony i zniknął za altaną z bugenwilli. Od pustyni dzieli podwórze ciemny kamienny mur. W murze odznacza się zarys dawnego wejścia, wypełnionego rzędami jaśniejszych kamieni. Za murem rosną dwa cyprysy, ciemniejące z nastaniem wieczoru. A dalej nagie wzgórza przechodzą w ciche tony. Właściwie te ciche tony to fujarka w sąsiednim mieszkaniu, ktoś wygrywa nie całą melodię, tylko proste i powtarzane bez wyczuwalnych zmian gamy. Winda sześć razy minęła nasze piętro bez zatrzymania. Przypomniałem sobie, że ma dziś zebranie u Lindy od Mukiego Pelega. Postanowiłem wyjść. Zobaczyć, co tam w wadi, a może przejść się na plac, do introligatorni Kusznera, rzucić mimo wszystko okiem na szczeniaka, którego chce nam dać w prezencie.

Koniec czerwca. Dni są bardzo długie. Noce suche i chłodne. Kilku chłopców siedzi na murku przed wejściem. Kiedy przechodzę obok, zaczynają szeptać między sobą, jakby było w tym coś śmiesznego. Jedyne w Tel Kedar radiowóz policyjny minął mnie i zwolnił, nie włączając koguta. Sierżant kiwnął mi ręką i uśmiechnął się: Dobry wieczór, Sombrero, w ogóle cię nie widuję. Nagle z końca ulicy poderwał się z cichym poświstem wiatr. Uruchomiłem chevroleta i zaraz ruszyłem tam, skąd dochodził świst. Na tej ulicy jest tylko dziewięć domów, tuż za ostatnim szosa przechodzi w wyboistą drogę gruntową, którą można, jeśli się zechce, pojechać dalej na południe, na południowy wschód, do wjazdu do kamieniołomów. Gdy wyjechałem na otwartą przestrzeń, okazało się, że wiatr jest znacznie silniejszy, niż się zdawało między domami: nie była to łagodna bryza, tylko ostry, porywisty wichur. Jego szum przebijał przez chrzęst opon na żwirze. Droga zaczęła się zacierać, snop światła wychwytywał kurz, który wirował wokół mnie. Jakbym prowadził w zamieci śnieżnej. Zbyt późno przypomniałem sobie, że trzeba zamknąć okna. Sunałem dalej po omacku, z prędkością bliską zera, usiłując w tumanach kurzu odgadnąć, gdzie jest zboczce Wzgórza Hieny, a gdzie, z mojej prawej strony, krawędź wadi. Całe pole widzenia wypełniały miliony ziaren piasku, aż zniknął mi z oczu nawet wyraźny wcześniej horyzont, granica między pustynią a niebem. Jakbym próbował w środku nocy przemierzyć dziewiczą puszcę. Sądziłem, że ciemna plama po mojej lewej stronie to dolne partie gór, i trzymając się ich, jechałem ostrożnie naprzód. Z prawej strony zachodni wiatr siekł w szyby piaskiem. Odbity przez kurz blask przednich świateł oślepiał jak podczas jazdy w gęstej mgle. Samochód trząsał i podskakiwał. Zrozumiałem, że zboczyłem z drogi prowadzącej do kamieniołomów i muszę przynajmniej utrzymać kierunek do niej równoległy na kamienistym pasie u podnóża stromych skał. Mrok zgęstniał. Próbowałem jechać na długich światłach, potem na krótkich i postojowych, ale łamały się w kurzu i wracały do mnie pokonane, tonące w odmętach piasków.

Uznałem, że lepiej stanąć. Zgasilem silnik, wysiadłem i zamierzałem poczekać, aż wzbity przez koła obłok opadnie, ale czas mijał, a wokół mnie wciąż stało zgęstniałe, lepkie powietrze. A więc zgubiłem drogę. Zdawało mi się, że z lewej strony rozpoznaję zatartą linię skał. Uruchomiłem samochód. Postanowiłem podjechać bliżej i jechać dalej wzdłuż skał, aż same mnie doprowadzą do ogrodzenia pod napięciem, postawionego przez wojsko przy wjeździe do zakazanej doliny. Po nim na pewno trafię do zakrętu przy kamieniołomach. Płynąca nisko chmura albo wysoki słup kurzu przesłonił niebo. Doznałem dziwnego uczucia, że nie poruszam się naprzód, tylko w górę i w dół, bujam się w szczelnej kabinie gdzieś w głębi oceanu. Było to tak przyjemne, że niemal zamknąłem oczy, a może zamknąłem naprawdę — i tak nic nie widziałem oprócz konwulsyjnie tańczącej ściany kurzu w przednich światłach. Przez moment zastanawiałem się, czy nie lepiej się tu zatrzymać, położyć na piasku, przeczekać. Potem doszedłem do wniosku, że nie wiem, na co mam czekać, co mogłoby się zmienić. Rozważyłem niebezpieczeństwo związane z dalszą jazdą: równinę tu i ówdzie przecinają koryta dosyć głębokich strumieni. Powiedziałem sobie: to nic, jadąc wolno i w równym tempie, zawsze przecież zdołam przejechać. Posuwałem się dalej, na pierwszym biegu, niecałe dziesięć kilometrów na godzinę. Drobniejsze i większe kamienie stękały zirytowane i burzyły się pod ciężarem kół. Czy to możliwe, że niepostrzeżenie minąłem zakręt przy kamieniołomach? Albo że przez pomyłkę zaniósł mnie do zakazanej doliny? Wciąż nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zawrócić. Tyle że wracać nie ma sensu i nie ma właściwie dokąd, bo ślady opon w jednej chwili zatarty się w tumanach unoszonego wiatrem piasku. Lepiej już jechać dalej na południe, o ile faktycznie jadę na południe, aż zmoczę koła w wodach oceanu albo aż uda mi się wreszcie zasnąć głęboko, zanurzyć się we śnie, który mnie odstał, ale nadal wzywa zwodniczo poprzez mgłę.

Potem za mroczną zasłoną dostrzegłem mleczny błysk, szlaban przy wjeździe do kamieniołomów. Zamrugalem światłami, żeby nie wystraszyć strażnika. Chwilę później dotarło do mnie,

że to nie brama kamieniołomów. Okazało się, że okrążyłem całe miasteczko od południa i wróciłem od strony zachodniej, od ulicy Ben Cwiego w dzielnicy willowej. I już pod oponami twarda nawierzchnia, rząd latarni, ściana kurzu się rozstała. Zobaczyłem czerwone dachówki i ciemniejsze w mroku wierzchołki drzew. Ustał też ów dziwny dźwięk, dźwięk stłumionego oboju. Zniknęły srebrne pola, pokryte płaszczem kurzu. Przez moment poczułem chęć, żeby zawrócić w mgłę, z której przybyłem. Tylko po co. Minąłem powoli cztery domki, podobne do siebie kropla w kroplę, wszystkie jakby żywcem wzięte z ilustracji w starej książce z bajkami: proste, kwadratowe chałupki z czerwonym dachem, kominem z czerwonej cegły i dwoma symetrycznymi oknami po obu stronach drzwi. Koło czwartego domu stało poobijane subaru Bat Szewy Dinur. Zaparkowałem za nim,

wysiadłem, nie zamykając drzwi, i nacisnąłem dzwonek. Dzwoniłem trzy razy, z przerwami, i nikt nie odpowiadał, mimo że w lewym oknie widać było przyjazne światelko i że, jak mi się zdawało, z głębi domu sączyła się cicha muzyka.

Zamiast dać za wygraną, obszedłem dom mroczną dróżką z kamiennych płyt, nad którą prawie całkiem zrosły się dzikie oleandry. I rzeczywiście, w końcu znalazłem Bat Szewę w ogrodzie. W wieczornej ciszy siedziała z matką w kręgu żółtawego światła żarówki zawieszanej w gałęziach figowca. Staruszka, wyprężona bez ruchu na krześle bez poręczy, trzymająca pomarszczone ręce sztywno na kolanach, w zielonej chustce na głowie, sprawiała wrażenie napiętej i umęczonej. Natomiast Bat Szewa grała właśnie na organkach. Był to ten sam tęskny motyw, który doleciał mnie, kiedy dzwoniłem do drzwi. Rozsiadła się szeroko w zabytkowym, rozłożystym fotelu w kolorze burgunda. Był on kiedyś z pewnością ozdobą salonu w stylu wschodnim. Teraz, kiedy się zużył i podarł w kilku miejscach, a spod obicia przebijała tapicerka, stanął w ogrodzie za domem jak wspaniała, luksusowy statek, który dawno osiadł na piasku. Głowy kobiet otaczał krąg Ignących do światła ciem i wiedziałem, że jeśli pobędę tu dłużej, na pewno nad moją głową też zbierze się rozedrgana aureola.

Bat Szewa Dinur, prezydent miasta, była moją równolatką, kobietą silną, o różowej skórze, krótko obciętych siwych włosach i zwalistej, nieproporcjonalnej sylwetce. Siedząc tak w głębokim fotelu, wyglądała jak rozgałęzione we wszystkich kierunkach pasmo górskie. Jakby miała więcej niż cztery kończyny. Duże okulary w rogowej oprawie ześlizgiwały jej się z nosa. Czerwonawe, mocne ramiona sprawiały wrażenie szorstkich jak grzbiety starych książek. Zawsze mi przypominała korpulentną holenderską babcię, albo może szynkarkę, dzierżącą silną ręką władzę nad otoczeniem. Kiedy mnie zobaczyła, przerwała grę. Posłała mi znad okularów bystre, badawcze spojrzenie, jakby wiedziała, co mnie sprowadza, nim się zdążyłem odezwać. Powiedziała: Patrzcie, kto przyszedł. Chodź, przynieś krzesło z werandy i postaw tutaj. Nie tutaj. Tu.

Przyniosłem sobie krzesło bez poręczy, takie samo jak to, na którym siedziała sztywno, jak skamieniała, staruszka matka. Przypomniałem sobie, że powinienem się przywitać.

Bat Szewa powiedziała: Bądź cicho, Teo. Daj mi skończyć.

I znów zagrała na organkach melodię, której wprowadzie nie rozpoznawałem, ale zdawała mi się dziwnie znajoma, wręcz wzruszająca.

Grała jakieś dziesięć minut, aż nagle jej się znudziło, przerwała grę i parsknęła jak zniecierpliwiona mulica. Wsunęła organki do dołka, utworzonego przez fałdy spódnicy między jej grubymi udami.

Nie wychodzi mi, powiedziała, ciągle próbuję to zagrać sucho jak w geometrii, wypreparować z uczucia, inaczej melodia lepi się jak powidła śliwkowe, których zresztą nie cierpię. Źle wyglądasz.

Przypatrywała mi się dłuższą chwilę dokładnie znad okularów, z ciekawością, bez cienia zmieszania. Twarda kobieta, jeszcze się nie narodził przeciwnik zdolny ją podejść. Przy tym wspaniała, zdecydowana, czasem w jej oczach błyska swawolna iskra, jakby ktoś właśnie szepnął jej do ucha soczystą sprośność, a ona obracała ją w ustach, nie spiesząc się z przełknięciem, celowo przedłużając czerpaną z niej przyjemność. Powiedziałem:

Słuchaj, Bat Szewa. Przepraszam, że cię nachodzę wieczorem. Chodzi o to, że mam pewien problem, o którym niezręcznie mi jest mówić w biurze.

Matka staruszka odezwała się: Biedny Sierioża. Zakochany. Szuka Aniuszki.

Bat Szewa powiedziała: Problem. Tak. Już słyszałam. Twoja żona. Ten jej ośrodek.

Przypomniałem, że Noa i ja nie jesteśmy małżeństwem.

Nie? A dlaczego nie? Pobierzcie się, Noa jest słodka, powiedziała i ubawiona puściła do mnie oczko, a jej szeroką twarz rozjaśniła domyślna życzliwość.

Daj mi dwie minuty, wyjaśnię ci.

Wiem. Wiem. Kupiliście tę ruinę Alhariziego i teraz utknęliście z nią. Przyszedłeś prosić, żebym ci poszła na rękę. Zapomnij.

Staruszka rzuciła smutno: Miłość. Nie jedzą. Nie piją. Fuu, rozum zgasł.

Bat Szewa powiedziała: Dobrze, że mi przypomniawsz. Zaraz nastawię czajnik i zrobię wszystkim herbatę.

I nie ruszyła się z fotela.

Powiedziałem: Nie trzeba. Nie wstawaj. Wpadłem tylko na parę minut.

Bat Szewa powiedziała: No dobrze. Proszę. Mów. Nie daję mu dojść do słowa, a mówię: mów,

mów. Proszę bardzo. Teraz możesz mówić.

Mąż Bat Szewy zginął w Jerozolimie podczas wojny sześciodniowej. Czterech synów wychowała sama, pracując jako inżynier elektryk, specjalista od przełączników. Przyjechała do Tel Kedar dziewięć lat temu, krótko przed nami, bo wygrała konkurs na dyrektora fabryki pralek. Dwa lata temu wybrano ją na prezydenta miasta i od tej pory rządzi silną ręką, walcząc niezmordowanie o to, żeby, jak sama mówi, zrobić koniec z bardakiem. Synowie dorośli, pożenili się. Wnuki się rozproszyły po całym kraju. Kiedy kończy się szabat, wychodzi z matką starszą posnuć się tam i z powrotem po placu koło świateł. Albo siedzą sobie z godzinę w kawiarni California, a petenci czekają w kolejce do ich stolika. Jest niespożyta, bezpośrednia, zawsze zbroi się w pancerz drwiącego pragmatyzmu. Wrogowie nienawidzą jej z całej duszy, a zwolennicy poszliby za nią w ogień. Stara, a nie do zdarcia, mówi się o niej w mieście.

Słuchaj. Myślę, że jeśli się uda urobić opinię społeczną, to w warunkach, które sama określisz, mały ośrodek medyczny, pionierski, eksperymentalny, z odpowiednim nadzorem, może być dobrodziejstwem dla Tel Kedar. Przyciągnie naukowców. Zaktywizuje mieszkańców. Zapewni przychylność prasy. Przecież to właśnie ten haczyk, którego od dawna szukasz, na który złowisz w przyszłości filię uniwersytetu. Może to wstąpić do szpitala. Przemyśl to.

Starszka dodała: Zimą termometr spada nawet do minus czterdziestu, auuu, wilk wyje przed chatą jak porzucone niemowlę.

Bat Szewa powiedziała: Daj spokój, Teo. Nic z tego nie będzie. Ale za to w lodówce jest mięta z lodem. Nalej sobie i nam. Szklanki są na suszarce.

Poczekaj, Bat Szewa. Spójrz na to tak: po stracie syna ojciec pojawia się u nas. Mówi, że chce przekazać siedemdziesiąt tysięcy dolarów, a później jest gotów dać więcej. Stwarza komitet. Ma prawo, chociaż to dziwny komitet. Kupują opuszczony dom, który stoi tu jak kość w gardle. Rejestrują stowarzyszenie. Są oddani i pełni zapału. Oczywiście, że ludzie w mieście mają swoje obawy. Częściowo uzasadnione, to fakt. Ale jeśli ty przejdiesz na naszą stronę, obawy znikną.

Na co to komu potrzebne, Teo. Na litość boską. Melina. A poza tym, przecież on jak dotąd nie zwrócił ci ani grosza. Zrób coś dla mnie, przenieś się z krzesłem na drugą stronę. Tak. Teraz cię widzę i lampa nie świeci mi w oczy. Naprawdę źle wyglądasz.

Starszka zabrała głos: Na piecu spoceni chłopcy i pchły, śpią w ubraniach, a wilk na dworze auuu. A gdzie zmiłowanie? Nie ma? Skończyło się?

Nie powiedziałem ośrodek dla narkomanów.

Aa. Coś innego? Jasne. Uczcie jego pamięć w formie, powiedzmy, warsztatów rzeźby pustynnej? Stawiam skały. Za darmo.

Powiedziałem: To musi mieć związek z problemami młodzieży. Chodzi o pamięć ucznia, który zginął.

A Sierioża drży całą noc. Wszyscy zasnęli, on nie.

Młodzież. Proszę bardzo. Komputery. Przekonaj tylko sponsora. Powiedzmy na przykład centrum dla geniuszy komputerowych. Tylko pod inną nazwą. Prawda, mam? Albo może wylęgarnia młodych talentów z branży przemysłu high--tech? Do tego będziecie musieli wyciągnąć ze sponsora najmniej następne sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów na zakup sprzętu i eksploatację, a jeszcze nie doszliśmy do funduszu stypendialnego. Jeśli do tego dodacie patronat naukowy, możemy zacząć rozmowę. Czemu nie.

Nie to ma na myśli sponsor.

Zróbcie tak, żeby miał to na myśli. Albo sprowadźcie innego ojca, który stracił syna.

Nie sądzę, żeby Noa na to poszła. A sponsor? Trudno przewidzieć.

Zajmij się tym, Teo. Z głową. Potem wróć do mnie. Mam, dość się już nagadałaś. A co z herbatą?

Ja nie. Dziękuję. Lecę. Spróbuję pomówić z Noą. Nie będzie łatwo.

Sierioża się rozchoruje.

Zostaniesz trochę, Teo? Odpocznij sobie. Tylko nie przeszkadzaj mi grać. Posiedzisz sobie w spokoju, nie, dlaczego? Nie przeszkadzasz, prawda, mam? Że nie przeszkadza. Przeciwnie. Miło mi. Zostań.

Pójdziemy na kompromis, Bat Szewa? Dzieciaki ze smykałką do komputerów, które się trochę wplątały w narkotyki?

Nic nie odpowiedziała. Nadęła tylko policzki jak przywiedła mała dziewczynka, próbująca za

wszelką cenę nas rozśmieszyć, i dmuchnęła w organki. Zagrała melodię piosenki z lat pięćdziesiątych: „Nie wiedział, jak jej na imię, i ten warkocz jedynie przemierzył z nim cały szlak”.

Kiedy podniosłem się i wychodziłem na palcach, żeby jej nie przeszkadzać, przerwała grę i powiedziała: I jeszcze jedno, Teo. Ty za to odpowiadasz. To ma być twoje dziecko. Cicho, mamó. Prowadź ostrożnie. I niczego ci nie obiecałam.

A tymczasem nasila się lato. We dnie ciąży nam mętne, przytłaczające światło, i chociaż okna są zamknięte, mialki kurz wnika nawet w pościel. Asfalt mięknie na ulicach od upału, a wieczorami mury oddają nadmiar ciepła. Wiatr z południa przynosi zza wzgórz kwaśnawy jak nieświeży oddech swąd spalenizny z płonących na miejskim wysypisku śmieci. Z balkonu widuję czasem be-duińskiego pasterza, rozłożonego na pobliskim wzgórzu, czarną sylwetkę wśród czarnych kóz, słabe, urywane dźwięki jego fujarki wsączają się we mnie kojąco. O czym marzy, zastygły godzinami na swoim leżu w cieniu bloku skalnego? Któregoś dnia podejść i zapytać. Pójdę za nim do górskich grot i rozpadlin, do miejsc, przez które, jak mówią, prowadzi nocny szlak przemytników z Synaju do Ziemi Midiańskiej.

Absolwenci mojej dwunastej klasy zaczęli się już rozjeżdżać we wszystkie strony. Niektórzy wcześniej poszli do wojska, inni kręcą się po miasteczku, rozpędzają auta rodziców na pustych ulicach albo przeczesują w grupkach tam i z powrotem plac koło świateł. Piątka z nich zaszła do

biura Teo po radę, nie w związku z jego zawodem, tylko z planami wyjazdu z plecakiem do Ameryki Łacińskiej. Po mieście krąży legenda, że spędził dziesięć lat samotnie w dżungli wśród Indian. Nazywają go za plecami Sombbrero. Chociaż wszyscy tu zachowują wobec niego pełen szacunku dystans.

Nasz rzęzący niebieski chevrolet sypie się. W odstępie dwóch dni padł w nim akumulator i pompa olejowa. Jacques Ben Lulu z serwisu Ben Elul powiedział: Starczy, basta, pozbądźcie się go. Teo zmrużył jeszcze bardziej lewe oko, kryjąc pod siwym wąsem swój podejrzliwy, chłopski uśmiech, i odpowiedział: Nie pali się. Jeszcze coś z niego będzie.

Ta czy inna Tali przyszła do mnie któregoś ranka pokazać swoje wiersze. Nie wiedziała, czy ma do mnie mówić pani profesor, czy Noa. Zdziwiła mnie jej wizyta, bo nie sądziłam, że ona albo jej koleżanki pisują jeszcze wiersze. Same wiersze były słabe, bezkrwiste, i szukałam sposobu, w jaki mam to powiedzieć, nie raniąc jej. Potem doszłam do wniosku, że nie ma właściwie powodu jej zniechęcać: niech pisze. Nic w tym złego. Kto wie. Czy Immanuel też pisał wiersze? Nie ma pojęcia. Nie sądzi. A zresztą może i tak, bo przecież jeszcze zanim zakochał się w tej ćpunce z Ejlatu, tej, co go nauczyła wachać, kochał się w tobie, może wtedy pisał dla ciebie wiersze. We mnie? Kochał się? Jak to? Skąd ten pomysł, Tali? Przede wszystkim nie Tali. Tal. A poza tym, przecież wszyscy wiedzieli. Wiedzieli? Co wiedzieli? Skąd? Zmieszanie czy niedowierzenie w uśmiechu na jej wargach: Po prostu. Przecież od razu było widać. Wszyscy, cała klasa wiedziała. Co ty, nie zauważyłaś, Noa? Poważnie? W ogóle? Nie wyczułaś, że cię kocha?

Powiedziałam, że nie. Widziałam, że mi nie wierzy. Kiedy wyszła, przypomniałam sobie mur z wielkiej płyty tuż za oknem balkonu, który po zabudowaniu służył mu jako sypialnia w mieszkaniu ciotki Elazary: szarą, pokrytą pyłem ścianę. Przygnębiającą. I przypomniałam sobie brązową filiżankę. Jego ubrania. Złożony sweter. Podarty koc w nogach łóżka, posłanie niemego psa. I odwróconą książkę o końcu Żydów białostockich.

Po dwóch dniach pojawiła się znowu, zawstydzona i podniecona, przyniosła mi nowy wiersz i tym razem zdecydowała się napić ze mną zimnej coli na balkonie i zjeść trochę winogron. Napisała ten wiersz po zachęcie, jaką dostała przedwcześniej. Ma straszną nadzieję, że naprawdę mi nie przeszkadza. Trochę jej nie pasuje, z tymi wierszami, że nie za bardzo ma komu je pokazać, a z drugiej strony to w ogóle jest trochę dziwnie tak pisać i pisać, nie pokazując nikomu, a nie ma tu za bardzo komu. Znaczy, poza mną. Ma nadzieję, że mnie nie męczy. Czy z całej klasy tylko ona próbuje pisać? Nie wie. Myśli, że tak. Ludzie nie bardzo mówią. Znaczy, mówią dość dużo, ale nie o czymś takim. W życiu. A o czym mówią? O różnych rzeczach. Trudno powiedzieć. Tak w ogóle to trochę o wojsku, o innych krajach, o ciuchach, o pieniądzach, i jakieś plotki, nie żadne Bóg wie co, normalnie, i tyle. W piątek po dyskotekę zaczynają czasem gadać o życiu i tak dalej, po co żyć, Daleki Wschód i ten, ale to tylko niektórzy. Większość nie. Chłopaki myślą tylko, jak dostać się do najbliższych jednostek, i co jest bardziej rasowe, a co mniej, chociaż w zasadzie wszyscy mają stracha przed wojskiem, i gdzie bardziej przerabane, w południowym Libanie czy na terytoriach, takie tam. No i AIDS. O tym też czasem gadamy. I jeszcze o komputerach. I o motorach.

Zapytałam o narkotyki. Tal powiedziała, że pomysł z tym schroniskiem, które chce tu urządzić z Mukim Pelegiem, nawet im się dosyć podoba. To będzie najlepszy pomnik, żeby ludzie nie zapomnieli o Immanuelu, nie jakiś byle słup z tabliczką. My to przyjęliśmy w porządku, ale większość rodziców się wścieka, boją się o opinię miasta, wartość mieszkań i takie tam. Spytałam, czy uważa, że w naszej szkole naprawdę istnieje problem narkotyków. No, to jest tak. Kompletnych ćpunów to nie ma, ale jest paru takich, co biorą macha w piątek wieczorem, tak, ona też próbowała, na luzie, ale jak dotąd nie całkiem jej wyszło tak w ogóle, nie była po tym tak naprawdę na haju, bo zaraz ją boli głowa. Prawdziwych narkomanów raczej nie ma. W każdym razie nie tam, gdzie ona bywa. Może na dole, w dzielnicy Joseftal, trochę się wacha. Trudno powiedzieć. A Immanuel? To było mniej więcej tak. Najpierw z paroma kumplami wyskoczył do Ejlatu na przerwę chanukową. Potem jeździł tam sam parę razy, ale nie bardzo wiadomo, co było z tą dziewczyną, Martą. Chodzą plotki, no tak. Jak było naprawdę, nie wie, i myśli, że tak naprawdę nikt nie wie, bo Immanuel był taki do wewnątrz. A odkąd się w niej zakochał, to jeszcze bardziej. Może ktoś wie coś więcej, tyle że tak poważnie, to ja nie bardzo wierzę, że ktokolwiek wie coś naprawdę o innych. W ogóle. No bo skąd? Każdy żyje na własnej wyspie. Ludzie sporo plotkują. Zgadza się. O tobie też chodzi opowieść. I o Teo. I Mukim. I Lindzie. Pewnie słyszałaś. Mówi się. Nie, nie chce w to wnikać. Nic takiego. Szkoda nerwów. To naprawdę nie załapałaś, Noa? Wcale nie zauważyłaś, że cię kochał? Nic a nic? Nieważne. Nikt nic nie wie o innych. A już najmniej w miłości. Miłość to katastrofa: obcy ludzie nagle się widzą, albo nie tyle widzą, co wyczuwają, i ledwie się spotkali, już są ze sobą bliżej niż brat i siostra. Zaczynają spać w jednym łóżku, chociaż nie są rodziną. I często się nie znają, nie są kumplami, przyjaciółmi, tylko niewolnikami jedno drugiego, i niech cały świat pęknie. I patrz, jaka katastrofa. Z miłości umiera chyba więcej ludzi niż przez narkotyki. Może trzeba załtwić i na to odwyk. Ile razy pomyśli o tym, jak dalece nikt nic nie wie o innych, ma ochotę śmiać się i płakać. A najdziwniejsze, że nie da się tego zmienić. Nieważne, ile wysiłku włożysz w to, żeby kogoś poznać, poświęcisz na to sto lat, dzień i noc na okrągło, będziesz z nim spać w jednym łóżku, nic to nie da, i tak nie będziesz nic o nim wiedzieć.

Czy może dalej przychodzić, jak będzie miała nowe wiersze? Naprawdę nie przeszkadza? Poza tym za parę dni Nira powinna mieć małe, pierwszy raz, Nira to jej kotka, ruda, śmieszna, trochę dziecinna, zgrywa hrabinę, ale to łachudra, choćby ją wszyscy błagali, zabiegali, składali hołdy, to jej w ogóle nie rusza, ma drobne prążki jak tygrys, piękna jest, rozmarzona, a czasem taka wesoła, uśmiecha się sama do siebie z wyższością. Nie ma zamiaru dać kociąt rodzicom do uspienia, dlatego pomyślała, że może przyniesie nam jedno w prezencie, przecież nie macie dziecka, może twój mąż się zgodzi?

Powiedziałam, że Teo nie jest moim mężem, to znaczy, niezupełnie jesteśmy małżeństwem. Tal powiedziała: Słyszałam coś na ten temat, nieważne, mówi się różne rzeczy, gadanie, w każdym razie mam chęć dać ci w prezencie kociaka. No to pa. Co do Teo, chciałam cię nawet o coś spytać, ale nie wiem, zresztą nieważne.

A co z Teo?

Nic. Nieważne.

Co chciałaś o nim powiedzieć?

Nieważne. Niezwykły człowiek.

Dlaczego niezwykły, Tal?

Trudno powiedzieć. Trochę mnie przeraża.

Zostawiła mi wiersz i poszła.

Teo przesiedział cały wieczór nad moją starą maszyną do pisania, ponad czterdziestoletnią Baby Hermes, którą znalazłam po drugim wypadku w jednej z szuflad ojca. Nie widziałam, żeby jej kiedykolwiek używał. Tylko ciotka od czasu do czasu wystukiwała na niej gniewne listy do gazet, przeciw przemocy, okrucieństwu albo jedzeniu mięsa. Kiedy likwidowano dom, wzięłam maszynę do siebie. Prawie do samej północy wykręcał, oliwił i wkładał z powrotem cienkie sprężynki, łączące starte klawisze z prowadnicami. Do naprawy włożył moje okulary, co złagodziło chytry, chłopski grymas na jego twarzy. Przez moment skojarzył mi się z cierpliwym żydowskim zegarmistrzem z minionej epoki. Lekko skrzywiona głowa, zmrużone i powiększone przez szkło okularów oko, ściągnięte wargi pod siwym wąsem, srebrne, po wojskowemu przycięte włosy, pochylenie szerokich ramion, podtrzymujących mocną szyję, wszystko to świadczyło o sile skupienia, jakie wkładał w wykonywaną pracę. Podeszłam do niego boso i kilka chwil stałam za nim cicho, oczarowana

zręcznością jego palców. Jakby mu pomagało wiele pokoleń skrzypków i kopistów Pisma Świętego.

Kiedy skończył naprawiać maszynę, nalałam herbaty ziołowej. Teo powiedział, że właśnie przypomniał sobie podstępną kawę, za pomocą której w Caracas zawracałam w głowie mężczyznom. Podstępną? Zawracałam w głowie? Ma na myśli koniak i indiański proszek, których dodawałam do kawy, żeby rzucić czar na pijącego, tak że potem nie mógł mi się oprzeć. I te wyciągi z kaktusa, którymi nas leczyłam z duru. Teo, słuchaj, zamiast tu siedzieć, moglibyśmy wyjechać na lato do Galilei. Dlaczego do Galilei? Do Skandynawii. Wynajmijmy czerwony samochód, sportowy, z otwieranym dachem i objeźdźmy fiordy. Albo wymieńmy chevroleta na coś innego. A może weźmy sobie kotka?

Zdjął moje okulary, pochylił głowę jak byk i drapał się wolno po karku. Spojrzał na mnie z ukosa, mrużąc oczy, jakby przejrzał na wylot niebezpieczne knowania. Po chwili namysłu przemówił. Powiedział, że ma w głowie listę zakupów: po pierwsze, małe biurczko do mojego pokoju. Po drugie, lampa do czytania. A po trzecie, co powiesz na edytor tekstów zamiast tego rupiecia, który szybko się znowu zepsuje, bo jego kadencja naprawdę już dawno upłynęła. Chociaż właściwie coś może jeszcze z niego będzie. A co wam powiedział Benizri na wczorajszym spotkaniu? To, co poprzednim razem? Czy zgadza, się pójść wam na rękę? Przepraszam. Unieważniam pytanie.

Objęłam go od tyłu i rozkoszowałam się ciepłem jego ramion pod moimi piersiami i dreszczykiem, który pod moim dotykiem przebiegł mu po karku. Dla twojej wiadomości, powiedziałam z czepnie, Benizri zaczyna mięknąć. Jeśli Bat Szewa Dinur da mu zielone światło, jest gotów poprzeć pomysł powołania zespołu do tej sprawy. Na waszym miejscu, powiedział Teo i objął mnie w talii, szukałbym kompromisu. Może bym poszedł w kierunku koncepcji wielostopniowej, w pierwszym roku okres rozruchu, siedmiu, powiedzmy ośmiu podopiecznych, nie więcej, na zasadzie zamkniętego ośrodka, dobrze ogrodzonego, i przynajmniej na pierwszym etapie rozkręcałbym ten ośrodek bez żadnych prawie powiązań z mieszkańcami. Wtedy osłabnie sprzeciw. I jeszcze coś: na waszym miejscu postawiłbym na biznes, co najmniej tysiąc dolarów miesięcznie od każdego podopiecznego, zaczniemy od dzieciaków z zamożnych rodzin, a żeby zadowolić miasto, weźmiemy jednego czy dwóch tutejszych narkomanów, z osiemdziesięcioprocentową zniżką. I wszystko ma się odbywać pod ścisłym nadzorem społecznym, stowarzyszenie podpisze oficjalną umowę z urzędem miasta i dostanie zezwolenie na działalność. W umowie zagwarantowałbym miastu prawo cofnięcia zgody po roku, jeśli taka będzie decyzja mieszkańców. Co więcej: byłbym gotów zrzec się z góry, na piśmie, prawa występowania na drogę sądową w sytuacji, gdyby nie przedłużono nam zezwolenia. Ta koncepcja to moim zdaniem jedyna szansa, żeby posunąć sprawę naprzód. Powiedzmy, zając przyczółek. Na twoim miejscu tak właśnie bym to przedstawił. A i tak skutek jest dosyć wątpliwy.

Nie jesteś na moim miejscu, Teo, powiedziałam.

Teo powiedział: Tak. Nie.

Tak i nie?

Chciałem powiedzieć: tak, Noa, nie jestem na twoim miejscu.

Pewna dziewczyna, dzieciak jeszcze, powiedziała mi dzisiaj, że nikt nie może nic wiedzieć o innym człowieku.

Wiedzieć. Tylko co znaczy wiedzieć.

Woda się zagotowała. Napijmy się jeszcze herbaty. Wiedzieć to wyjść poza siebie. Przynajmniej spróbować. Czasami.

Pamiętasz, kiedyś, w Caracas, powiedziałaś mi coś takiego, para nauczycieli bez dzieci, ciągle się pouczamy wzajemnie, i jeszcze powiedziałaś: niełatwo, ale nie nudno. Tak powiedziałaś, Noa. Jednak są takie chwile, kiedy jestem na twoim miejscu i chcę, żebyś była na moim.

Dość się już nagadaliśmy. Kochajmy się.

Tutaj? W kuchni?

Chodź. Teraz.

Zgasiałam górne światło, rozpięłam szeroki pas, pachnący starą skórą i potem, i wtuliłam się w wełnistą pierś. Moje palce pragnęły obdarzyć go tym, co dały jego palce starej maszynie do pisania. Potem wyszliśmy na balkon i w ciemności widzieliśmy rzekę żywego srebra, rozlaną przez księżyc po wzgórzach aż po horyzont. Staliśmy obok siebie bardzo blisko, bez słowa, i tak, na stojąco, powoli, nie dotykając się, sączyliśmy herbatę ziołową, wsłuchani w krzyk nocnego ptaka, którego na-

zwy nie znaleźliśmy.

Kiedyś opowiedziała mi o młodym turyście z Irlandii, którego podwiozła w drodze na kongres nauczycieli literatury w seminarium koło Tiwon. To było o czwartej po południu w deszczowy grudniowy dzień, półtora roku temu. Z powodu mgły i szybko zapadającego zmierzchu musiała wcześniej włączyć światła. Włączyła je i natychmiast reflektory wyłowiły z mroku długowłosą postać stojącą na poboczu. Z daleka wyglądała na dziewczynę, przygniecioną ogromnym plecakiem i kiwającą ręką inaczej, niż jest to przyjęte w Izraelu. Kiedy pasażer wsiadł do samochodu, zobaczyła, że w butach ma pełno wody. Były to chłopskie, toporne bucioro, podobne do sznurowanych butów ciotki Chumy, w których gniewnie przemierzała dom albo chadzała na pasmo Karmelu zbierać zioła lecznicze. Usiadł koło niej i wziął mokry plecak na kolana, a wtedy zobaczyła naszyty na nim skrawek płótna z nadrukiem „Ali you need is love”. I chłopak, i jego plecak byli zupełnie przemo-czeni.

Wczoraj wieczorem wyjechał z domu w mieście Galway i w ciągu nocy przejechał stopem Irlandię, dziś rano wyleciał z Dublina do Birmingham, a stamtąd przyleciał tutaj czarterem przed dwiema godzinami. Teraz szuka dziewczyny, Daphne, prawdopodobnie pracuje ochotniczo w jednym z galilejskich kibuców. Nie zna nazwiska ani nazwy kibucu. Daphne. Jest z Liverpoolu. Spędzili razem niedawno jedną noc. Kiedy się rozstawali, powiedziała mu, że niedługo wyjeżdża do Galilei. Nie widział jej od tej pory. Lubi owce i puste przestrzenie. Marzyła, żeby zostać pasterzem. Nigdy wcześniej nie był w Izraelu, ale ma mapę i widzi z niej, że Galilea zajmuje niewielki obszar. Będzie objeżdżał kibuce, aż ją znajdzie. Czasu mu nie brakuje. Zresztą uważa, że w braku czasu tkwi jakaś wewnętrzna sprzeczność, to wbrew tajemnicy życia. Jak mu się skończą pieniądze, spróbuje coś zarobić tu czy tam, pracując dorywczo, weźmie, co się nadarzy, wszystko jedno, w domu pomaga w stolarni, a w Portugalii ciągnął linie telefoniczne, w Kopenhadze występował kiedyś w niewielkim kabarecie z pieśniami ludowymi zachodniej Irlandii. Kto ma w sobie życzliwość, znajdzie życzliwość wszędzie. Tak powiedział. Nagle Noa zauważyła, że jest chory: miał wysoką gorączkę. Kiedy umilkł, szczerkał zębami, pomimo ogrzewania. Zimą dwa lata temu w chevrolecie jeszcze działało ogrzewanie. Wybacz, powiedziała surowo, jakby karciła leniwego ucznia, czy aby masz pojęcie, ile kibuców jest w Galilei? Skąd właściwie zamierzasz rozpocząć poszukiwania swojej Daphne? Nie odpowiedział. Możliwe, że już jej nie słyszał. Może ruch wycieraczek zahipnotyzował go i uspił. Minęła cała doba, odkąd wyruszył w drogę, na pewno nie spał w nocy, wczoraj zmókł w deszczu irlandzkim, a zanim zdążył wyschnąć, znowu zmókł w naszym deszczu. I płonął od gorączki, tak jej się wydawało. Głowa mu opadła na plecak, a jasne, ociekające wodą włosy spłynęły na twarz. Wyglądał znów jak dziewczyna.

Przy wjeździe do Kiriat Tiwon przystanęła. Zbudziła go i powiedziała, nie wiedzieć czemu, że na samym czubku palca, jaki tworzy Galilea, jest kibuc o nazwie Dafna, i pokazała mu go na mapie. Potem go wysadziła razem z plecakiem, który przypominał mokrą bryłę. Zatrzymała się chwilę później i spojrzała w lusterko, ale nadjeżdżająca z przeciwka ciężarówka oślepiła ją i w strugach deszczu dojrzała za sobą tylko nie oświetloną budkę telefoniczną.

Zameldowała się, zostawiła rzeczy w pokoju, gdzie rozgościły się już dwie inne nauczycielki, młodsze od niej o dwadzieścia lat, w tym jedna bardzo ładna, i poszła na pierwszy wykład, poświęcony w całości kwestii, czy istnieje literatura kobiet, albo literatura kobieca, a jeśli tak, czym się cechuje. Po kwadransie podniosła się nagle, wyszła w deszczu na parking, uruchomiła samochód i pojechała szukać swojego pasażera tam, gdzie go wysadziła, tuż przed Kiriat Tiwon, bo czuła, że powinna była odwiedzić go do lekarza. Może się chciała dowiedzieć, jakąż to wewnętrzna sprzeczność tkwi w braku czasu i co miał na myśli, mówiąc, że kto ma w sobie życzliwość, znajdzie życzliwość wszędzie. Ale na błotnistym poboczu zamiast chłopaka stała tylko nie oświetlona budka telefoniczna.

Zamiast wrócić do seminarium, skręciła w boczną drogę i w gęstniejącej mgłę jechała w nieznaną na północ. Aż poczuła, że paliwo się kończy, i zajechała na widną stację koło wsi Madzd el--Kurum. Stacja już była zamknięta, ale dwóch młodych mężczyzn siedziało jeszcze w kantorku przy silnej jarzeniówce. Podliczali pewnie dzienny utarg. Kiedy przez szklane drzwi dostrzegli jej sylwetkę, naradzali się chwilę szeptem, po czym jeden z nich wstał i otworzył, wyjaśniając ze śmiechem, że myśleli, że to jakiś bandyta, i nalał paliwa do baku. Kolega poczęstował ją kawą i powiedział: Nie pani pierwsza wpadła do nas tej nocy, proszę spojrzeć, co my tu mamy. Leżał w kącie na zatłuszczonej podłodze, zwinięty w kłębek, okutany poplamionym, wełnianym kocem. Zobaczyła

złocisty kosmyk.

Obudziła go i powiedziała: Chodź, jedziemy poszukać lekarza. Powłókł się za nią do samochodu bez słowa, zaspany, płonący od gorączki i wcale nie zdziwiony jej przyjazdem: jakby nie wątpił, że jeszcze tej nocy musi go znaleźć i zabrać. I znowu siedział koło niej, szczekał zębami, woda z plecaka opatrzonego miłosnym hasłem kapąła mu na kolana, po dwóch minutach zasnął. A może się wcale nie zbudził, kiedy go wlokła z kantorka na stacji benzynowej. Głowę złożył na ramieniu Noi, a jasne włosy spłynęły na jej pierś. Przez sweter, który miała na sobie, czuła na skórze bijące od niego gorąco. Jej szyja zwilgotniała. Na skrzyżowaniu za Madżd el-Kurum skręciła w prawo, bo zdecydowała, że wróci do seminarium, zbudzi lekarza czy sanitariusza, a rano siądzie do telefonu i obdzwoni kibuc za kibucem, aż znajdzie mu tę jego Daphne albo przynajmniej zdobędzie jakiś adres, gdzie zechcą go, przyjmą do pracy. Tymczasem pomyliła drogę, woda i mgła utworzyły ścianę przed i tak zaparowanymi od ich oddechów szybami, koło północy minęła kibuc Macuwa i oświetloną tablicę, która zapowiadała pobliski motel. Postanowiła wynająć pokój na resztę nocy. Kilka zakrętów dalej silnik zgasł nagle. Stała w asfaltowej zatoczce pod wysokimi, targanymi wiatrem eukaliptusami i czekała na rano. Jego głowa zdążyła jej opaść na kolana. Ściągnęła z tylnego siedzenia pokrowiec i przykryła siebie i jego, żeby nie zamarznął. Potem i ona zasnęła. Kiedy zbudził ją szary świt, zobaczyła, że deszcz ustał, a pasażer i jego plecak zniknęli. Przeżyła chwilę lęku o torebkę, w której trzymała dokumenty, pieniądze i klucze. Po krótkich poszukiwaniach torebka znalazła się w szparze między siedzeniem a drzwiami. O wpół do siódmej przejeżdżał radiowóz policyjny. Starszawy arabski sierżant odsłonił złote zęby w uśmiechu, zganił ją za lekkomyślność i nie bez trudu uruchomił samochód. O ósmej była w seminarium, skąd zadzwoniła do mnie do biura, opowiedziała, co zaszło w nocy, i prosiła, żebym spróbował znaleźć jej pasażera: może przypadkiem Daphne z Liverpoolu będzie na liście ochotników w którymś z kibuców, gdzie pasą owce? Albo też w MSW mają dane chłopaka z Irlandii, z miasta Galway, który wczoraj przyleciał do Izraela?

Pomyślałem, że szansę są nikłe, ale coś w jej głosie sprawiło, że obiecałem spróbować. Przez całe przedpołudnie wykręcałem wszystkie możliwe numery, odnalazłem nawet i specjalnie dla niej zadzwoniłem do dwóch znajomych na stanowiskach, z którymi od dwudziestu lat nie miałem żadnego kontaktu, oczywiście na próżno. Jedyne, co osiągnąłem, to to, że wywołałem po drugiej stronie zmieszanie, albo wręcz osłupienie, z trudem mogące uchodzić za uprzejme zdziwienie. Jeszcze tego wieczoru przyjechała do domu, porzuciła swój kongres, zaszła mnie od tyłu w kuchni, potargana i rozpalona od wysokiej gorączki, cała rozdygotana, uczepiła się mnie, wtuliła twarz w moje ramię i wybuchnęła płaczem. Ująłem jej skostniałe, żyłaste jak u staruszki dłonie, i próbowałem je ogrzać. Potem nalałem do wanny gorącej wody, ściągnąłem z niej ubranie i bieliznę, które od razu wrzuciłem do kosza z praniem, namydliłem ją, wykąpałem, wytarłem grubym ręcznikiem i opatuliłem flanelowym szlafrokiem. Niewiele brakowało, a byłbym ją zaniósł do łóżka na rękach. Przygotowałem pełen dzbanek herbaty, nalałem jej filiżankę, a resztę postawiłem w termosie koło łóżka. Wezwałem lekarza. Noa spała szesnaście godzin bez przerwy. Kiedy się obudziła, z dziesięć minut wpatrywała się we mnie pustym i błędnym wzrokiem, z wyrazem roztargnienia i rezygnacji. Podałem jej herbatę ziołową z cytryną i z miodem. Wypiła jeden łyk. Nagle wybuchnęła wściekłością, ochrypla z nienawiści, jakiej nie objawiała nigdy przedtem, może poza rzadkimi przypadkami, kiedy chcąc mnie rozbawić, naśladowała ataki szału swojego ojca, a to dlatego, że bez pytania dołałem do herbaty łyżkę syropu na kaszel. Przepisała jej go lekarka, ale ona uparcie się przed nim broniła. Podniosła głos i krzyczała z głębi rozpalonego gardła, że znowu z niej robię niemowlę, przygniatam ją jak góra, całe życie ją tłamszę i czekam, aż wreszcie się zestarzeje, ten dom to klatka, a Tel Kedar — kolonia karna, i żebym się nie zdziwił, jeśli któregoś ranka obudzę się i zobaczę, że jestem sam jak pies, jak stary pies, a zresztą może właśnie tego chcę tak naprawdę.

Rano nastąpiła poprawa. Gorączka spadła, bóle stawów zelżały. Prosiła o wybaczenie. Przepraszała. Siadła przed lustrem i robiła makijaż starannie, o wiele staranniej niż zwykle, i zwrócona twarzą do lustra, a do mnie plecami, opowiedziała o swoim zgubionym irlandzkim pasażerze. Potem włożyła zielony komplet, żakiet i spodnie, który leżał na niej doskonale, i wybierała się do szkoły, żeby nie odwoływać sprawdzianu. Zamierzałem zatrzymać ją, bo lekarka kazała jej leżeć kilka dni, ale po namyśle postanowiłem na wszelki wypadek nie mówić słowa. Mimo to kiedy już była w drzwiach, nie wytrzymałem i powiedziałem cicho, prawie szeptem: Może jednak zostaniesz. Patrzyła na mnie chwilę rozbawiona, aż nagle powiedziała bez cienia gniewu: Nie martw się, przecież do ciebie wrócę. Opiekowałeś się mną wspaniale.

Od tego grudniowego ranka półtora roku temu nigdy nie wspominała o swoim pasażerze. Ja też o nim nie przypominam. Tydzień po wyzdrowieniu zadzwoniła któregoś dnia do mnie do biura i poprosiła, żebym przyszedł do domu później, o siódmej zamiast o piątej. Wróciłem piętnaście po siódmej i zobaczyłem, że przygotowała wykwinny obiad z trzech dań, z szampanem i deserem. Za to samochód musiał przejść sporą naprawę. Jacques Ben Lulu z warsztatu Ben Elul powiedział: Słuchaj, nieźle oberwał, ktoś przejechał się nim po kamulcach, wepchnął w błoto, a potem jeszcze wgniół tu, i w tym miejscu też, bo go niewłaściwie holował. To nie mój biznes, Teo, co tam się działo, ale wierz mi, że nic dobrego.

O pierwszej, drugiej nad ranem, gdy stoję na balkonie naprzeciw milczącej równiny, wyobrażam sobie czasami, że jej samotny pasażer tuła się po dziś dzień wśród nagich wzgórz Galilei. Szuka swojej Daphne po łąkach, a może już zrezygnował i krąży dalej bez celu i bez pośpiechu opuszczonymi drogami. Kto ma w sobie życzliwość, znajdzie życzliwość wszędzie. Ciągle nie wiem, co jest takiego w tym zdaniu, ale jego melodia coraz bardziej mi się podoba. Więc zasnął z głową na ciężkim plecaku, oddycha lekko, miarowo, wygląda jak ładna dziewczyna, jasne włosy spadają na twarz, której nie znam, jak lekka kurtyna, jest sam w wieczornym blasku na bezludziu, w pięknej, odległej dolinie, gdzie są ptaki, i puszcza, i źródło.

A przecież to nie on, nie uczeń stolarza z Irlandii, tylko ja leżę tam, u stóp drzew, drzemię w lekkim wiaterku wśród niemych cieni w dolinie, gdzie nie ma nic poza źródłem, puszczą i ptakiem, i czemu miałbym chcieć się obudzić?

Rano, kiedy pojechał do biura, wróciłam do kuchni i czytałam dalej książkę Młodzież w pułapce. Wypisałam sobie na kartce informacje, które chciałam posprawdzać. W rejonie Tel Awiwu są trzy publiczne ośrodki odwykowe: w dzielnicy Hatikwa, w Jafo i w Nowej Eliezer. Tak się składa, że żaden z nich nie jest ośrodkiem zamkniętym. Opium i frajdę, czyli haszysz, przemycą się głównie z Libanu. Ostatnio rozpowszechniła się crack, heroina niskiej jakości. Perska koka to twardy narkotyk najłatwiej dostępny na rynku. Większość odbiorców musi dostać dawkę rano i kolejną dawkę wieczorem. Koka ma tę zaletę, że działa przez wiele godzin, a pod jej wpływem uzależniony może dalej pozornie normalnie funkcjonować. Przynajmniej do pewnego stopnia. Co do samego odwyku, są tacy, którzy przechodzą go w murach więziennych, podczas gdy inni właśnie w trakcie długotrwałego aresztowania są szczególnie podatni na narkotyki. Trzymanie przechodzących odwyk we własnym gronie i izolacja od dotychczasowego otoczenia ma swoje plusy i minusy. Najdramatyczniejszą część odwyku stanowi głód narkotykowy, trwający zazwyczaj koło dziesięciu dni, chociaż bywa, że trwa tylko tydzień albo też że męczarnie przeciągają się do trzech tygodni, a nawet dłużej. Najczęściej kulminacja cierpienia następuje drugiego albo trzeciego dnia, co się przejawia bólami, mdłościami, konwulsjami, napadami depresji lub agresji. W skrajnych przypadkach może nawet dojść do samobójstwa. Środki uspokajające i uśmierzające ból, a także intensywny masaż, mogą zmniejszyć cierpienia, ale ich nie wyeliminują. Zaleca się przechodzenie tego etapu w domu pacjenta, pod stałą obserwacją, z udziałem członków rodziny i wykwalifikowanego personelu, a czasem także grupy wsparcia złożonej z pacjentów, którym udało się wyjść z nałogu. Pod warunkiem, że dom i rodzina stanowią wsparcie, a nie obciążenie, bo wtedy lepsza będzie zupełna separacja. Po głodzie przychodzi okres odtrucia, od pół roku do roku. W tym czasie zaleca się nadzór nad przechodzącym odwyk poprzez częste badania moczu, chociaż można je obejść, przynosząc mocz poabrany od innej osoby. Młodego narkomana, który się uzależnił niedawno, lepiej nie wsadzać do więzienia, tylko oddać pod nadzór kuratora i zobowiązać jego i rodzinę do poddania się drobiazgowemu programowi odwykowemu. W następnym rozdziale piszą, że przy silnym uzależnieniu życie rozgrywa się niemal wyłącznie na płaszczyźnie uczuć, dlatego każde ich zranienie, nawet po dłuższym czasie od odwyku, może sprawić, że narkoman wróci do szkodliwych nawyków

i stoczy się. To ostatnie sformułowanie, „wrócić do szkodliwych nawyków i stoczyć się”, jest moim zdaniem niewłaściwe, a nawet obraźliwe, a „płaszczyzna uczuć” brzmi topornie.

Mam jechać jutro do E j latu?

Odszukać tę dziewczynę, Martę?

Wybadać? Porównać zeznania świadków?

A jego ojciec? Dlaczego on nie był w E j łacie? Albo był tam, ale mi nie powiedział? A czemu miałby mi mówić?

Ile wiedziała ciotka? I od kiedy?

Czego szukał wtedy w gabinecie? Po co tam wszedł? I dlaczego byłem głucha, kiedy poprosił nieśmiało o coś do pisania? Czy rzeczywiście mrugał, czy teraz tak mi się zdaje, pod wpływem tego, co opowiadał Awraham?

Możesz poświęcić sto lat. I tak nie będziesz nic wiedzieć.

Zamiast dociekać prawdy, lepiej jest czynić dobro. Tak jak tamten policjant, pracować ile się da na częstotliwościach współczucia i oschłości: z precyzyjną, wytrwałą dobrocią doświadczonego chirurga, który pomimo zmęczenia zgłasza się znowu na dyżur, bo kiedy po ciężkim dniu opuszczał w drodze do domu szpitalny parking, zobaczył w ostatniej chwili, że przywożą kolejnych rannych. Więc zawrócił, odstawił samochód, w milczeniu włożył fartuch i maskę, i wraca do sali operacyjnej.

Pod koniec lipca odwiedził nas Awraham Orvieto, tym razem sam, bez Arbela, szczupły, wąski w ramionach, postarzały, w kremowych džinsach i jasnym, wymiętym wdzianku z szerokimi kieszeniami na suwak. Melancholijnym, cichym głosem obiecał Teo, że w ciągu dwóch, trzech tygodni prześle przelewem dwadzieścia tysięcy dolarów na konto długu, a resztę też już ma na widoku. Teo powiedział: Nie pali się. I wdali się w rozmowę o jakimś niedopatrzaniu czy błędzie popełnionym w okresie wojny wyzwolenczej. Awraham nie odezwał się do mnie ani słowem, poza dziękuję za kawę, może dlatego, że Teo nie dał mu chwili oddechu. Zeszłam do sklepu, wróciłam i stwierdziłam, że tymczasem doszli do porozumienia co do pewnej decyzji, jaką podjął Igał Alon i drugi słynny dowódca, niejaki Nachum Sarig, Siergiej, jak się okazało, obaj go dobrze znali i obaj byli przeciwni jego taktyce, ale ja nawet nie słyszałam takiego nazwiska. Kiedy mi chcieli wyjaśnić, że bym ja też wiedziała, skąd brała się jego wielkość i wyjątkowość i gdzie ten legendarny dowódca popełnił błąd, powiedziałam: Dziękuję, nie interesuje mnie to, a zresztą nie znam realiów. Chociaż było mi dobrze, a nawet miło, tak siedzieć między nimi i słuchać, jak rozmawiają po cichu, jak para konspiratorów uzgadniających szeptem szczegóły tajnego planu, tak jakby tamta wojna nadal trwała w podziemiu gdzieś na Negewie, a o błędach, straconych szansach i alternatywnych strategiach nie wolno było mówić wprost, tylko szyfrem. Awraham Orvieto wymienił jakieś wzgórze o nazwie Bir Asludż, a Teo, sprzecząc się z nim, powiedział: Wydaje mi się, że nie masz racji, o ile dobrze pamiętam, to było trochę dalej na południe, koło Kadesz Barnea. Awraham powiedział z namysłem: Uznanie za oskrzydlenie po przejściu rzymskim traktem, za ten przebłysk geniuszu, należy się jednak Piniemu Finkelowi. Teo powiedział: Pozwolisz, że się z tobą nie zgodzę, moim zdaniem uznanie należy się tobie, Awraham, Pini Finkel nie był odkrywca, w końcu zginął tylko dlatego, że był zbyt powierzchowny, miał zresztą syna, Nimroda, wychowywałem go, mieszkał u mnie dwa lata, był wtedy biednym dzieciakiem, załatwiłem mu pracę, wypchnąłem go w górę, a skończyło się na tym, że wygryzł mnie z Agencji Rozwoju, nie bezpośrednio, ale to on stał za tą intrygą. Nieważne. To było dawno temu.

Nigdy mi o tym nie mówił. Nigdy go nie pytałam. Nalałam im kolejną kawę i zostawiłam ich samych. Postanowiłam odebrać sandały z naprawy.

Na jedenastą zwołałam naradę komitetu u nas w salonie. Teo przygotował wcześniej i ustawił na stole talerze pełne owoców i szklanki do napojów, orzechy i migdały, pełnoziarnisty chleb pokrojony na cienkie kromki i sery na drewnianej tacy. Ludmir przyszedł, ciężko dysząc, dwadzieścia pięć minut przed czasem, w szortach khaki i klapkach z całkiem już zdartymi podeszwami, rzucił hasło „Cicha Noa brzegi rwie”, po czym przypuścił szturm i pochłonął wszystkie orzechy oraz większość migdałów. Imigrantów z Etiopii, powiedział, traktuje się tu jak śmieci, zresztą Rosjanie też nie pijają miodu, i w ogóle wydział absorpcji trzeba postawić pod ścianą, a te kamieniołomy wysadzić dynamitem, zanim pył nas tu wszystkich wytruje. Muki Peleg w swoich bujnych lokach myśliciela z reklamy koniaku i w jedwabnym, artystycznym szaliku wokół szyi, przyszedł spóźniony o kwadrans, powiedział dwa dowcipy, przeprosił w imieniu Lindy, która jest na wycieczce do doliny Jordanu, wypytał Awrahama, jak tam dziewczyny w tym Kongo, nie w Kongo? W Nigerii? Dla mnie to jedno i to samo, i powiedział: No Teo, zaczynaj, szybciej skończymy.

Teo powiedział: Dajcie mi trzy minuty na omówienie trudności, jakie nas mogą czekać. Po pierwsze, Bat Szewa może odwlekać prawie do woli rozpatrzenie naszego wniosku przez samorząd lokalny. Może umieścić tę sprawę na dalekiej pozycji na liście priorytetów. Może działać przeciwko nam w ministerstwach, żeby nie dały zezwoleń. Może umieścić nasz wniosek w porządku obrad, a potem odrzucić go z powodu różnych zastrzeżeń formalnych i technicznych, a przez to w nieskończoność przeciągać sprawę. Po drugie, mieszkańcy już się buntują: powstanie ośrodka wywoła spa-

dek cen nieruchomości i inne uciążliwości, pociągnie za sobą przestępczość i hałas, narazi tutejszą młodzież na kontakt z elementem. Ludzie mówią, że włożyli pieniądze w mieszkania w Tel Kedar, żeby móc żyć spokojnie, a ośrodek zburzy ich spokój, karetki w nocy, radiowozy, różne zajścia, kręgi przestępcze, które pojawią się w ślad za narkomanami. A w ogóle dla paru dolarów nie robi się z miasta, gdzie prawie nie istnieje przestępczość, gniazda podrzutek ani wysypiska śmieci dla wielkich miast. Komu potrzeba wykolej eńców? Handlarzy? Alfonsów, którzy zaczną się kręcić po szkole w czasie przerw? Zaćpanych piętnastoletnich dziwek? Małych gnojzków okradających mieszkania i samochody i obrabiających staruszków, żeby wyskrobać parę groszy na dawkę? Brudnych igieł z zarazkami AIDS na podwórkach? Już zaczęto zbierać po domach podpisy pod petycjami, co w ogóle znaczy odwyk, kto raz był narkomanem, jest nim zawsze, na pewno za tym stoi ktoś, kto chce się wzbogacić, dlaczego właśnie u nas, nie wystarczy, że nas przydusili nowymi imigrantami, których żadne miasto nie chciało w takiej masie. Zaraz nam tu sprowadzą dzieciaki z intifady, z terytoriów okupowanych, będą je leczyć z rzucania koktajli Mołotowa. I tak, liczba protestów dojdzie do kilkudziesięciu, Bat Szewie będzie na rękę rozpatrywać każdy z osobna, procedura będzie trwać latami, wreszcie mieszkańcy zjednoczą się i zaczną chodzić po sądach. Poza tym, rada miasta gotowa po prostu odmówić z miejsca zgody na zmianę przeznaczenia budynku, powołując się na istniejące plany zagospodarowania. Szach-mat. Tyle w tutejszych kręgach. Są także wyższe kręgi: Ministerstwo Pracy, Spraw Wewnętrznych, Zdrowia, Edukacji, policja, połowa rządu. Wciąż nie doszedłem do kosztów bieżących. Mam mówić dalej?

Awraham posłał mi niepostrzeżenie ten swój zimowy uśmiech i powiedział w zadumie: Czyli co? Mam zrezygnować? Poprzestać na skwerku pamięci z huśtawkami?

Teo powiedział: Pójść na kompromis.

A Ludmir: Kompromisy. Zaczyna się szambo.

Potem Muki Peleg złożył komitetowi raport ze sprzedaży mieszkania ciotki, Elazary Orvieto, gdzie teraz będzie gabinet dentystyczny. Pieniądze za mieszkanie, które wkrótce nadejdą, wpłyną, jeśli pan Orvieto się zgodzi, prosto do kasy stowarzyszenia i będzie je można przeznaczyć na remont domu Alhariziego w chwili, gdy miłość przebije mur uprzedzeń, jak rzekł rabin do zakonnicy.

Ja się nie odzywałam.

Wreszcie zapadła decyzja, że w przyszłym tygodniu Teo pojedzie z Awrahamem Orvieto do Jerozolimy i spróbują zdobyć poparcie ministra, który służył z Teo w tej samej jednostce jakieś czterdzieści lat temu i dobrze zna Awrahama z okresu, kiedy był on radcą wojskowym w Paryżu. Postanowiono także odbyć spotkanie z władzami Uniwersytetu w Beer Szewie i z działaczami Frontu do Walki z Narkomanią. Ponadto trzeba koniecznie zmienić skład komitetu: musimy przyciągnąć przynajmniej garstkę wpływowych mieszkańców, wychowawców, pracowników socjalnych, psychologów, cieszące się szacunkiem ważne osobistości, może paru rodziców o postępowych poglądach, albo takich, których ten problem już dotyczy, i redaktora gazety lokalnej, a może nawet jednego czy dwóch artystów.

Wynika z tego, powiedział Ludmir zdziwiony, że jestem zbędny.

A Muki Peleg dodał: Jak rzekł mąż, który zaskoczył żonę z sąsiadem. A Linde zostawicie? Dalej będzie wam przepisywać?

Po naradzie, kiedy Ludmir i Muki wyszli, przy czym Muki w błękitnych butach biegł przodem przytrzymać windę, a Ludmir człapał za nim, kiwając się na boki jak wielbłąd, Teo powiedział: Opuszczę was na kwadrans i skoczę do Palermo po pizzę. Nie będziemy traciли czasu na obiad. Kiedy wrócę, zjemy i pójdziemy na rekonesans.

Po jedzeniu wyszliśmy pokazać gościowi Tel Kedar, bo Awraham Orvieto chciał „poczuć to miejsce”. Znow był problem z uruchomieniem rzeżącego chevroleta, mimo dwóch ostatnich napraw. Po drodze Teo wyjaśnił nie pytany, na jakim to błędnym pomysle, z góry przegranej koncepcji, zbudowano miasteczko. I może właśnie te słowa sprawiły, że Awraham przeniósł wzrok na tylne siedzenie i znow posłał mi ukradkowy, pospieszny uśmiech, jakby mnie zachęcał do zajrzenia do przytulnego, wypieszczanego wnętrza. Po czym natychmiast ponownie spuścił zasłonę. Kruchy, drobny mężczyzna o rzadziejących, posiwiałych włosach i pobrużdżonych policzkach, spalonych od afrykańskiego słońca. Twarz spracowanego, wykształconego gawera na emeryturze, który teraz dzieli swój czas między czytanie a rozmyślanie. Odzywał się niewiele, mówił miękkim, bezbarwnym głosem, niepewnie, jakby przez sam fakt, że mówi, robił zbyt wiele hałasu. „Gdzie zatem świecić mamy, i komu potrzebny nasz blask”, spytałam go bez słów z mojego miejsca z tyłu.

Przejechaliśmy wolno przez osiedla i dzielnicę willową, mijając po drodze palmy targane pustynnym wiatrem, omdlewające trawniki, sadzonki wianowłostki, w które zraszacze wsączają życiodajny płyn, próbując nie dopuścić do ich śmierci.

To piękne, robi wrażenie, powiedział Awraham Orvieto, zupełnie nowe miasto, bez przeszłości biblijnej czy arabskiej, zbudowane na wymiar ludzki, bez dzielnic ubóstwa czy oznak zaniedbania.

Chyba nie mamy racji, że przyjmujemy je jak coś oczywistego.

Teo powiedział: Że zbudowane z pokorą, to niekoniecznie zaleta.

A Awraham: Nie, niekoniecznie. Ale tak.

Na placu koło świateł staliśmy parę chwil przed pomnikiem poległych, gdzie metalowe litery tworzą napis „Chluba twoja, o Izraelu, na twoich wzgórzach poleg a”. Przedostatnia litera odpadła. Tym samym krojem, ale mniejszą czcionką, wypisano nazwiska dwudziestu jeden poległych, od Aflalo Josefa do Szumina Giory Georga. Stary Kuszner siedział zgarbiony na stołku przy wejściu do swojej introligatorni i czytał grubą książkę. Na wystawie sklepu z butami Pini Bozo ustawił model świętej arki z lakierowanego drewna. Otwarte wewnątrz arki ukazywało przechodniom fotografię jego zmarłej żony, unoszącej w ramionach zmarłe dziecko. Przytykała czołko maleństwa do swojego czoła i odsłaniała w uśmiechu mocne, lśniące zęby, a dziecko śmiało się do niej bezzębną buzią.

Potem wypiliśmy kawę w biurze Teo na najwyższym piętrze biurowca na lewo od urzędu miasta. Na ścianie wisiały mapy, widoki i powiększenie zdjęcia, na którym Ben Gurion spoglądał niewzruszenie na obszar poprzecinany suchymi potokami. Teo pokazał gościowi kilka szkiców, swoje pomysły na wkomponowanie budownictwa w środowisko pustynne, zarysy ulic, placów i łukowato sklepionych domów, przemyślnie powiązanych ze sobą, tak aby dawały cień, odpierały atak oślepiającego światła i tworzyły kręte zaułki na wzór cienistych wąwozów. Widać było, że sama obecność gościa, chociaż ten mówił niewiele, zelektryzowała Teo. Po drugiej kawie wyciągnął nawet z jednej z szuflad niebieską teczkę i wyjął z niej plany remontu domu Alhariziego w trzech wersjach. Awraham Orvieto oglądał je dłuższą chwilę w milczeniu, i wciąż na nie patrząc, zadał niemal szepcąc ostrożne pytanie i otrzymał zwięzłą odpowiedź. Nie dosłyszałam pytania, odpowiedź też mi umknęła.

Poszłam wyjrzeć przez okno. Zobaczyłam porwany latawiec, zaplątany w przewody elektryczne i huśtający się w te i wewte na wietrze nad zaniedbanym bilardem, gdzie można także dostać kupony loteryjne. Pomyłonego staruszka od Szacberga z apteki, tego, co umarł niedawno, nazywaliśmy Eliaszem, bo miał zwyczaj pytać każdego uprzejmie, kiedy nadejdzie prorok Eliasz. Z pożółkłej klepsydry na tablicy ogłoszeń, która stała naprzeciw okna, dowiedziałam się, że nie miał na imię Eliasz, tylko Gustaw, b.p. Gustaw Marmorek. Nagle mi przyszedł do głowy tak chętnie używany przez Beniziego z Beer Szewy zwrot „jedno nic”. Postanowiłam dalej stać w oknie, żeby im nie przeszkadzać: między gościem a Teo nawiązywała się chyba sympatia i zażyłość, w której nie było dla mnie miejsca. Zauważyłam, że Teo obdarzony został co najmniej dwukrotnie uśmiechem z płonąącym kominkiem za odchyloną zasłoną. I chciałam być gdzieś indziej. Może na przykład w Lagos.

Na spotkaniu z Bat Szewą Dinur okazało się, że Awraham Orvieto był dowódcą plutonu rezerwy, w którym walczył i zginął jej mąż w Jerozolimie, podczas wojny sześciodniowej. Awraham go pamiętał, Didi, taki brodaty, wysoki chłopak, jak była chwila przerwy, to kładł się na asfalcie i czytał nuty, jakby to był kryminal.

Na koniec Bat Szewa poprosiła Teo, żeby przygotował na piśmie i dostarczył jej szczegółowy opis projektu. Zwłaszcza, powiedziała, musi wiedzieć, na ile właściwie zamknięta ma być ta kolonia karna. A jeśli faktycznie będzie zamknięta, to co dobrego może z tego wyniknąć dla życia mieszkańców? I co z pracownikami? Miejscowi? Czy sprowadzani? A jeśli sprowadzani, czy kontrakt ich zobowiąże do zamieszkania tu u nas, czy też co wieczór będą zostawiać dyżurnego, wsiaść do samochodów i wracać zwartą kolumną do cywilizacji? A także, ile pieniędzy zamierza pan Orvie-

to, Awraham, włożyć w stworzenie ośrodka, i ile, jeśli w ogóle, przeznaczy na jego działalność? Bez planu finansowego na co najmniej pięć lat nie macie tu po co wracać. I żeby było jasne, że niczego wam jeszcze nie obiecałam, tylko zimną wodę i ciastka, jeśli mimo wszystko zechcecie do mnie wrócić. A tak na marginesie, upamiętnienie, ufundowanie, ona to oczywiście rozumie i popiera, przecież cały ten kraj to jeden wielki pomnik, i rozumie, że w tym wypadku ma to mieć związek z młodzieżą, bez młodzieży nie ma przyszłości, chociaż bez przyszłości nie byłoby młodzieży, ale

właściwie dlaczego nie ma to być hala sportowa? Klub? Albo basen? Komputery dla szkół? Pracownie? Pałac młodzieży? Iluzjon? Noa, powiedz coś. Ściągnij mi ich na ziemię. Przecież masz wpływ na Teo, i zdaje się, że na pana też już ma wpływ, panie Orvieto, Awraham, czy nie mam racji? Tak?

Awraham Orvieto powiedział, że chciałby ratować młode życie. Że jego syn Immanuel kochał to miejsce, Tel Kedar, a on zaczyna rozumieć przyczyny tej miłości. Powiedział też, że Noa była bliższa Immanuelowi, a teraz i ona, i Teo stali się jemu bliscy.

Pod wieczór Teo zawiózł gościa, żeby obejrzał opustoszały budynek.

Boli mnie głowa, powiedziałam, zostaję w domu.

Dziesięć minut później naprawdę rozboleła mnie głowa. „„

Wzięłam dwa proszki i poszłam posiedzieć w pustej czytelnicy biblioteki miejskiej, gdzie mają klimatyzację. Znalazłam sobie angielską książkę o dziejach kolonializmu w Lagos, czytałam ją dwie godziny, a potem zaczęłam czytać o szympanzach, aż przyszła bibliotekarka i delikatnie dotknęła mojego ramienia, mówiąc: Przepraszam, Noa, zamykamy. Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że Awraham już się pożegnał i odjechał do Tel Awiwu, prosił, żeby mnie pozdrowić i bardzo podziękować, a Teo w białym fotelu czeka, aż wrócę, jak zawsze cierpliwie i uparcie, czeka w spokoju, niezmordowany, nieustępliwy, ułożył boscie nogi na stoliku w salonie, twarde ramiona wystają spod podkoszulka, szeroki pas pachnie skórą, która przesiąkła męskim potem, ale tym razem nie siedzi po ciemku, zapalił światło, żeby poczytać książkę o narkomanii, wziął ją z mojego nocnego stolika, nazywa się Młodzież w pułapce. Kiedy weszłam, zdjął moje okulary i spytał, jak się mam, jak głowa.

Nadzwyczajnie, odpowiedziałam.

Za pięć pierwsza w nocy. Za ścianą zgrzyta spóźniona winda. Nie staje, tylko pnie się dalej z jękiem lin na jedno z górnych pięter. Noa jest w swoim łóżku, wykąpana, w białej koszuli, w okularach, jej głowę okala krąg światła lampki nocnej, czyta książkę Narodziny i upadek rewolucji dzieci-kwiatów. Teo leży u siebie w pokoju i słucha w Radiu Londyn audycji o ekspansji wszechświata. Drzwi balkonowe są otwarte. Od wschodu, od nagich wzgórz, nadciąga suchy wiatr, rozwiewa łagodnie firanki. Księżyc nie ma. Gwiazdy świecą zimno i ostro. Ulice miasteczka już dawno są ciemne i opustoszałe, ale światła na placu wciąż rytmicznie zmieniają kolor: czerwony, żółty, zielony. W centrali telefonicznej na nocnej zmianie siedzi samotnie ślepy Lupo i słucha głośniego cykania świerszcza. Pies drzemie u jego stóp, ale od czasu do czasu nastawia uszu, a po grzbiecie przebiega mu nerwowy dreszcz. Kiedy nadejdzie Elias? Człowiek, który zwykł pytać, umarł. Może teraz już wie. Niewidomy natężył słuch do granic możliwości i wsłuchuje się w szelest nocy, bo zdaje mu się, że z tchnieniem ciszy i granie świerszcza wkrada się lament zmarłych, rozdzierający i lekki jak mgła płynąca przez mgłę. Cienki płacz dopiero co zmarłych, niepokorzonych z losem, jest niewinny i pełen urazy jak płacz dziecka porzuconego na pustym. Zmarli dawniej szlochają miarowo, przeciągle, jak kobieta tłumiąca łzy w ciemności pod grubą kołdrą. Zmarli w starożytności, których obraz już dawno zatarł się w sercach ludzi, kobiety beduińskie, które skonały z głodu na tych wzgórzach, nomadzi, pasterze sprzed wieków ślą z otchłani ponury tren, głuchy i cichszy niż sama cisza: zwiastowanie pragnienia powrotu. W tle — głębokie, zduszone łkanie martwych wielbłądów, krzyk barana zarżniętego w czasach praojca Abrahama, popiół dawnego ogniska, bujność skamieniałego drzewa, które mogło zielenić się w wadi na wiosnę wieki temu, a jego tęsknoty nadal szmerzą w mrokach równiny.

Lupo wstaje, potyka się o psa, przeprasza, wymacuje drogę i zamyka okno w centrali. Noa zgasiła światło. Teo podchodzi bosko do drzwi sprawdzić, czy są zamknięte, i idzie przeszukać lodówkę. Czego szuka? Znowu nie ma pojęcia. Może tylko blade światło, które sączy się spośród jedzenia, i doznania panującego wewnątrz chłodu. Da za wygraną i wróci do siebie. Zapomni wyłączyć radio i wyjdzie na balkon posiedzieć trochę naprzeciw nagich wzgórz.

Po naradzie Teo pojechał do Palermo po pizzę, zamiast obiadu, żeby nie tracić czasu. Chciał zdążyć obwieścić gościa po Tel Kedar i pokazać mu dom Alhariziego. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, powiedziałam: Niewiele mogę wnieść do dyskusji o walkach Palmachu na Negewie. Wiem, że was było mało, wrogów mnóstwo, wygraliście tę wojnę i wszystkie inne wojny, nieważne, czy z oskrzydleniem, czy bez oskrzydlenia, które wymyślił Pini Finkel albo ktoś inny. Za to teraz przyniosę ci korespondencję, faktury i rachunki, żebyś zobaczył, co zrobiliśmy z pieniędzmi, jakie z

uporem przysyłasz nam co miesiąc.

Awraham Orvieto powiedział, że nie ma takiej potrzeby: po pierwsze, na razie prawie całą sumę wyłożył Teo. W ciągu najbliższych tygodni mu ją zwróci. Jest pewne opóźnienie w wypłatach gotówkowych. Zresztą i tak okazuje się, że czeka nas wiele przeszkód, chyba można powiedzieć, że kupno budynku było trochę przedwczesne?

Ale ja nie dawałam za wygraną: muszę mu przedstawić rachunki, które zebrałam, jeszcze nie wszystkie posegregowałam, i pokazać mu dokumenty i listy. To on mi powierzył tę funkcję i tylko jemu powinnam składać sprawozdanie. Zaraz przyniosę wszystko, co uda mi się znaleźć. A właściwie, wzięłam go za rękę, chodźmy do mojego pokoju, tam są papiery i będzie trochę chłodniej, bo rano nie otwieram żaluzji.

Jedyne krzesło w pokoju zajmowały ubrania i bielizna, którą Teo zerwał ze mnie w nocy. Posadziłam Awrahama na łóżku, a sama stanęłam między nim a nocnym stolikiem, próbując zasłonić sobą to, co było na krześle, włożyłam okulary i zaczęłam podawać mu kartkę po kartce. Awraham Orvieto oglądał z ukosa każdy dokument, ze zmarszczek na jego ujmującej twarzy emanowała ciekawość i sympatia, a może także lekkie zdziwienie, i składał stronę po stronie na kolanach. Po chwili usiadłam jednak koło niego na łóżku, bo czułam się jakoś dziwnie, gdy tak stałam w pokoju, do którego wnikało światło słońca w zenicie, zmiękczone i zniekształcone przez deszczulki żaluzji. Mój cień padał na niego i prawie mieścił w sobie jego ascetyczną postać. Usiadłszy, doszłam do wniosku, że jeszcze dziwniej jest siedzieć tuż przy ojcu chłopca na łóżku, w którym dziś w nocy pieściliśmy się z Teo, napawając się każdym doznaniem i powściągając wzajemnie z czułością. Odezwałam się jak do ucznia, który się właśnie zagapił: Sprawdzasz te papiery, Awraham? Czy tylko je przerzucasz? Myślisz o czymś?

Słuchaj, powiedział, przecież on lubił tylko twoje lekcje, może nawet miał słuch do literatury. Jeśli chcesz, spróbuję ci opowiedzieć pewien epizod. Ubiegłej zimy, w grudniu, byłem tu dwa i pół dnia po moim pierwszym wyjeździe do Ej-latu. Mieszkałem w hotelu Kedar. Ostatniego wieczoru, po zmroku, przyszedł po mnie do hotelu i poszliśmy na spacer. Zawsze podczas moich wizyt włożyliśmy się godzinę, dwie po ulicach, chociaż prawie nie rozmawialiśmy. Miał na sobie grube spodnie sztruksowe i elegancką kurtkę z brązowej skóry, taką jakie noszą lotnicy. Kupiłem mu ją po drodze, na lotnisku w Rzymie. Ja też narzuciłem kurtkę i wyszliśmy ramię w ramię, obaj byliśmy już wtedy jednakowego wzrostu. Wieczór był zimny, od strony wzgórz wiał silny wiatr. O ile się nie mylę, okrążyliśmy dzielnicę willową, przeszliśmy przez zapuszczony park za przychodnią i wyszliśmy koło Domu Założycieli. Był już podświetlony od frontu bladymi reflektorami ukrytymi gdzieś w krzakach. I nagle zaczęło padać. Niewygodnie ci, Noa. Podłóż sobie poduszkę. O tak. Wiesz, deszcz na pustyni w zimową noc jakoś przygnębia. Przygnębia jeszcze bardziej niż deszcze w ich zwykłej porze poza pustynią: zasmuca jak obelga. O wpół do dziesiątej wieczorem aleje się wyludniły, a ponieważ są takie szerokie, wydawały się tym bardziej opustoszałe. W świetle latarni widzieliśmy, jak wiatr zacina z ukosa strugami wody, każda kropla kłuła jak szpilka, a z ziemi unosił się zapach mokrego kurzu. Wszystkie żaluzje wokoło były spuszczone. Przez plac przebiegło parę postaci w torbach na głowach dla osłony przed deszczem.

Chyba Beduini. Zniknęli. Skryliśmy się pod blaszanym daszkiem kasy kina Paris. Blacha stękała pod naporem wody i wiatru. Potem kilka odległych błyskawic rozświetliło na moment zbocza nagich wzgórz na wschodzie. Deszcz nasilił się i przeszedł w burzę z cichymi grzmotami. Zdawało się, że na naszych oczach plac zmienia się w ciemną rzekę, a domy unoszą się na niej i odpływają we mgłę. Od strony wadi nadciągał szum powodzi, chociaż jeśli się zastanowić, mogło to być tylko drżenie daszku nad nami. Nie wiedzieć czemu uznałem, że ten potop kłóci się z moim odczuciem pustyni. Kiedy mu to powiedziałem, chyba uśmiechnął się krzywo, zresztą nie widziałem wyraźnie w żółtym, wilgotnym świetle, świetle, które nie mogło oderwać się od słabej żarówki nad zamkniętym okienkiem kasy. Nie wiem też, czy już wtedy był narkomanem ani na ile w to wpadł. Nigdy się tego nie dowiem. Kiedyś mi powiedział, że był oszczędny i bardzo ostrożny w słowach, i miał rację, tak było zawsze i tak było wtedy, kiedy stał mokry koło mnie w klatce z zimnych żelaznych poręczy pod drżącym, trzeszczącym na deszczu daszkiem kasy. W męskiej kurtce z mnóstwem suwaków, kieszeni i metalowych sprzączek, którą dla niego wybrałem, nie wyglądał w tamtym momencie jak zahartowany w bojach pilot, tylko raczej jak wątłe dziecko uchodźców, właśnie uratowane od utonięcia i owinięte w mundur polowy tego, kto je uratował. Stał tak, chwiejny i flegmatyczny, aż oparł się plecami o drzwi wyjścia z kina, a te otwarły się nagle na oścież pod jego cięża-

rem, może tego wieczoru przez przypadek zapomniano je zamknąć. Deszcz się wzmagał, więc przemoczeni schroniliśmy się do środka, do pustej sali, całkiem ciemnej poza słabo podświetlonym napisem „Wyjście” nad zamkniętymi drzwiami z prawej i lewej strony. Przed nami w dole białł pas ekranu. Szum deszczu docierał do nas przytłumiony, jakby z daleka, a pioruny słyhać było jak spod wody. Więc usiedliśmy, ja i mój syn, koło siebie, tak jak my teraz, w jednym z ostatnich rzędów. Zobaczyliśmy, jak bardzo zmokliśmy. I mimo że kolaniem mogłem wyczuć ciepło jego kolan, doznałem nagle wielkiej tęsknoty, jakby był nie koło mnie, tylko, jak by to powiedzieć, za ciemnymi górami. Kiedyś tak się mówiło. Zresztą w deszczową noc naprawdę wszystkie góry są ciemne. Immanuel, powiedziałem, słuchaj, skoro już tu jesteśmy, spróbujmy może trochę porozmawiać? Uśmiechnął się. Spytał, o czym. Może o twojej nauce? O mamie? A może pomówmy o przyszłości? Powolny, nieokreślony ruch głowy. Jeszcze ze dwa, trzy pytania z mojej strony, a z jego — monosylaby czy niejasne pomruki. Może ty to rozumiesz, Noa? W grudniową noc jestem sam z moim synem w opustoszałej, zimnej sali, stykamy się ramionami, a właściwie tylko kurtkami, i nie ma rozmowy. Żadnej rozmowy. A ja należę do pokolenia, jak by ci to powiedzieć, werbalnego. Chociaż w ciągu tych lat w Afryce chyba już zapomniałem, o czym się mówi, kiedy nie chodzi o załatwianie konkretnych spraw. I nagle on mruga oczami jak w dzieciństwie, i bierze głęboki oddech, jakby mówił: daj mi chwilę, i wyciąga z jednej z kieszeni warcaby magnetyczne, pudełko miniaturowych, kieszonkowych warcabów, które mu kiedyś kupiłem na jednym z lotnisk. W mizernym świetle, prawie w milczeniu, rozegraliśmy trzy partie z rzędu przy dźwiękach deszczu. Wszystkie trzy z nim wygrałem. Teraz, kiedy ci to opowiadam, wydaje mi się, że to był błąd: zrobiłem błąd, wygrywając wszystkie trzy. Na co mi te zwycięstwa? A z drugiej strony, jaki pożytek byłby z tego, że dałbym mu, powiedzmy, wygrać, udając i oszukując? Jak myślisz, Noa? Jako pedagog? Jako osoba wrażliwa? Nie lepiej było z nim przegrać w tę naszą ostatnią noc?

Zamiast dać Awrahamowi odpowiedź na te pytania, objęłam go, po czym zaraz cofnęłam rękę, bo odwrócił się i utkwil we mnie spojrzenie znużonych, niebieskich oczu, z których wzniósł się ten jego świetlisty uśmiech przytulnego pokoju, jaśniejący wśród ładnych zmarszczek i w mig przemijający, jakby uchylał i spuszczał zasłonę. Potem, powiedział, a jego chłopskie, szorstkie dłonie ruszały się, jakby próbował w nich uformować nie dający się zaokrąglić przedmiot, potem deszcz osłabł, mój syn wstał i odprowadził mnie aż do hotelu Kedar. Nazajutrz odleciałem do Lagos. Myślałem, że jeszcze napiszę do niego list... ale Teo już jest, wracajmy do salonu, zjedzmy pizzę i chodźmy zobaczyć, co chce nam pokazać. Chociaż mam wątpliwości, czy uda się w końcu stworzyć tu ten ośrodek, nie sądzę, a zresztą co się stanie, jeśli zrezygnujemy, uczcimy jego pamięć innym dobrym uczynkiem. Przepraszam, że cię zmartwiłem, Noa. Lepiej było nie mówić nic, przecież to od ciebie wiem, że mój syn mówił, że słowa to pułapka. Byliśmy nieostrożni. Szkoda.

Sześć tysięcy szekli będzie mnie kosztowała naprawa ogrodzenia. Warto też założyć bramę, żeby różne typy przestały się tam kręcić nocami. Nadal myślę, że nie powstanie tu ośrodek odwykowy, a jednak dalej próbuję sklecić jakiś kompromis. Na co mi to? Sam nie wiem. Bat Szewa Dinur dwukrotnie dzwoniła, pytając, gdzie szczegółowy opis projektu, który jej obiecałem. Nocami siedzę i czytani informatory i książki pozostawione przez Noe, zgodnie z jej zwyczajami, otwarte, grzbietem do góry na stole w kuchni, w przedpokoju, na kanapie, fotelu stojącym na balkonie, w ubikacji. Nauczyłem się już paru rzeczy, ale sedno sprawy wciąż mi umyka. Tymczasem trzeba pilnować domu przed dewastacją i podejrzanymi typami, gnieżdżącymi się tam najwyraźniej po nocach. Sam budynek zaczyna mi się podobać. Buszuję po nim sam z pół godziny każdego dnia ze szkicownikiem i ołówkiem w ręku. Notuję różne opcje: północne okno może być tu albo tam, da się je trzykrotnie powiększyć. W centralnym pomieszczeniu można wyburzyć sufit z gipsu, co da prawie sześć metrów od podłogi do strychu, i można na przykład zrobić podwieszoną galerię wokół, z podestem, kręconymi schodami i drewnianą poręczą.

Noi powiedziałem: Daj mi jeszcze tylko kilka dni.

A ona, chociaż niedawno prosiła: Teo, nie odbieraj mi wszystkiego, przestała się wtrącać. Jakby straciła zainteresowanie. Kiedy zaproponowałem, żeby jechała ze mną do Jerozolimy, powiedziała: Mam trochę gorączki, i ta głowa, dasz sobie radę sam. Gdy wieczorem, po powrocie, zacząłem jej opowiadać, co zdziałałem, powiedziała: Streszczaj się, Teo, przecież mnie nie obchodzi, kto jeszcze cię tam pamięta z czasów żrenicy oka ani jaki błąd zrobił Palmach w okresie wojny wyzwoleńczej. Właśnie teraz, kiedy zaczyna się chyba rysować jakaś szansa, zniknęła jej promienna radość,

jak mi się zawsze zdawało, wypływająca prosto z jądra życia. Przygasł niespokojny ogień, migoczący w jej oczach, ilekroć ferowała wyroki: ciepły czy zimny, dobry czy zły, sztuczny, spłoszony, jakby stopniowała cały świat. Zapał zastąpiło roztargnienie, jakiego nigdy u niej nie widziałem: wychodzi z domu rano i wraca w południe, łyka coś na stojąco przy otwartej lodówce, zostawia naczyńka na blacie i znów wychodzi. Dokąd jej tak pilno teraz, w wakacje, gdy szkoła jest zamknięta, a wszyscy nauczyciele porozjeżdżali się na szkolenia i zjazdy? Z ostrożności nie pytam. Albo przeciwnie: całe rano ogląda w telewizji program dla dzieci, za to wieczorem znika i nie ma jej do jędnastej. Już mógłbym podejrzewać, że znalazła sobie w końcu kochankę, ale właśnie teraz nocami zjawia się w moim pokoju w wonnej aurze delikatnych perfum z kapryfolium, wchodzi bosą, bezgłośnie i sunie do mnie w skromnej nocnej koszuli, nadającej jej wygląd pobożnej pensjonarki. Całuję na stojąco brązowe znamię pod linią jej włosów. Moje ciało napręża się całe, aby wsłuchać się w nią, wchłonąć ją, jestem jak stawiający diagnozę lekarz, albo jak ojciec, którego córce przytrafił się niewiadomy kłopot. Ujmuję jej rękę, postarzała na długo przed nią samą, i napełniam się pożądaniem, utkanym nie tyle z żądzy, co z czułości. Zamykam w dłoniach jej piersi i muskam palcami wnętrze jej ud jak sanitariusz, delikatnie poszukujący ogniska bólu. Po miłości natychmiast zasypia z głową pod moim ramieniem jak niemowlę, a ja leżę pół nocy czujny, ostrożny, nasłuchuję i oddycham płytko, żeby nie spłoszyć jej snu. Chociaż sen ma głęboki.

Parokrotnie zastałem ją w kuchni, na balkonie, a raz nawet w Californii, z pewną smagłą dziewczyną imieniem Tali czy Tal, chyba jej uczennicą czy była uczennicą, drobną, filigranową, podobną do młodej Indianki w wytartych i połatanych dżinsach. Ja bym ją ubrał w ogniste czerwone spódnice. Z daleka wyglądają na pochłonięte rozmową, ale kiedy się zbliżam, milkną, jakby czekały, aż odejdę i zostawię je same. A ja wcale nie mam ochoty odchodzić. Coś mnie urzeka w tej Tali, może właśnie dlatego, że sprawia wrażenie, jakby trochę się mnie obawiała, kuli się na krawędzi krzesła, obrzuca mnie wzrokiem czujnie, w napięciu, jak zagrożone zwierzę, jakby rozpoznawała we mnie niebezpieczeństwo. To powoduje, że właśnie przysiadam się do ich stolika. Rozmowa natychmiast się rwie. Zapada niechętnie milczenie. Po krótkim przesłuchaniu zdołałem wyciągnąć z Tali, że w listopadzie ma iść do wojska. Ma jeszcze przed sobą maturę z matematyki, przygotowuje się do niej, bierze korepetycje u Gusty Ludmir, tej więdźmy, ale co to za beznadzieja, logarytmy, w życiu tego nie zda. Doszedłem także, że jest córką Pauli Orlew z butiku Dizengoff Center Południe, gdzie nie tak dawno o mało nie kupiłem Noi sukienki w stylu ludowym. Co ją do nas sprowadza? Nic szczególnego. Po prostu. A co sądzi na przykład o sytuacji na terytoriach okupowanych? O przyszłości państwa? O życiu w Tel Kedar? O liberalizmie? O życiu w ogóle? Jej odpowiedzi ani mnie ziębią, ani grzeją. Są nijakie. Nic nie zostaje w pamięci. Może poza tym, że jej kotka się okociła i Tali ma kociątko do oddania. Nalać wam czegoś zimnego do picia? Nie, dziękuję. Przed chwilą piły. Może winogron? Nie, dziękuję. Skoro tak, pewnie wolicie, żebyśmy was teraz zostawił same? Zapomniałeś kluczy ze stołu. I weź sobie gazetę. Do zobaczenia.

Ale ja wcale się nie spieszę z odejściem. Wręcz przeciwnie. Nie pali mi się. Rozsiadam się na krześle i pytam, co mówi się w mieście, powiedzmy, o nowym kwartecie. Albo o powiększeniu parkingu koło świąteł. A co z planami wakacyjnymi Tali? Przed poborem? Nie ma chęci uciec daleko od logarytmów, pozwiedzać trochę wielki świat, jak wszyscy? Dlaczego nie? Co w tym złego? Może chce się czegoś dowiedzieć o Ameryce Łacińskiej?

Noa wtrąca się: Bat Szewa Dinur szukała cię przez telefon, Teo.

Odczytuję aluzję i odpowiadam: Szukała mnie. Świetnie. Skoro tak, to posiedzę tu z wami, poczekam, aż znowu zadzwoni. Nie przeszkadzajcie sobie. Rozmawiajcie. Poczytam sobie gazetę.

Raz, niby żartem, spytałem Noe w czasie porannej kawy: O czym tak szepcesz godzinami z Indianeczką? Zwierza ci się ze swoich kłopotów sercowych? Może znów chodzi o narkotyki? Kolejne upamiętnienie na widoku? Noa poczerwieniała i powiedziała: Teo. Dosyć. To się źle skończy. A kiedy zobaczyła, że nie ustępuję, wstała i wzięła się do prasowania. Mimo że zwykle to ja rządę żelazkiem i deską.

A więc się usunąłem, przynajmniej na jakiś czas. Przy okazji dopadnę tę Tali i pogadam z nią w cztery oczy. Albo któregoś dnia pójdę sam do butików jej matki i w ramach niespodzianki kupię Noi lekką spódnice w barwny, geometryczny deseń.

Zresztą mam teraz trochę własnych spraw: Natalia, dziewczyna z Rosji, która w piątki sprzątała mi biuro, odesłała klucz, informując, że już nie będzie mogła u mnie pracować. Tym razem postanowiłem nie dawać za wygraną, przeprowadziłem śledztwo, znalazłem numer do sklepu w dzielni-

cy baraków, gdzie mieszka, a tam, po dłuższych perswazjach, zgodzili się pójść ją zawołać do telefonu. Wytrwale stawiałem czoło jej nieśmiałości, dobrym manierom, obawom i trudnościom językowym, aż okazało się, że jej mąż, który jest bezrobotny, znów ma napady zazdrości i najwyraźniej zabronił jej u mnie pracować. Odpaliłem więc chevroleta i pół godziny krążyłem wśród baraków, chcąc odkryć, gdzie rezyduje ten mąż, miałem zamiar przemówić mu do rozumu, aż tu ze słów sąsiadów wynikło, że Natalia uciekła od niego do teścia, który wynajął pokój tuż przy placu, niecałe dwie minuty od mojego biura. Po dwóch dniach mąż też przeniósł się za nią do klitki ojca. Zanim znalazłem to miejsce, Natalia uciekła z powrotem do mieszkania w barakach. Dopiero po pięciu minutach krzyżowych pytań, wyrzaskiwanych zza zamkniętych drzwi, mąż i teść zgodzili się wreszcie zdjąć łańcuch i otworzyć. Okazało się, że swoim najściem przerwałem im grę w karty. Miałem przed sobą dwóch silnych, z lekka łysawych mężczyzn, podobnych do siebie jak bracia, grubokościstych, o okrągłych czaszkach, pokrytych szczecinią twarzach i muskularnych ramionach ciężarowców. Obaj mieli na sobie czarne trykotowe koszulki i odsłaniali w uśmiechu rzędy ostrych zębów. Kiedy podjąłem próbę rozmowy o Natalii, wybuchnęli nie wiedzieć czemu gromkim rechotem, jakby mnie przyłapali na gorącym uczynku, klepali mnie po plecach, wyjaśniali coś po rosyjsku i w jeszcze innym, nie znanym mi języku, i znowu po rosyjsku, i znów długo się śmiali, odsłaniając drapieżne zęby i usilnie mnie namawiając z żywą 'gestykulacją i niemal agresywną serdecznością, żebym zagrał z nimi w pokera. Zostałem tam jakąś godzinę, wypłem dwa kieliszki i przegrałem czterdzieści szekli.

Odtąd wpadam tam czasem wczesnym wieczorem, Noi na pewno nie ma jeszcze w domu, a co do biednej Natalii — widocznie wyjechała albo uciekła do siostry do Chacor w Galilei. Tyle z nich wyciągnąłem po dwóch kolejnych przegranych. Lubię spędzać godzinę, dwie w towarzystwie tych hałaśliwych mężczyzn, prawie ich nie rozumiem, ale ich grzmiący śmiech, klepanie po ramieniu, wrzaski, trącanie łokciem pod żebra, zaniedbany, niski pokój z wnęką kuchenną, skąd zalatuje smażonym tłuszczem, to wszystko mi się podoba. W czymś mi to przypomina noce wśród nieznanym przy ogniskach przed hotelikami w odludnych wioskach prowincji nad Morzem Karaibskim. Często się pieprzonym śledziem, zadziwiająco smacznym, szklanką wódki, przegrywam pięćdziesiąt czy osiemdziesiąt szekli, czasem przyłączam się do ich wulgarnego śmiechu, kiedy przypominają sobie dowcipy, których nie rozumiem. Już zapomniałem, że moim pierwotnym zamiarem było rozwiać ich podejrzenia i skłonić męża, żeby ściągnął z powrotem Natalię i żeby wróciła sprzątać moje biuro co piątek. Zdaje się, że oni obaj usiłowali wrzaskami i drwiącymi gestami zobrazować, że Natalia jest w ciąży, już nie ma co za nią latać, i że także jej siostra z Galilei wkrótce spodziewa się dziecka. Zresztą trudno powiedzieć, czy dobrze zrozumiałem, czy tylko dopisałem własną historię do ich uśmieszków i ruchów. Właściwie co mi do tego?

Czasem przypominam ją sobie: siedemnastoletnia kobieta-dziecko, złotowłosa, delikatna, wstydliva, spowita niemym strachem, ma dojrzałą talię i piersi, ale na jej twarzy błędzi, nawet gdy wydaje jej się, że na nią nie patrzę, odwieczny, rozkoszny uśmiech zagubienia czy dziecięcego zdziwienia. Kiedy się nie uśmiecha, wygina usta w podkowę jak do płaczu. Gdy zadawałem jej proste pytanie, czy ma rodziców, czy jest jeszcze woda w czajniku, bladła, wzdrygała się, jakby właśnie poważnie naruszyła dobre maniery albo jakbym jej nagle złożył nieobyczajną propozycję, i szeptała słabe przeprosiny, aż żałowałem pytania i nie czekając na jej odpowiedź, odwracałem się do niej plecami, żeby nie mogła dostrzec targającej mną żądy, która mnie w jednej chwili zmieniała w gwałtownego nosorożca. Jak tylko się dowiedziałem, że jej mąż i jego ojciec byli mechanikami w Mołdawii, a od przyjazdu są bez pracy, zadzwoniłem do Mukiego Pelega z prywatną prośbą, żeby się rozejrzył, czy nie da się im czegoś znaleźć, przynajmniej na jakiś czas. Może gdzieś u wykonawców robót gruntowych, z którymi dzień w dzień przesiaduje przy stoliku Uczonych w Piśmie w kawiarni California. Obiecał mi to załatwić, co za pytanie, jak rakietą, chociaż niezbyt mi się to należy po tym, jak ich z Lud-mirem wylałem z komitetu, robi to właściwie nie dla mnie, ale dla zjednoczenia wygnańców, jak rzekła stewardesa do Żyda, który nakłaniał ją, żeby zamknęła się z nim w toalecie. Zafundował mi na dokładkę opowieść o fabryczce piór kulkowych, jaką zamierza założyć do spółki z Dubim Weizmanem i z Pinim Bozem od butów, naprawdę pionierski pomysł, elektroniczny mechanizm, jak zapomnisz, gdzie położyłeś swoje pióro, wystarczy, że zagwiżdżesz, a ono ci zapika w odpowiedzi, Bat Szewa sprowadzi jeszcze jednego inwestora, może ja i Orvieto też chcemy coś w to włożyć? To się nam zwróci dwukrotnie w ciągu najwyżej trzech lat, i to jeśli będziemy działać ostrożnie, bo w zasadzie są szansę podwoić wkład w dwa i pół roku, no więc?

W sobotę zacząłem spisywać główne punkty opisu projektu. W jednym z informatorów Noi przeczytałem, że w Skandynawii od dawna istnieją stacjonarne ośrodki odwykowe dla młodzieży poniżej osiemnastu lat, i to właśnie w małych skupiskach, z dala od wielkich miast. Są też liczne dowody na to, że odnoszą one sukcesy, a nawet stanowią cel społeczno-wychowawczy, wokół którego skupia się życie środowisk lokalnych, czasem też tworzy się model znakomicie funkcjonującej społeczności terapeutycznej, wspierającej, świadomej swej misji i czerpiącej z niej dumę. Najbardziej odpowiednia dla Tel Kedar wydała mi się formuła eksperymentu społecznego, połączonego z badaniami naukowymi, a nie kolejnego punktu, gdzie wydaje się substytuty narkotyków, adolan czy metadon. Co do strony ekonomicznej, nie możemy być oczywiście Skandynawią, ale sensownie by było zacząć od dzieci z zamożnych rodzin z centrum kraju, które bez trudu poniosą opłaty do tysiąca dolarów miesięcznie. Zaczniemy, przykładowo, od siedmiu czy ośmiu takich podopiecznych, przy czym warto do nich dołączyć za symboliczną opłatą kolejnych dwóch, trzech pacjentów miejscowych, i to z rodzin potrzebujących. Posprzątam trochę własne podwórko. Dzięki temu nasza pozycja w oczach opinii społecznej powinna się umocnić. Kiedy jednak poprosiłem Noe, żeby przejrzała mój zarys, powiedziała: Nie każ mi czytać brudnopisu. Na razie nie dawaj mi nic. Nie teraz, Teo. Nie widzisz, że próbuję w spokoju posłuchać muzyki. Bądź tak dobry i nastaw mi płytę od początku.

Na moment wzięła mnie chęć, żeby przypomnieć jej, że nadal co miesiąc bierze czek na trzysta dolarów od Oryieto, za pośrednictwem mecenasa Arbela, właściwie ciekawe za co, ktoś może kiedyś zapytać, co robi z tymi pieniędzmi. Pół dnia baluje teraz z tą Indianeczką, Tal czy Tali. Z okna swojego biura widzę, jak wchodzi razem do fryzjera, wychodzą z dziennego seansu w kinie Paris, siedzą i poszeptują w kawiarni California przy stoliku dla zakochanych, za filarem. Czasem wstaję, zamykam biuro, schodzę po „Ma'ariv” do Gilboi i też wpadam do Californii: nie przysiadam się do nich, tylko zajmuję swój punkt obserwacyjny z boku, przy kasie. Dubi Weizman, jeżeli nie ma pracy, wchodzi parę minut po mnie. Brzuchaty, włochoaty, spocony, w zakurzonych sandałach, odwiecznej czapce z daszkiem greckiego kapitana, ze lśniąco kotwicą na środku i złotym otokiem, siada, zamawia dla nas półmisek serów, oliwki i zimną colę, wzdycha i stwierdza: Kasyno, Teo. Kasyno nas uratuje. Żeby to Tei Kedar przestało być cmentarzem. Kasyno ściągnie do nas turystów, urlopowiczów, dziewczyny. spłyną tu wielkie pieniądze, a za nimi kultura Zrozum, kasyno to dla mnie tylko środek. Cel to przyciągnąć kulturę. Jak się mówi lobby po hebrajsku? Grupa nacisku? Kultura, Teo, bez kultury wszyscy żyjemy tu jak bydłota. Tylko nie bierz tego do siebie. Pomyśl nad tym.

Przedwczoraj powiedział mi: Ile razy wyskoczę do Tel Awiwu, widzę, że miasto się trochę do nas przybliżyło. Holon przylgnął do Rizon. Rizon ciągnie w kierunku Aszdodu. Aszdod łączy się z Kiriat Gat. Za sto lat Tel Awiw dotrze do nas, zapuka nam nagle w okno o piątej rano i powie: Dzień dobry, przyjaciele, obudźcie się, patrzcie, przyszedłem do was, wygnanie dobiegło końca. Ale nim to nastąpi, tkwimy tu przywaleni górami. Bodajby się spaliły te góry. Można się przez nie udusić. Chodź, lepiej strzelimy sobie małą partyjkę szachów. Nie masz czasami dosyć, Teo? Pomyśl nad tym?

Ludmir łapie mnie czasem na światłach albo pod pocztą, zapewnia, że poruszy niebo i ziemię, że będzie walczyć do upadłego z gniazdem plugastwa, które zamierzam tu zaflancować, Sodoma i Gomora, i pali się ze wstydu, że sam na krótki czas wstąpił pod wpływem zaćmienia do komitetu, i uprzęda mnie z dobrego serca, jeszcze zadrżymy. Parę razy nachodziła mnie nagle w kuchni chęć powiedzenia Noi czegoś, co ją naprawdę zabolę. Zabolę jak policzek. Na przykład, powiedz no, czy ty w ogóle widziałas w życiu narkomana? Chociaż jednego? Z daleka? Chyba że przez lornetkę. Jak twój ojciec, który siedząc na wózku, czuwał z dachu nad światem przez swój teleskop. Właściwie, powiedz szczerze, czy byłabyś w stanie odróżnić narkomana od kogoś, kto jest zaspany, albo od zwyczajnego niedorozwoja? Jak śmiałaś podjąć się próby realizacji projektu z dziedziny, na której się znasz słabiej niż ja na kosmetykach Eskimosów? I która ani przez chwilę tak naprawdę cię nie obchodziła? Tylko po to, żeby nie być w domu? Bo masz potąd uczenia literatury całymi dniami? Zawracasz głowę, ogłupiasz całe miasteczko, a kiedy nadchodzi czas, żeby wziąć się do czarnej roboty, postanawiasz zmienić zabawę i zostawiasz mi posprzątanie porozrzucanych zabawek?

Powstrzymałem się.

Nie ma sensu się kłócić.

Zwłaszcza że ja też jej znikam: spędzam czas z mężem Natalii i z jego ojcem przy śledziu i wód-

ce, którą już przywykłem przynosić z sobą. Zajadam się gęstym barszczem i pierogami. Nagle zaczynam im streszczać po kolei, bez użycia języka, stosując pantomimę i urywane słowa, historię syjonizmu, bagna, podziemie i nielegalną imigrację, Brytyjczyków, nazistów, zwycięstwa, Ścianę Płaczu, osadnictwo, Entebe. Spoglądają na mnie bez zdziwienia, ale i bez większego zainteresowania, szerokie, powolne szczęki nie przestają żuć nawet na chwilę, obaj parszczą czasem dzikim śmiechem, a ja nie mam pojęcia, jak się mają te wybuchy śmiechu do mojej prezentacji. Ostatnim razem nawet zarobiłem u nich w pokera pięćdziesiąt szekli. Dusili się ze śmiechu, klepali po udach, walili mnie po plecach i po karku, nie mogli przestać. Ale we wtorki dalej osiadam na dwie godziny w Kalifornii i jak przez te wszystkie lata, gram z Dubim Weizmanem w szachy. A po południu prawie codziennie włóczę się sam po zrujnowanym domu. Co prawda już bez notesu i bez ołówka. Tak jakbym stracił wątek.

Zadzwoił Muki Peleg, podniecony: udało mu się załatwić dla moich obu muzyków okres próbny, tydzień u Jacques'a Ben Lulu z warsztatu Ben Elul, tego sprawiedliwego, tyle że to okres próbny za dość symboliczną zapłatę, żeby mogli pokazać, co potrafią, jak rzekła królowa grecka do swoich trzech Turków. Nie znasz tego, Teo? W porządku. Poznasz przy okazji. Zapamiętaj tylko, że Greczynka i Turek to jak Ludmir i kamieniołom. Najważniejsze, żebyś im powiedział, żeby byli tam jutro o siódmej. Jaki dla ciebie jestem? Nie gaon z Wilna w przebraniu wiejskiego cadyka?

Powiedziałem: Nie ma drugiego takiego jak ty, Malachia.

A Muki: I całe szczęście.

Mimo popękanych płytek, pajęczyn i grubej warstwy szarego pyłu, mimo wyrwanych okien, połamanych szaf ściennych, dawno rozbitych i rozkradzionych sedesów i umywalek, dachu stękającego pod naporem pustynnego wiatru, mimo brudnych strzykawek i poplamionych kłębków waty, i smrodu moczu, i pozasychanych plam wilgoci, stopniowo się przekonuję, że ten dom to wspaniały nabytek, bo został zbudowany bez oszukaństwa: solidnie i z rozmachem. Pokoje są przestronne i wysokie. Ściany grube. Wszystkie pokoje wychodzą na hall wewnętrzny, zupełnie sporą salę w samym środku budynku. Lubię ten mroczny hali, gdzie nawet w najcięższe upały utrzymuje się lekki chłodek. Pod względem sposobu budowania ten dom kojarzy mi się z przedwojennym domostwem arabskim albo ormiańskim. Albo z kolonią niemiecką w Jerozolimie. Głębia lukowatych okien. Kręty korytarz. Terakota. Na rozległym podwórzu rośnie gęsto ze dwadzieścia sosen, których pnie wiatry z południa przygięły ku północy. Ich wierzchołki zwieszają się nad popękaną dachówką, cienie spowijają dom. Każde najłżejsze nawet tchnienie wiatru wprawia je w subtelne drgania. Do wnętrza wsącza się światło przyćmione przez igły sosen, za plecami masz szemrzący szept, stłumiony gwizd, a płochy strumień pstrych cieni drga na ścianach w świetlistych medalionach. Ten szelest budzi czasem napięcie, masz wrażenie, jakby w sąsiednim pokoju ktoś skradał się na palcach. Wszędzie wokół sosnowego lasku włada zbielałe światło lata, ale ogród i dom, wydzielone, stoją w cieniu, jak enklawa zimy. Schodził na własne dno, mówiła Noa, a Awraham Orvieto gładził parapet okna i milczał.

Wczoraj o szóstej rano załadowałem do auta grabie, sekator i piłę, wypożyczyłem z warsztatu Ben Elul obu rosyjskich atletów i siedem godzin sprzątaaliśmy zaśmiecony zagajnik, wycinając zbędne gałęzie. W południe zjawił się Muki z Lindą, właśnie dotarła do nich wieść, że zacząłem akcję „palisada i wieża strażnicza”, i postanowili się zgłosić do pomocy, ale już było po wszystkim. Podparliśmy nawet drągami pnie sosen, które zdawały mi się zbyt krzywe. W czwartek przyjedzie kolega Dubiego Weizmana, Beduin, zacznie budować nowe ogrodzenie i osadzi żelazną bramę.

Potem będę musiał odnowić cały budynek i przystosować go do nowego przeznaczenia.

Jakie to przeznaczenie? Już nie mam jasnej koncepcji. Zrzuciłem opis projektu. Straciłem wątek.

Linda wciąż nieodpłatnie pisze listy, które dyktuję jej w swoim biurze, i ślemy je do różnych władz, ale pomysł rozmywa się, jakby utracił sens. Tymczasem leje się na nas jak lawa gniew Ludmira: w piśmie lokalnym, w kolumnie „Głos wołający na puszczy”, nazwał mnie podejrzanym tympem. Kwoty przekazywane przez Awrahama Orvieto określił jako brudne pieniądze handlarza narzędziami zniszczenia. Powiniennem był zredagować i opublikować odpowiedź, tymczasem nie znajduję odpowiedzi. Straciłem wątek. Orvieto też zniknął: może już wrócił do Nigerii. Tym razem najwyraźniej zabrał ze sobą swojego adwokata. Pieniądzy ciągle nie ma. Może ich nigdy nie było i nie będzie. Za to niespodziewanie Natalia wróciła do nas z Galilei, ciężarna i jeszcze ładniejsza, niż ją zapamiętałem. Z wyrazem niewinności i zmieszania podaje mi szklankę parzącej, bardzo mocnej

herbaty, sprawiając tym samym, że mąż i teść nie wiedzieć czemu zanoszą się chrapliwym śmiechem, mnie też, ku mojemu całkowitemu zdumieniu, porywa nagle ten śmiech, ona staje we łzach, a ja zamiast się wtrącić, zamiast próbować jej bronić czy ją pocieszyć, rozpalam się pożądaniem. Kiedyś słuchałem audycji, nadawanej z Londynu, o życiu i miłościach Almy Mahler, zresztą dość banalnej. Prowadząca wyjaśniła słuchaczom, jak widział Almę Mahler świat mężczyzn, a potem opisała, jaka była naprawdę. Ta prawda wydała mi się do obalenia, ale nie mogłem dojść, czym ją należy zastąpić. Skąd można wiedzieć.

Zapisałem na zwitku papieru: Meble. Wyposażenie. Problem ogrzewania zimą. Kuchnia czy dostawa jedzenia? Hydraulika. Przystawienie ścian. Elektryczność. Kanalizacja. Podłączenie hydrantów. Dach. Terakota. Kraty? Szafy wnękowe. Telefon. Gabinet do terapii? Klasa? Kącik telewizyjny? Wideo? Komputery? Klub? Biblioteka?

Wszystko to jeszcze zanim dojdziemy do samych planów uruchomienia ośrodka. Ale — uruchomienia czego? I z kim? W tym miejscu opada we mnie zasłona, jak mój wewnętrzny monsun. Jakby ten pusty budynek stał się celem sam w sobie. A może nadszedł czas zamknąć się wreszcie z Orvieto w cztery oczy. Spróbować raz na zawsze, do końca, zgłębić jego zamiary. W Tel Awiwie? Albo właśnie w Lagos? Może już bardzo niedługo zbiorę się i polecę do niego na dwa dni. Bez jej wiedzy. Ale z jakiegoś powodu wciąż wzdramam się przed tym pomysłem. Gdy próbowałem przez chwilę wyobrazić sobie spotkanie z nim sam na sam bez niej, ten obraz wywołał we mnie lęk pomieszany ze wstydem. Jakbym planował ją zdradzić. Jakbym nizał kłamstewka, żeby połączyć się z inną.

Dlatego też zadzwoniłem do Dubiego Weizmana, żeby tymczasem odwołał beduińskiego fachowca i robotników. We czwartek to za wcześnie. W przyszłym tygodniu też: po co mam stawiać płot wokół czegoś, co nie istnieje? Wokół mrzonki? Chociaż przecież nie zapomniałem o jej sparaliżowanym ojcu, który siedział latami na wózku inwalidzkim na dachu, coraz to bardziej ociężały, jak pokonany zapaśnik, i śledził przez szkła lornetki postępy świata. Gdyby dach miał barierkę jak się należy, może starzec żyłby do dziś. Spychacze nie zburzyłyby domu na końcu osady, kolekcji widokówek nie oddano by wegańskiej farmie, a ona do dziś byłaby tam, a nie tutaj, wciąż by się nim zajmowała, troszczyła o niego, śpiewała, karmiła, usypiała i przewijała po pięć razy każdego dnia.

Nowa sukienka, którą kupiliśmy w Tel Awiwie w dniu podpisania umowy, ma drobny defekt w kroju: nierówno leży na biodrach. Prędzej czy później będziemy musieli zwrócić się do Pauli Orlew, żeby to poprawiła. Nie wiedzieć czemu myśl, że jej palce będą dotykać tej sukienki, wzbudziła we mnie wstręt. Czy Indianeczka Tal nie nauczyła się czasem od matki, jak się poprawia linię bioder? A może Natalia, moja ciężarna dziewczyna, jakimś cudem zna się na szyciu? Ale dzisiaj wieczorem Noa, wkładając sukienkę, nie zwróciła zupełnie uwagi na ten defekt. Szliśmy na prywatny koncert kwartetu imigrantów w domu doktora Dresdnera w dzielnicy willowej. Wychodząc, prawie że zatrzymałem ją w drzwiach, aby wskazać nierówność na biodrach. Wreszcie jednak postanowiłem nic nie mówić, żebyśmy się nie spóźnili, ale także dlatego, że w tej skazie, niemal niewidocznym defekcie, było coś subtelного, wzruszającego. Przecież całkiem możliwe, że tylko mi się zdawało, że była tam drobna skaza. Jeśli jednak istnieje, to nic, niech sobie będzie, aż Noa ją zauważy. A jeśli nie zauważy, nie szkodzi.

Na lewym kolanie nosi szorstki, elastyczny ochraniacz, pamiątkę po dawnym urazie. O północy, po powrocie z wieczoru muzycznego u Julii i Lea Dresdnerów, odezwał się ból. Lato w pełni, a on już zaczyna odbierać dalekie sygnały zimy. Posadziłam go na fotelu, zdjęłam ochraniacz i próbowałam rozmasować kolano. Położył mi dłoń na ramieniu i powiedział: Tak, rób tak dalej, to działa. Teo, powiedziałam, kolano jest trochę gorące, gorętsze niż to drugie, przejdź się jutro do przychodni. Nie pali się, powiedział, przecież to przychodzi i mija.

Wstał, nalał herbatę ziołową i zgasił górną lampę. Siedzieliśmy jeszcze kwadrans w słabym świetle dochodzącym z kuchni. Okna i drzwi balkonowe stały otworem przed nocnym wiatrem. Ze wschodu, od strony wzgórz, dobiegł stłumiony skowyt lisa, a na podwórkach rozszczękały się z oburzeniem świętoszkowate psy. Potem uprałam ochraniacz w mydle i w letniej wodzie, wiedząc, że pustynne powietrze wysuszy go do rana. Po praniu wzięłam prysznic, Teo wykapał się po mnie, pożegnaliśmy się i poszliśmy spać. Gdy prawie zasypiałam, a może nawet już spałam, dobiegł mnie z jego pokoju wyciszony kobiecy głos, w którym kryło się jakieś niejasne poruszenie: nocne wiado-

mości z Londynu.

Nazajutrz poszłam z Tal na dzienny seans w kinie Paris. Film o zdradzie i zemście. Po filmie przesiedziałyśmy półtorej godziny w Californii, popijając kawę mrożoną. Stamtąd wzięłam ją do sklepu Boża. Postanowiłam jej kupić nowe sandały, na obcasie. Czasem wygląda zupełnie jak dziesięcioletnie dziecko, zwłaszcza gdy się na nią patrzy od tyłu. Indianeczka, powiedział Teo, nad czym to tak radzicie całymi dniami, czy ona nie ma przyjaciół w swoim wieku?

Wybrałyśmy jasne sandały z klamerką w kształcie motyla z boku. Tal mi nie chciała pozwolić za nie zapłacić, ale ja się uparłam i zapłaciłam.

Pini Bozo powiedział: Dla ciebie też mam coś wyjątkowego. Spróbuj na przykład te. Co ci szkodzi, tylko je przymierz.

W końcu sobie też kupiłam nowe sandały, płaskie, kremowe, z paseczkami z plecionki.

Wychodząc, spotkałyśmy Teo koło świateł. Zaproponował nam kawę mrożoną w Californii. Parsknęłyśmy śmiechem, mówiąc: Dzień dobry, spóźniłeś się, właśnie stamtąd wracamy. Spytałam go, co sądzi o naszych nowych sandałach. Wzruszył ramionami, powiedział: Ładne są, fajne, i podejrzliwie zmrużył oko, jak skąpy wieśniak. A dokąd to teraz idziecie? Znów wzruszył ramionami i dodał: No dobrze. Przepraszam. Wykreślałam to pytanie. Żebyś tylko nie zapomniała o maturze z matematyki. O logarytmach. Właściwie ja też mógłbym cię przy okazji pouczyć trochę do egzaminu. Zdaje się, że coś jeszcze pamiętam. Do zobaczenia.

Co on robi całymi dniami? Nowych prac chyba prawie nie ma. Lato. Ciągłe nie skończył kilku starych zamówień. Co rano o ósmej trzydzieści otwiera biuro, zapala lampę i siedzi samotnie nad stołem kreślarskim, pod zdjęciem Ben Guriona, ślącemu stanowcze spojrzenie w kierunku bezkresu pustyni. Gryzmoli jakieś figury. Albo stoi w milczeniu w oknie i obserwuje życie placu. O dziesiątej schodzi do Gilboi po gazetę. Obchodzi plac wokół i wraca. Niedawno mi opowiadał, że z własnej inicjatywy rozwiązał po części problemy rodzinne swojej sprzątaczkii: załatwił czasową pracę dla jej męża i teścia. Właściwie to Muki załatwił, on tylko wykonał telefon. Nie pytałam go o szczegóły, chociaż byłam ciekawa, żeby nie miał wrażeń, że jest kontrolowany.

Rano siedzę z godzinę czy dwie w bibliotece, przy stoliku w kącie, koło klimatyzatora, a Amalia, bibliotekarka, zasuszona staruszka, szara i pomarszczona, o wargach wessanych do środka jak w pogardliwym uśmiechu, drzemie za kontuarem, wydając od czasu do czasu lekkie, urywane chrapanie. Budzi się, wbija we mnie ponury wzrok, i znów głowa jej opada, a oczy się przymykają z wyrazem tłumionego cierpienia. Był czas, że kierowała miejskim wydziałem zieleni, sadziła aleje palmowe, wpadła na pomysł stworzenia Parku Założycieli, adoptowała dziecko, beduińskiego sierotę, który dorósł i opuścił Izrael, wplątała się w konflikt z Bat Szewą i musiała przejść na wcześniejszą emeryturę, ciężko zachorowała na cukrzycę, a z początkiem roku zgłosiła się do pomocy w odnowie biblioteki. Ale czytelników ubywa. Jasną, uprzętniętą czytelnię Amalia wypełniła dziesiątkami zadbanych roślin w doniczkach hydroponicznych z drobnym, połyskliwym żwirkiem, podlewanych mieszanką nawozów sztucznych i minerałów, sączącą się z kroplomierza, jakby biblioteka z wolna zmieniała się w cieplarnię albo w las tropikalny, pełen splątanych pnączy i wybujałych paproci, oplatających półki, wciskających się między tomy, przekładających jaskrawe, sztuczne światło na mroczny, roślinny sok. Tyle że nikt poza mną, kilkoma emerytami i paroma młodymi odmieńcami tu nie przychodzi. Pustki. Rano jest tutaj tylko chora bibliotekarka i ja.

Książki o narkotykach, nałogu i odwyku, odkładane w ostatnich tygodniach dla mnie na specjalnej półce, zostały porozkładane z powrotem po regałach. Muszę teraz przygotować lektury na nadchodzący rok szkolny. Ale nie pali się. Zamiast poezji Bialika wybrałam kilka książek o życiu sławnych muzyków. Może dlatego, że Julia i Leo Dresdnerowie z gabinetu dentystycznego dzwoniли i prosili, żebym wstąpiła do rady na rzecz absorbcji muzyków, przybyłych niedawno z Rosji. Jest pomysł, żeby założyć małe konserwatorium z udziałem szkoły, Rady Miasta i Rady Robotniczej. Może uda nam się w to włączyć Ministerstwo Absorbcji i Kultury. W przyszłym tygodniu umówiliśmy się na spotkanie z Bat Szewą. Ja mam ułożyć list do garstki miłośników muzyki klasycznej, żeby ustalić, kto zgodzi się być sponsorem. Linda podjęła się go przepisać, a Ludmir i Muki rozesłał go w pięćdziesięciu kopiach.

Siedzę w letniej sukience w kwiaty w swoim kącie przy ostatnim oknie, kartkuję książki, przystając to tu, to tam, i czytam po parę stron o chorobie i śmierci Mozarta, o dziwnej miłości Brahmsa do Klary Schumann, o tęgawym, wstydlwym Schubercie, którego chyba nigdy nie kochała żadna kobieta oprócz matki, a on sam mówił o swoich utworach, że są średnie i przemijalne, tylko raz w

życiu wystąpił z koncertem przed publicznością i umarł na tyfus w wieku trzydziestu jeden lat. Mój wzrok prześlizguje się z książki na mroczne rośliny. Nagle przypominam sobie zbiór widokówek mojego ojca, Amalia patrzy tępo przed siebie podkrążonymi oczami, skulona jak w paroksyzmie bólu. Rzadkie i suche włosy i zapadnięta skóra na policzkach sprawiają, że w sztucznym świetle jej twarz wygląda jak twarz zmarłej. Muki Pe-leg mi opowiadał, że kiedyś, w latach pięćdziesiątych, została wybrana w Beer Szewie Miss Pustyni, rozwiódła się, znów wyszła za męża, rozstała się, tańczyła na beczce w kostiumie kąpielowym podczas pochodu z okazji Dnia Wina, zawracała w głowie wszystkim mężczyznom, uwodziła robotników z wierceń, żyła ze znanym poetą. Minęły lata, zniszczyła ją choroba, a teraz za plecami nazywają ją czarownicą.

Klimatyzator brzęczy i lekko trzeszczy. Z daleka, od strony ulicy Szareta, dobiega warkot ciężkiego młota pneumatycznego. A jednak jakimś cudem czytelnie wypełnia głęboka i doskonała cisza: kiedy wertuję książki, słyszę szelest każdej kartki z osobna. Za zasłonami wściekle płonie słońce. Jego światło tyranizuje ziemię. Krąg górskich szczytów omdlewa wśród wypalonego kurzu. W książce Mowa muzyki. Pieśń niemiecka od Mozarta do Mahlera natrafiłam na wiersz Josepha von Eichendorffa Noc księżycowa, do którego w 1840 roku Schumann dopisał muzykę:

*...Wiew nad zagaste niwy,
Rozchwiany zagaj śniady,
Sen kniei, poszmer żywy,
Noc jasna i plejady.
Przez omroczone kraje
Szybuje po kryjomu :
Dusza, i zmartwychwstaje
W swym niezaznanym domu*.*

Zamykam książkę, opieram łokcie na stole i chowam twarz w dłoniach. Noa żadnego brzegu już nie zerwie. Bibliotekarka Amalia podchodzi do mnie, nachyla się, dotyka mojego ramienia, i chociaż przypomina konającego ptaka z pomarszczonym, obwisłym niby-wolem pod brodą, głos ma miękki i pełen troski: Nie czujesz się dobrze, Noa? Zrobić ci kawy?

Mówię: To nie takiego. Nie trzeba. Już przechodzi.

Uśmiecha się do mnie bezwargim uśmieszkiem trupiej czaszki, aż muszę sobie powtarzać, że to nie grymas pogardy, ironii i rezygnacji, a tylko zapadnięte przez chorobę i starość policzki. Tal pójdzie do wojska, Awraham zniknie w Afryce, Teo zamknie biuro, dniem i nocą oddawać się będzie słuchaniu Radia Londyn, dni biegną szybko, lato się skończy, miną lata, i to ja zajmę jej miejsce za kontuarem w opustoszałej bibliotece, która z czasem zamieni się w gąszcz dzikich roślin, a ich liście stopniowo pochłoną wszystko.

Tymczasem Linda i Muki, opaleni, rozchichotani, wrócili z krótkiego urlopu koło Safed. Muki trochę ograniczył swoje żartobliwe zaloty. Może w czasie wyjazdu zakochał się w Lindzie? Albo zaczynam tracić to, co go pociągało? Ta zmiana mnie zmartwiła, mimo że jego umizgi nigdy mi nie sprawiały przyjemności. Rozmawialiśmy o tym z Tal, powiedziała: Bzdury, Noa, daj spokój, to było tylko na pokaz, chociaż szkoda, że się obciął na krótko. Przedtem, kiedy włosy ci opadały czasem na jedną stronę, było ci o wiele ładniej.

A ona? Dlaczego ona postanowiła się obciąć na krótko?

Bo nie ma teraz głowy do tego wszystkiego. Chce już tylko spokoju. Nie ma jeszcze dwóch miesięcy, jak zerwała z pewnym chłopakiem, któregoś dnia obudziła się i stwierdziła, że kocha się w ośle, takim jak we *Śnie nocy letniej*, przerabiałaś to z naszą klasą. Jest po tym po prostu zmęczona. Chce odpocząć, przynajmniej przed wojskiem. Nieźle byłoby znaleźć tymczasem jakąś pracę w niepełnym wymiarze, z pół dnia w jakimś biurze. Załamują ją goście, którzy o niczym innym nie myślą, tylko o patrolach zwiadowczych, motorach i samochodach. A tu mniej więcej tyle mamy na składzie. Skoro już o tym mówimy, pociąga ją trochę dojrzały typ męskości. Raczej ktoś, kto chce dużo dostać i umie dużo dać. Ktoś w stylu Teo, tylko nie taki stary, ma nadzieję, że nie jest mi przykro, że tak mówi. Wydaje jej się, że Teo jest poukładany i smutny, a to jej się podoba, to ją najbardziej pociąga w mężczyznach. Tylko u niego to jakby szło w parze z zobojętnieniem, przeprosza, że to mówi.

Powiedziałam: Widzisz, Tal, u Teo, i na tym skończyłam. Chociaż właściwie miałam ochotę mó-

* Wiersz Noc księżycowa w przekładzie Stefana Napierskiego pochodzi ze zbioru: Joseph von Eichendorff, Wiersze, Oficyna „Silesia”, Racibórz 1990 (przyp. tłum.).

wić dalej i dalej.

Ale nie teraz. Jeszcze nie czas.

Muki mnie złapał przy wyjściu z apteki Szacberga, w oknie której wciąż wisiała i żółkła klepsydra b.p. Gustawa Marmorka: Posłuchaj, moja piękna. Chodzi o radę. Może znajdziesz pięć minut, żeby pogadać ze mną w Californii. Wiesz, że byliśmy z Lindą w schronisku na górze Meron. Pierwszego dnia urlopu ona mi się rozchorowała. Zatrucie. Poważne. Oszczędzę ci wszystkich szczegółów. Z początku pomyślałem, nieźle się wpieprzyłeś, złociutki, tylko tego ci brakowało, zamiast używać życia, będziesz przez cały urlop zmieniać pieluszki, biegać i szukać dla niej gorącej herbaty, gotowanych ziemniaków, i przywozić lekarstwa z Kasy Chorych aż z Safed, i jeszcze prac jej bieliznę, bo oczywiście wzięła za mało. Ale, zdziwisz się, w końcu wyszło tak, że mi to nawet zaczęło sprawiać przyjemność. Może stałem się już masochistą. To nie znaczy, że sobie potem nie użyliśmy, nie zrozum mnie źle, na trzeci dzień była zdrowa jak tygrysica, i wtedy z niej wykrzesalem iskry, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Ale dziwne, że właśnie w trakcie tej całej historii z chorobą poczułem się nagle z nią najbardziej związany. Jak to wyjaśnisz?

Wieczorem opowiedziałam to Teo. Przypomniał mi, że jakiś czas temu zaproponował wycieczkę do Galilei. Co byś powiedział, żebyśmy też pojechali na północ? Na Golan? Na Hermon? Nie tym dogorywającym chevroletem. Wynajęlibyśmy tym razem samochód. Będę prowadzić pół drogi. I może weźmiemy ze sobą Tal? Jeśli zechce z nami pojechać?

Teo powiedział: Można by.

Tymczasem dni mijają i ani on, ani ja nie wracamy do tamtej rozmowy o planie wyjazdu na północ. W weekend poszliśmy na pogrzeb matki Bat Szewy Dinur. Umarła w nocy, we śnie. Pochowano ją w ostatnim grobie w alejce pod sosnami, za staruszką Eliaszem, za Immanuelem Ondeto i jego ciotką Blazarą, starą panną. W swej mowie pogrzebowej introligator Kuszner przypomniał, że zanim zmarła zapadła na ciężkie choroby, przez kilkadziesiąt lat była nauczycielką historii i oddaną wychowawczynią w ognisku dla dzieci z rodzin pracujących w Givataim, a nawet współredagowała miesięcznik „Echo Edukacji”. Ostatnie lata jej życia zarysował w subtelnych eufemizmach i łącząc dwa różne wersety z Księgi Psalmów, powiedział: „Nie odrzucaj mnie w czasie starości i nie odbieraj mi swego Ducha świętego”. Większą część przemówienia i modlitw zagłuszył huk odrzutowców, które ścigały się w pętlach po zakurzonym niebie.

Dwa dni później zaszliśmy do Bat Szewy z kondolencjami. Z trudem się wcisnęliśmy do środka. Dom, podwórze i ogród były gwarne i pełne gości, jej synów, wnuków, synowych, szwagrów, przyjaciół, krewnych. Przez drzwi, które celowo pozostawiono otwarte, przelewało się tam i z powrotem całe Tel Kedar, Beduini z okolic i sąsiedzi, jak na wielkim weselu. Nie znane mi kobiety rządziły kuchnią i sterowały strumieniem napojów i kanapek, płynącym do ogrodu i do pokoi. Do samej Bat Szewy z trudem utorowaliśmy sobie drogę, znaleźliśmy ją w ogrodzie, siedziała w swoim królewskim fotelu w cieniu gęstego figowca, otoczona zgietkliwym kręgiem przyjaciół i krewnych. Po podwórzu biegała chmara dzieciaków, ganiały się, hałasowały, ale wyglądało na to, że Bat Szewie odpowiadał ten rozgwar. Niedźwiedziowata, szorstka, z zużytego pluszowego fotela spokojnie prowadziła kilka rozmów naraz, we wszystkich kierunkach, o drogach, porodach, partiach, młodości matki w Smoleńsku, budzecie i przepisach kulinarnych. Kiedy nadeszła nasza kolej, żeby powiedzieć, że łączymy się z nią w bólu, rzuciła: Patrzcie, kto przyszedł, przecież to moja para narkomanów, spróbujcie sobie gdzieś wyszperać krzesła, i zaczekajcie z ciastem, najpierw skosztujcie oliwek, które mój dobry przyjaciel przywiózł dziś z Galilei, z Deir el-Asad. Chodź, chodź tutaj, Nawwaf, pokaż się, to ekstaza, a nie oliwki, są niebiańskie. Gdyby mama zdążyła ich spróbować, wsunęłaby jak nic cały słoik. Była dosłownie uzależniona od zgniatanych, pikantnych oliwek z dobrymi serami i kieliszkiem wina. W ogóle takie bale trzeba robić, zanim człowiek umrze, a nie po śmierci, żeby ludzie wiedzieli, jak bardzo nie warto odchodzić, i mniej umierali. Przy okazji, co do tego projektu, przedwczoraj dzwonił do mnie Awraham. Co za dystyngowany, pełen tragizmu, a przy tym czarujący mężczyzna, też już się w nim zdążyłam zakochać. Nie wiedzieliście, że brał udział w ewakuacji jeńców z Syrii? Że zbierał informacje o zaginionych? Pół godziny flirtowaliśmy przez telefon, zdaje się, że go przekonałam, żeby na razie odłożył sprawę ćpunów, a zamiast tego skomputeryzował nam szkołę, tym czynem uczci pamięć swojego syna, zresztą szkoda, że go nie poznałam, może by mi się udało go złapać za uszy, zanim się wykończył. Problem w tym, że wy utknęliście z domem Alhariziego. Ani to przełknąć, ani wypluć. Ale nie martwiecie się, będzie dobrze, bo chyba znalazłam już sposób, żeby was z tego wyciągnąć bez strat. Poga-

damy za parę dni, jak odprawię żałobę. Nie ten ser, Noa, Teo, najpierw spróbujcie tamtego, tego słonego, mój wnuk z Rosz Pina sam go robił. To symfonia, nie ser. Gdzie on jest, ten słodki dzieciak? Eitam? Zawołajcie go szybko, niech przyjdzie pokłonić się publiczności. O, jest i Ludmir, siadaj, głos wołający na puszczy, siadaj na ziemi, należy ci się, i najpierw spróbuj oliwek, które mój dobry przyjaciel przywiózł z Deir el-Asad.

I tak odpadła sprawa ogrodzenia domu Alhariziego. Remontu też nie będzie. W mieszkaniu ciotki otwarto gabinet dentystyczny pod nazwą „Kość Słoniowa”, ale jak się okazało, to doktorzy Dresdner i Nir przenieśli się tam z poprzedniego miejsca koło biura Teo. Natomiast stary Kuszner powiesił na drzwiach swojej klitki kartkę „Lokal na sprzedaż”, mówi się, że postanowił opuścić Tel Kedar, bo już prawie nie miał klientów, i przenieść się do Gedery, podobno zamieszka z córką i wnuczkami, albo, jak mówią inni, w domu spokojnej starości, na miejsce w którym czekał już od dziesięciu lat, a teraz wreszcie nadeszła jego kolej.

Wielkie spychacze warczą od wczesnego rana do zmroku, wzbijając tuman kurzu przy końcu ulicy Eszkola, którą łączą wreszcie od zachodu nową drogą z aleją Ben Cwiego. Nad słupem kurzu lata całe stado wron. Na placu koło świateł stawiają nowe latarnie, takie jak w dużych miastach. Julia Dresdner zwołała pierwsze spotkanie Społecznej Rady na Rzecz Absorbacji Nowo Przybyłych Muzyków. Nasze szwagierki-fryzjerki, Yiolette i Madeleine, rozbudowują salon Champs Elysees, teraz będzie w nim także nowoczesny gabinet piękności. W Domu Założycieli zostanie wkrótce otwarty bufet wegetariański i może jeszcze urządzią tam stałą ekspozycję minerałów w szklanych gablotach. Na placu koło świateł będzie jesienią sklep z instrumentami. Czyli są w mieście nowości. I dostaliśmy z Teo list polecony od mecenasa Rona Arbela: w związku z zaistniałymi trudnościami postanowiono zawiesić realizację projektu na sześć miesięcy. Jednocześnie są rozważane inne opcje. Pan Orvieto napisze osobno. Temat jest nadal aktualny. Co do wciąż nie rozwiązanej kwestii finansowej, załatwimy ją w najbliższym czasie i w sposób satysfakcjonujący obie strony. Wkrótce nastąpi spotkanie wszystkich zainteresowanych w celu ponownej oceny sytuacji i rozpatrzenia wszelkich alternatywnych możliwości. Wyrazy wdzięczności i podziękowania dla nas obojga za wysiłek włożony w tę sprawę.

Tymczasem Muki Peleg prowadzi już rozmowy z grupą ortodoksów z Beer Szewy, stowarzyszeniem „Rosnących w Świętości”, którzy, jak się okazuje, palą się do kupna domu Alhariziego na szkółkę z internatem, gdzie będą wpajać wartości judaizmu dzieciom imigrantów z Rosji. Są gotowi zapłacić nam sumę, jaką włożyliśmy w zakup. Oczywiście cała transakcja, powiedział Muki, nie jest jeszcze dopięta. Jak dotąd, sprawa wciąż pozostaje otwarta, a negocjacje z czarnymi są tylko na wypadek, gdyby się okazało, że nasze afrykańskie bóstwo faktycznie się wycofuje ze wszystkiego, co miało tu stworzyć, i zostawia nas w zawieszeniu między ziemią a niebem. Tak jak to teraz wygląda, troszeczkę się uwikłaliśmy: dom jest zarejestrowany na nasze stowarzyszenie, pieniądze są twoje, Teo, od Awrahama mamy tylko ustne zobowiązanie, od jego adwokata mamy to pismo, tyle że nie wiem do końca, czy jest ono dla nas coś warte z prawnego punktu widzenia. Jeśli zdecydujemy sprzedać dom tym ortodoksom, to przeniesienie własności załatwię bez żadnej prowizji, chociaż akurat potrzebne mi są pieniądze, bo mamy z Lindą zamiar zrobić jesienią objazd po Włoszech. Może wy też się pobierzcie? I ruszymy we czwórkę na podbój Rzymu, pokazać im, co to naprawdę jest dolce vita. Opływać w mleko i miód pod łukiem Tytusa, jeśli przypadkiem wiecie, co mam na myśli. A tak z ręką na sercu, to gdyby nasza trójka, znaczy czwórka, postanowiła absolutnie się nie poddawać, myślę, że ten ośrodek by powstał. Powiedzieć wam coś z głębi duszy? Powinniśmy byli zapierać się do końca. Powinniśmy byli walczyć. Wywrócić całe miasto do góry nogami. To tysiąc razy bardziej potrzebne niż ortodoksyjna szkółka, gdzie zamiast wyciągać młodzież z narkotykowego szaleństwa, będą ją oszalać, tumanić młode dusze przyjściem Mesjasza i całą resztą. Powinniśmy byli znaleźć inwestorów. Albo sponsorów. Zorganizować społeczność, wywrzeć nacisk na biurokratów i na Bat Szewę. Nie rezygnować. Ściągnąć najlepszych ludzi. Tych zresztą tu nie brakuje. Powiedzieć wam coś jeszcze szczerze? Nasz prawdziwy problem tkwi w tym, że nie jesteśmy w stanie zapalić się do niczego tak do końca. To jest prawdziwe nieszczęście. Komu się już do niczego nie pali, ten stygnie i obumiera. Linda tak mówi, a ja w zasadzie się z nią zgadzam. Trzeba zacząć chcieć. Chwytać życie obiema rękami, żeby nam się nie wyśliznęło, jeśli wiecie, co mam na myśli. Inaczej wszystko stracone.

Teo powiedział: Na razie nie sprzedawaj domu. Jeśli Awraham Orvieto zrezygnuje, stowarzyszenie będzie miało innego kupca.

Kupca? Kto chce kupić? Za ile?

Ja. I dogadamy się co do ceny. i

Wieczorem, kiedy wróciłam do domu, Teo stwierdził: Dziwne, że mu tak powiedziałem. Nie wiem, co miałem na myśli. Dom jest dosyć kuszący, ale co z nim zrobimy? Rozumiesz coś z tego, Noa? Bo ja nie mam pojęcia, skąd mi się to w ogóle wzięło.

Powiedziałam: Zaczekaj. Zobaczymy.

Chcieliśmy tam podjechać w sobotę o siódmej wieczorem, kiedy światło dnia zmiękło i zbłękitniało, ale rzeżący chevrolet znów nie dał się uruchomić. Poszliśmy pieszo. Nie przez plac koło światła, lecz naokoło, drogą gruntową, u stóp skały zamykającej zakazaną dolinę. Czarne, pojedyncze krzaki kiwały się na wietrze na linii gór, bo od czasu do czasu zrywał się gwałtowny wichur z południa i sprawiał, że świat wypełniał się milionami ostrych okruchów. Jakby potężny: deszcz miał lunąć w każdej chwili. Raz po raz silne podmuchy wstrząsały krzewami na szczycie pasma wzgórz, zmuszając je do pokłonów, wicia się i kulenia, jak w konwulsyjnym tańcu. Kłujący piasek przenikał przez ubranie do skóry, pełno go było we włosach, chrząścił w zębach i siekł po oczach, jakby chcąc nas oślepić. Od czasu do czasu wiatr przebiegał z cichym świstem nagie połacie równiny. I zamierał. I znowu smagał i maltretował udręczone krzaki. Wolno posuwaliśmy się na południe, jakbyśmy wiosłowali pod prąd. Obeszliśmy cmentarz. Od strony grobów dobiegał jęk targanych wichrem wierzchołków sosen. To małe, nowe miasteczko, niewielu mamy zmarłych, kilkadziesiąt, stu może, poza maleństwem Boża prawdopodobnie żaden z nich się tu nie urodził i żadnego nie pochowano obok jego rodziców. Mój ojciec i jego siostra, ciotka Chuma, są pochowani wśród pokrzyw i czarnych cyprysów na zapuszczonym cmentarzu na końcu osady, w której się urodziłam. Moja matka prawdopodobnie w Nowej Zelandii, gdzie trwa zima, kiedy u nas jest lato, i noc, kiedy u nas jest jeszcze dzień, może na jej grób w ciemności mży drobny deszczyk, a drzewa, których nazw nie znam, szepczą coś między sobą i milkną. Pewnej soboty zeszedliśmy jedną z wadi na północ od miasta i znaleźliśmy miejsce pochówku Beduinów, kopce z szarych kamieni, nad którymi stopniowo zamykają się piachy. A może to były szczątki starożytnych nomadów, którzy żyli i umierali wystawieni na rozpalające te góry słońce, na długo przed przybyciem Beduinów.

Gdy dotarliśmy do rozwidlenia koło kamieniołomów, skręciliśmy na zachód ścieżką wśród skał. Wiatr, wcześniej wiejący nam w twarz, teraz chłostał nas z lewej strony i spycha! ku krawędzi rozpadliny, na dnie której zapadł już zmrok. Ściemniło się, świat sposepniał, zasłony kurzu przyćmiły obniżające się słońce, zabarwiając je dziwną szarą czerwonością w otocze fioletowych refleksów, tak że przestało razić i mogliśmy na nie patrzeć. Niebo na zachodzie przywdziało mantylę jadłowitej jasności, podobną do łuny płonących chemikaliów, która potem spłynęła w dół, i wchłonęła ją krawędź równiny.

Do zdewastowanego domu dotarliśmy w porze, kiedy gdzieś uparcie przebłyskiwało jeszcze światło dnia. W budynku utrzymywał się kwaśnawy zapach wilgoci, chociaż wiatr miał do niego dostęp ze wszystkich stron. Obchodziliśmy po omacku kolejne pomieszczenia, starając się omijać sterty śmieci i połamanych płytek, strzykawki, potłuczone butelki i kłęбки zabrudzonej waty, aż nagle wydało nam się, że umykają przed nami mroczne sylwetki. To rozkołysane wierzchołki drzew rzucały cień na ściany przy resztkach światła. Ale nie: chyba tym razem rzeczywiście przestraszyliśmy dwójkę nieproszonych gości, dziewczynę i chłopaka, zamroczonych, powolnych, widocznie zbudziło ich z głębokiego snu. Patrzyli na nas przez chwilę jak na duchy i zaraz wysłiznęli się na dwór przez futrynę wschodniego okna. Bez słowa zniknęli wśród drzew zagajnika, w którym zapadł już zmrok.

Teo dotknął otwartą dłońią moich pleców: Zrozum, Noa, ten dzieciak nie żyje. Odpowiedziałam szeptem: Wiem. Wiesz? To powiedz to głośno. Ale po co? Powiedz to, Noa, niech to będzie wypowiedziane twoim głosem. Potem staliśmy i czekaliśmy, aż zacznie się robić zimno.

O dziesiątej byliśmy w domu. Wróciliśmy przez miasto, przecinając plac, o tej porze całkiem już opustoszały. Wiatr smagał go strzępkami gazet i salwami ostrego piasku. Objęłam go nad szerokim pasem, odgadując zapach starej skóry i potu. Pospiesznie zamykaliśmy wszystkie żaluzje i okna przed zawieruchą. Teo przygotował lekką sałatkę z rzodkiewką przyciętą w kształcie pączka róży. Usmażył jajecznicę i podał na drewnianej tacy kilka rodzajów sera i pokrojony chleb. Ja nalałam herbaty ziołowej do dwóch kubków. Nastawiliśmy płytę, Mszę B-dur Schuberta, i do późna siedzieliśmy w kuchni. Nie rozmawialiśmy. Może wynajmiemy samochód i wybierzemy się na wycieczkę po Galilei. Będziemy nocować w wiejskich hotelikach i błąkać się nad ranem po zaroślach

u źródeł Jordanu, żeby zobaczyć wschód słońca. Kiedy wrócimy, Tal przyniesie nam obiecanego kociaka. Teo da jej pracę, porządkowanie papierów w biurze przez pół dnia, zanim pójdzie do wojska, a przy okazji nauczy ją do matury z matematyki. Zamiast złachanych dzinsów z dziurami na kolanach kupimy jej ładną spódnicę i bluzkę. Myślałam o tych dwóch cieniach, które spłoszyliśmy dzisiaj w domu Alhariziego. Może pod osłoną gęstej ciemności zeszli do wadi, a teraz są już daleko, przy stoku Wzgórza Hieny. Albo znaleźli schronienie w zagajniku. A może kiedy odeszliśmy, znowu się zakradli do środka i leżą teraz w ciemności pod sypiącą się ścianą, jedno z głową na kolanach drugiego, drzemią i marzą w niemym spokoju snu, z dala od samych siebie, z dala od bólu i zmartwień, wsłuchani w podmuchy wiatru z południa, który to wieje, to cichnie, to poszeptuje w wierzchołkach powykręcanych sosen, a stamtąd leci dalej, przeczesuje całe miasteczko i trąca z zewnątrz zamknięte przez nas żaluzje. Kto chce, ten może usłyszeć pogwizdywanie pustynnych krzewów. Kto nie chce, nie usłyszy. Za dwa i pół tygodnia koniec wakacji. Kto ma w sobie życzliwość, znajdzie życzliwość wszędzie. Może w tym roku wezmę wychowawstwo. Tymczasem dziś w nocy sprawię, że zrezygnuje z Radia Londyn, bo wchodzę pod prysznic i zaraz idę do niego w ciemności.

1991-1993

TEO (Urbanistyka Sp. z o.o.)

NOA DUBNOW (nauczycielka)

MALACHIA (MuKi) PELEG (pośrednictwo i inwestycje)

AWRAHAM ORYIETO (doradca wojskowy, a może handlarz bronią)

ERELLA ORYIETO (lekarka, zginęła w uprowadzonym samolocie linii Olympic)

IMMANUEL ORYIETO (niegdyś uczeń liceum)

PIES IMMANUELA ORYIETO

ELAZARA ORYIETO (niegdyś urzędniczka w banku)

ROŃ ARBEL (adwokat)

LUDMIR (emerytowany pracownik zakładu energetycznego, działacz wielu komitetów)

GUSTA LUDMIR (jego żona, udziela korepetycji z matematyki)

LILACH LUDMIR (jego wnuczka, chciała się kształcić w szkole tańca w Tel Awiwie)

LINDA DANINO (urzędniczka, rozwódka)

NECHEMIA DUBNOW (emerytowany pracownik spółki wodnej)

CHUMA BAT-AM ZAMOŚĆ (działaczka stowarzyszeń wegetariańskich i pacyfistycznych)

JESZAJAHU (JoszKo) SARSZALOM ZAMOŚĆ (nawrócony)

GOROWOJ PODGLĄDACZ (były mistrz Łodzi w podnoszeniu ciężarów)

POETA EZRA ZUSSMAN i JEGO ŻONA

BAT SZEWA DINUR (prezydent miasta)

JEJ MĄŻ DIDI DINUR (zginął w wojnie sześciodniowej, chyba był muzykalny)

MATKA BAT SZEWEY (staruszka, emerytowana nauczycielka)

EITAM (wnuk Bat Szewy) >

NAWWAF (przywiózł oliwki z Galilei)

DR LEO DRESDNER i DR NIR (dentyści)

JULIA (żona dr. Dresdnera)

DUBI WEIZMAN (notariusz i biegły rewident)

JEHUDA i DŻAKI (Foto Hollywood)

KUSZNER (intrologatornia)

SZACBERG (apteka)

AWRAM (falafel, teraz także szalarka w picie)

SZLOMO BENIZRI (z kuratorium w Beer Szewie)

DORIS (sekretarka Benizriego)

TIKI (maszynistka)

OTYŁY POLICJANT (z wypadku na krzyżówce pod Aszkelonem)

MARTA (dziewczyna z Ej latu, prawdopodobnie narkomanka)

AATEF (beduiński tropiciel)

ALHARIZI (właściciel domu w Tel Kedar, obecnie importer telewizorów z Netanii)

SZYMPANS RODZINY ORYIETO

NATALIA (imigrantka z Rosji, sprzątaczką)
JEJ MAŻ. OJCIEC JEJ MĘŻA (imigranci z Mołdawii, mechanicy)
GILBOA (książki i materiały piśmienne)
LIMOR GILBOA (pomaga ojcu, gra na wiolonczeli)
PINI Bozo (sklep obuwniczy)
JEGO ŻONA i DZIECKO (zamordowani)
ALBERT JESZUA (żołnierz, który zabił żonę i dziecko Boża)
ŚLEPY LUPO (z centrali telefonicznej)
ANAT i OHAD (młoda para)
BIALKIN (meble)
GUSTAW MARMOREK (staruszek Eliasz)
YIOLETTE i MADELEINE (fryzjerki-szwagierki)
KANTOR z WĘGIER
PAULA ORLEW (butik)
TAL ORLEW (jej córka, po liceum i przed wojskiem)
JACQUES BEN LULU (warsztat Ben Elul)
BRACIA BARGELONI (pośrednictwo mieszkaniowe)
PINI FINKEL (zginął w wojnie wyzwolenczej)
NIMROD FINKEL (jego syn, dyrektor wydziału w Agencji Rozwoju)
ADWOKACI CZERNIAK, REFIDIM i ARBEL (aleja Rothschilda 90, Tel Awiw)
PROFESOR i STROICIEL FORTEPIANÓW (autor dzieła Istota judaizmu)
AMALIA (schorowana bibliotekarka)
CHŁOPAK z MIASTA GALWAY w IRLANDII (krąży po Galilei, szuka dziewczyny imieniem Daphne)
KWARTET MUZYCZNY IMIGRANTÓW z KIJOWA
PŁACZĄCY MĘŻCZYŻNA w DŻIPIE

Kolejna powieść Amosa Oza (ur. 1939), doskonale znanego w Polsce pisarza izraelskiego, którego rangą twórczą potwierdzają liczne nagrody, m.in. Międzynarodowa Nagroda Pokoju Związku Księgarzy Niemieckich (1992) oraz literacka Nagroda Izraela (1998), przyznana z okazji pięćdziesiątej rocznicy powstania tego państwa.

Nauczycielka Noa i urbanista Teo - para głównych bohaterów Nie mów noc - mieszkają w niewielkim miasteczku na skraju pustyni. Subtelnie i wnikliwie analizowane relacje między obydwójkiem stanowią oś konstrukcyjną książki. Swego rodzaju testem dla tego związku, jak i dla całej lokalnej społeczności, staje się projekt budowy ośrodka dla narkomanów.

Amos Oz powiedział kiedyś:

„W swoim pisarstwie zawsze starałem się ukazać najdłuższą podróż we wszechświecie. Podróż od siebie do drugiego człowieka: od mężczyzny do kobiety, od rodziców do dziecka, od brata do siostry... W tej podróży najeżonej przygodami niektórzy zapominają, dokąd zmierzają, a nawet kim są.

Ale jest to podróż najważniejsza i zasługuje na to, by się w nią wybrać..."